

W obronie POKOJU



Nr 9 (27)

WRZESIEŃ 1953 r.

Cena zł. 2.50

R O Z E J M W K O R E I

J O L I O T - C U R I E - P I E T R O N E N N I

P R Z E Z J E D N O Ś Ć N I E M I E C D O P O K O J U W E U R O P I E

W Y M I A N A H A N D L O W A W S C H Ó D - Z A C H Ó D

P R O F . B . W . K U K A R K I N - R . C H A M B E I R O N

M A S Z Y N A P O M A G A M Ó Z G O W I

K W I T N A C Y S A D Z S R R

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCÓW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Foksal 16

Telefony: Redaktor Naczelny 65 181

Sekretarz Redakcji 65 184

Godziny przyjęć: 13 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wilejska 12, tel. 853-30

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 7.50 zł

półrocznie — 15.00 zł

rocznie — 30.00 zł

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa”, W-wa, al. Jerozolimskie 125

Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są dopuszczalne tylko za podaniem źródła: „W obronie pokoju”.

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika:

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28

pod redakcją PIERRE COTA

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY:

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, JOSE BERGAMIN (Hiszpania) *pisarz katolicki*, IZABELA BLUME (Belgia) *deputowana socjalistyczna*, GEORG BRANTING (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, ILJA ERENBURG (ZSRR), *pisarz*, Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk) *b. minister*, MAHDI JAWAHIRI (Irak) *poeta*, LEON KRUCZKOWSKI (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, MAO DUN (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, CESA NABARAOUI (Egipt) *dziennikarka*, PIETRO NENNI (Włochy) *b. minister*, MARIA ROSA OLIVER (Argentyna) *literatka*, LUIGI RUSSO (Włochy) *krytyk*, GORDON SCHAFER (W. Bryt.) *publicysta*, ARNOLD ZWEIG (Niemcy) *pisarz*.

ROZEM W KOREI

PIERRE COT

WKOREI podpisano rozejm. Rozejm ten jest pierwszym konkretnym rezultatem odprężenia międzynarodowego, widomym znakiem, że weszliśmy w nowy okres stosunków między dwoma światami. Jak mówi francuskie przysłowie: „Tylko pierwszy krok dużo kosztuje”. Przyjmijmy je jako wróżbę. Trzeba przyznać, że krok koreański był szczególnie trudny do przebycia. Życzymy sobie, aby krok za krokiem i etap po etapie oba światy przyzwyczaiły się razem przebywać drogę — to znaczy, aby znalazły pokojowy sposób życia i współistnienia. Ten uporczywy wysiłek leży w zamierzeniach ruchu obrońców pokoju.

Zawarty został tylko rozejm, teraz chodzić będzie o rokowania na rzecz pokoju. Nowe rokowania będą trudne i długie, tym bardziej, że wystarczy otworzyć amerykańskie dzienniki, by spostrzec, że rząd Stanów Zjednoczonych nie ma w tym względzie jasnego poglądu i dokładnego programu. Rząd ten myśli przede wszystkim o trudnościach wewnętrznych i zewnętrznych, które mu stworzy rozejm. Spogląda on w przyszłość z pewnym niepokojem.

W wyjaśnieniach, złożonych w senackiej komisji spraw zagranicznych, Foster Dulles powiedział, że zakończenie wojny w Korei nie pociągnie za sobą bezpośrednio dopuszczenia do ONZ Chińskiej Republiki Ludowej. Aby zrobić przyjemność panu Foster Dullesowi, powiemy po prostu, że dopuszczenie Chin Ludowych do ONZ będzie pośrednim — ale nieuchronnym — skutkiem pokoju w Korei. A klimat międzynarodowy zmieni się w dniu, gdy pięćset milionów ludzi wypowie się w obradach międzynarodowych. Foster Dulles i jego rodacy nie mogą nie wiedzieć, że podpisanie rozejmu w Korei musi znaleźć połączny oddźwięk, który będzie rósł i rozszerzał się nie tylko w Azji, ale i na całym świecie.

OTO dlaczego nie przywiązujemy zbyt wielkiego znaczenia do wielce niepomysłnych rezultatów rozmów trzech ministrów spraw zagranicznych w Waszyngtonie.

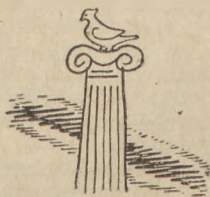
W zamieszczonym poniżej artykule nasz przyjaciel Pietro Nenni analizuje te rozmowy ze swą zwykłą ścisłością i wnikli-

wością. Powiedziałbym ze swej strony tyle tylko, że gdyby wziąć komunikat waszyngtoński „sam w sobie” i w oderwaniu od całości wydarzeń międzynarodowych, można by się zaniepokoić i zniechęcić. Ale wolę widzieć w nim przejaw beznadziei i złego humoru — komunikat ten bowiem już w tej chwili, jak wynika z reakcji, jaką wywołał szczególnie w Wielkiej Brytanii, jest bardziej niezręczny niż niebezpieczny.

Zdaniem wszystkich zdrowo myślących ludzi na świecie z chwilą, gdy można się porozumieć w celu zakończenia wojny w Korei, można także porozumieć się co do nie rozpoczynania innych wojen. A z chwilą, gdy jest się faktycznie zgodnym co do tego, by spornych spraw nie rozstrzygać przy użyciu siły, trzeba je rozstrzygać drogą rokowań. Pokój — jak i wojna — ma swoją logikę.

Możemy zatem czekać z zaufaniem na dalszy rozwój sytuacji międzynarodowej. Rozejm w Korei oznacza nie tylko przetrwanie toczących się walk — jest to rozejm w zimnej wojnie między dwoma światami. Jeżeli tylko nie jest się bardzo nieostrożnym, lub bardzo niezręcznym, rozejm zawsze prowadzi do pokoju.

Zapewne, droga, którą mamy do przebycia, usiana jest przeszkodami, a odprężenie międzynarodowe — jak i zimna wojna — ma swoje trudności i swoje zahamowania. Na całym świecie Li Syn-manowie są, niestety, liczni i uparci, czy się nazywają Czang Kai-szek, czy McCarthy, czy Adenauer, czy też jeszcze inaczej. Ale jeżeli będziemy nadal zjednoczeni, zdecydowani i czujni, w ostateczności uda nam się ich pokonać.



JESTESMY BLIZSI POKOJU

FRYDERYK JOLIOT-CURIE

Przewodniczący Światowej Rady Pokoju

PODPISANIE rozejmu w Korei przyjęte zostało radośnie przez wszystkie narody świata, gdyż jest to wielkie zwycięstwo pokoju.

Jest to zwycięstwo narodu koreańskiego, uzyskane za cenę olbrzymich poświęceń i cierpień. Jest to również zwycięstwo setek milionów kobiet i mężczyzn, którzy we wszystkich krajach żądali — ze wzrastającą siłą — położenia kresu tej wojnie. Podpisanie rozejmu nastąpiło po sformułowanym na Kongresie Narodów w Wiedniu żądaniu natychmiastowego przerwania działań wojennych w Korei. To niesłuchanie doniosłe wydarzenie potwierdza słuszność i celowość Apelu Światowej Rady Pokoju, który wskazuje na możliwość rokowań i porozumienia.

Podpisanie rozejmu, uzyskane mimo licznych trudności, mimo wszelkich przeszkód, wykazuje obecnie w sposób bardziej oczywisty możliwość rokowań i porozumienia dla pokojowego uregulowania innych istniejących konfliktów lub sporów. W konsekwencji, ten pierwszy uzyskany rezultat stanowi pożytny bodziec w kampanii na rzecz rokowań, zapoczątkowanej przez Apel Światowej Rady Pokoju. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nacisk opinii publicznej wyrazi się obecnie ze zwiększoną mocą, by żądać uregulowania wszystkich innych problemów, jak na przykład położenia kresu wojnie w Vietnamie.

Należy jednakowoż podkreślić istnienie uporeczywego sprzeciwu wobec takiego uregulowania bieżących problemów. Jeżeli chodzi o Koreę, możliwe jest, że czynione będą nowe próby w kierunku przerwania osiągniętego porozumienia, lub przeszkodzenia zawarciu nowych układów, zmierzających do zapewnienia sprawiedliwego pokoju w tym rejonie świata.

Jest przeto rzeczą niesłuchanie ważną, aby wszędzie dokładać starań dla przyspieszenia rokowań, dla udaremnienia manewrów, zmierzających bądź do opóźnienia, bądź do przeszkodzenia ich realizacji. Taki jest sens kampanii prowadzonej na apel Światowej Rady Pokoju.

Tę kampanię na rzecz rokowań prowadzi się obecnie w różnych formach w najważniejszych krajach świata. Daje ona sposobność do najrozmaitszych akcji, które odbywają się nie tylko pod auspicjami narodowych Komitetów Pokoju, ale także z ramienia organizacji i stowarzyszeń, wypowiadających się i działających w tym samym duchu.

Biuro Światowej Rady Pokoju, którego konferencja odbędzie się niebawem, przystąpi do zbadania pierwszych uzyskanych rezultatów. Sądzę, że wyciągnie z nich wskazówki, które winny skierować do tego samego celu, jakim jest pokój, tych wszystkich, którzy dzisiaj działają na rzecz rokowań.

Celem tej kampanii jest doprowadzenie do prawdziwego odprężenia międzynarodowego.

Rozejm w Korei, jak również ewentualność, uznana przez niektóre rządy, spotkania pięciu wielkich mocarstw na najwyższym szczeblu — oto elementy, które nam wskazują, że cel ten leży w możliwości narodów.

WIELKA OKAZJA

PIETRO NENNI

KONFERENCJA trzech w Waszyngtonie — małe Bermudy — zawiodła opinię światową, jakkolwiek jej rezultaty nie poszły całkowicie po linii życzeń Departamentu Stanu. Trzej ministrowie spraw zagranicznych wyrazili zgodę na kompromis, który nie odrzuca spotkania Czterech, lecz ogranicza jego doniosłość i zasięg przede wszystkim przez to, że wysuwa zorganizowanie spotkania nie po myśli formuły Winstona Churchilla, na najwyższym szczeblu, lecz na szczeblu ministrów spraw zagranicznych, ograniczając również porządek dzienny do sprawy Niemiec oraz odsuwając termin konferencji aż do czasu po wyborach 6 września w Niemczech zachodnich, w tej intencji, aby nie krępować działalności i powołzenia, już i tak skompromitowanego kanclerza Adenauera.

To nie jest to, co proponował premier brytyjski, ani to, co popierał — i popiera — Światowy Ruch w Obronie Pokoju. Hamulec amerykański nie zahamował całkowicie inicjatywy brytyjskiej, lecz opóźnił jej rozwój. Jest to to samo, co na innej płaszczyźnie i innymi metodami, usiłował czyścić w Korei „potworny starzec“ Li Syn-man, opóźniając zawarcie rozejmu, za cenę wielkiej ilości przelanej krwi i cierpień.

I aczkolwiek z goryczą stwierdzić trzeba, że wielka okazja spaliła na panewce — określenie „wielka okazja“ pochodzi od Foster Dullesa i używam go w znaczeniu całkowicie odmiennym aniżeli on — tym nie mniej, nie ma powodów do rozpaczyny ani do zniechęcania się.

* * *

Od czasu Kongresu Narodów w Obronie Pokoju (w Wiedniu, w grudniu 1952 r.), idea pertraktacji w celu położenia kresu toczącym się konfliktom, zimnej wojnie i wojnie ekonomicznej

cznej, uczyniła szmat drogi. Jesteśmy świadkami prawdziwego zwrotu biegu spraw, co nie jest jedynie dziełem sprzyjającej koniunktury, lecz również rezultatem wysiłków narodów oraz słusznej interpretacji rozwoju historycznego. Na początku bieżącego roku przeszliśmy punkt może najbardziej krytyczny okresu powojennego. W Stanach Zjednoczonych administracja republikańska zajęła miejsce administracji demokratycznej. W dziedzinie polityki zagranicznej republikanie zawdzięczali swój sukces wyborczy wysunięciu dwóch sprzecznych ze sobą programów. Z jednej strony była to krytyka polityki tzw. „powstrzymywania“, ocenionej jako nie wystarczająca dla zapewnienia Ameryce przywództwa nad całym światem, z drugiej zaś przyrzeczenie położenia kresu przelewowi krwi amerykańskiej w Korei. Sprzeczność ta uwydatniła się już w pierwszych posunięciach administracji republikańskiej. **General** Eisenhower wiedział, że wojnę w Korei zakończyć można jedynie poprzez rozejm i pertraktacje pokojowe. **Prezydent** Eisenhower pchany był logiką polityki swojej własnej partii do przezwyciężenia martwego punktu polityki Trumana. Próbował to uczynić przy pomocy dwóch posunięć, które stały się uderzeniem miecza w próżnię: przez deneutralizację Formozy, która miała rozwiązać ręce Czang Kai-szekowi oraz przez wypowiedzenie „tajnych“ umów zawartych przez sojuszników w czasie wojny, co teoretycznie szło w parze z polityką „wyzwalania“ głoszoną przez Fostera Dullesa, nie przynosząc jej jednak żadnego konkretnego poparcia.

W samym Kongresie tymczasem zapomniano nadać bieg wnioskowi Eisenhowera, a deneutralizacja Formozy nie przeszkodziła podjęciu rokowań o zawarcie rozejmu w Korei i pomyślnemu zawarciu go, mimo podjętej w ostatniej chwili rebelii Li Syn-mana.

A tymczasem posunięcia te były w tak oczywisty sposób sprzeczne z nowymi dążeniami światowymi i europejskimi do odprężenia, że wywołały usztywnienie się stanowiska Anglii i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów oraz zrodziły w Europie stan bliski paniki.

Sam Sekretarz Stanu musiał w czasie swej pierwszej podróży po Europie stwierdzić, jak bardzo odległa jest opinia publiczna od amerykańskiej polityki „stawiania na swoim za wszelką cenę“. W tym stanie rzeczy śmierć Stalina dostarczyła Departamentowi Stanu pretekstu do puszczania w ruch pierwszych hamulców. Czyż nie należy oczekiwać upadku jeśli nie Związku Radzieckiego, to co najmniej krajów azjatyckich i europejskich, sprzymierzonych ze Związkiem Radzieckim?

Z drugiej strony, czy pertraktowanie ze Związkiem Radzieckim w takim momencie nie byłoby aktem słabości, gorzej jeszcze, gestem, dowodzącym wspólnoty z Moskwą?

Problem ten, postawiony w taki sposób przez prasę amerykańską i proamerykańską, nie przetrwał dłużej niż jeden dzień. Niezmienność radzieckiej polityki odprężenia znalazła swoje dobitne potwierdzenie w posunięciach rządu radzieckiego. Stała się ona jeszcze bardziej systematyczna i konkretna, tak w sprawach azjatyckich jak europejskich.

I wtedy problem pertraktacji wyłonił się na nowo w formie najbardziej istotnej. Kiedy zaś stało się wyraźnie widoczne, że Stany Zjednoczone nie uczynią niezbędnego kroku, aby wyjść z pozycji uporu, inicjatywę przejął Winston Churchill wysuwając w swoim przemówieniu z 11 maja propozycję spotkania wielkich mocarstw „na najwyższym szczeblu”, propozycję Locarna Wschodu.

Premier brytyjski opanowany był, tak jak w latach 1938 — 1940, pasją konserwatysty, która kazała mu być posłusznym instynktowi narodowemu i imperialnemu. Podobnie, a nawet bardziej jeszcze aniżeli w latach 1933 — 1940, kiedy umiał przeciwstawić się ugodzie z Niemcami Hitlera, miał Churchill za sobą ogół opinii robotników i pracowników, ogół, można by powiedzieć, opinii brytyjskiej, gdyż wykladał językiem jasnym i rzeczowym żądanie brytyjskie wyjścia z ram ekonomii atlantyckiej, w których imperium się dusi, w których następuje stała obniżka poziomu życia angielskiej klasy robotniczej.

Reakcja europejska na propozycję brytyjską była, mimo pozorów przeciwnych, pozytywna.

Przewlekły kryzys rządowy we Francji odbywał się właśnie na tle inicjatywy Churchilla i postawionej przez tę inicjatywę konieczności zmian politycznych. I jakkolwiek kryzys ten nie przyniósł rozwiązania problemu, to jednak przynajmniej ten problem postawił na porządku dnia, co jest pierwszym warunkiem dojścia do jakiegos rozwiązania.

Nad wyborami we Włoszech dominowała konieczność zwrotu w polityce międzynarodowej i propozycja bry-

tyjska wywarła na nie wielki wpływ. De Gasperi ubolewał nawet, że to, co nazywa „moim manewrem” (alternatywa socjalistyczna), znalazło „zadziwiające” poparcie w przemówieniu Churchilla. Po czym, w ślad za kanclerzem Adenauerem pojechał do Londynu, by głosić pierwszeństwo „europejskiej wspólnoty obronnej” — przed Locarnem Wschodu (co jest rzeczywistością „zadziwiające”, gdyż włączenie części, czy całych Niemiec do sojuszu militarnego byłoby zaprzeczeniem z góry jakiegokolwiek Locarno).

Również na wybory niemieckie z 6 września bieżącego roku wywrze swój wpływ to poruszenie opinii wywołane przez Churchilla. Poruszenie to potwierdza istnienie opinii europejskiej, prawdziwej Młodej Europy, która — w obliczu zawodu ze strony socjaldemokracji — nie znalazła jeszcze swoich przywódców, lecz znajdzie ich, jeśli wielka okazja odprężenia światowego nie spełźnie na niczym wskutek błędów ludzi i braku odwagi z ich strony.

* * *

O ile śmierć Stalina była jedynie pretekstem dla usiłowań odsunięcia „sine die” pertraktacji międzynarodowych, to rozruchy berlińskie z 17 czerwca stały się okazją do tego. Nawet lojalność z jaką rząd Niemieckiej Republiki Demokratycznej wziął na siebie odpowiedzialność za swoje błędy, interpretowana była przez Departament Stanu oraz przez prasę amerykańską i proamerykańską jako oznaki zbliżającego się załamania. Nie dla ofiar rozruchów, lecz dla odprężenia międzynarodowego urządził Berlin

zachodni uroczystości pogrzebowe na ogromną skalę. Lecz raz jeszcze wojowniczy ekstremizm zawrócić musiał z drogi. Wbrew jego nadziejom krew wylana w Berlinie stała się potwierdzeniem, a nie zaprzeczeniem konieczności rozwiązania problemu niemieckiego i wydobycia świata i Europy z otchłani zimnej wojny.

Potem choroba Winstona Churchilla dała Departamentowi Stanu okazję do wycofania się. Spotkanie na Bermudach zostało odwołane. Zwolennicy „polityki siły” radowali się.

Jednakowoż wobec zamieszania w opinii publicznej trzeba było zastąpić ją konferencją trzech ministrów spraw zagranicznych w Waszyngto-

nie. Wiadomo, do jakiego kompromisu ona doprowadziła.

Jest to mimo wszystko potwierdzeniem zasady pertraktacji bezpośrednich, w momencie, który nie był najbardziej sprzyjający dla sprawy pokoju.

Wielka okazja zbliżenia nie została natychmiast podchwyciona. Tym niemniej nie została ona zaprzepaszczone. I jeśli mówi się o przeszkodach, które przewyciężyć trzeba było w ciągu ostatnich tygodni, to istnieje więcej aniżeli nadzieja, istnieje pewność, którą czerpać możemy z biegu wydarzeń. Odtąd nic nie zdusi rozmachu światowego ruchu na rzecz odprężenia międzynarodowego, na rzecz pertraktacji, na rzecz Pokoju.



O ZWYCIĘSTWO DUCHA ROKOWAN

HEINZ WILLMAN

Sekretarz Generalny Niemieckiej Rady Pokoju

PRASA niemiecka i prasa zagraniczna wiele pisały o wypadkach z 17 czerwca i o podłożu tej sprawy. Z pewnością nawet za dużo, aby mniej zorientowani w polityce czytelnicy mogli zawsze jasno zrozumieć całość.

Kiedy zapytaliśmy w Magdeburgu paru robotników z „Thälmann - Werke“, jak się to stało, że 17 czerwca ich towarzysze opuścili pracę, odpowiedzieli nam: „**Chcemy otrzymywać płacę, odpowiadającą naszej pracy, chcemy mniej przemówień, a więcej decyzji, podejmowanych zgodnie przez wszystkich razem.**“

Oto jasna odpowiedź, wskazująca na błędy, popełnione w wielu przedsiębiorstwach przez funkcjonariuszy SED i związków zawodowych, jak również przez rząd Niemieckiej Republiki Demokratycznej i jego funkcjonariuszy.

Już 17 czerwca wprowadzono w życie środki, świadczące o wzięciu pod uwagę słusznych żądań mas ludowych

o świadomym dążeniu do polepszenia poziomu życia w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Ale nie cały naród zdawał sobie z tego sprawę. Zamiast słowami i czynami pomagać w osiągnięciu jednomyślności, niektórzy dali się wyprowadzić na manowce i poszli na lep sloganów, bynajmniej nie mających na celu polepszenia sytuacji.

I wtedy nastąpiła od dawna przygotowywana, poparta przysłanymi zza Oceanu pieniędzmi — prowokacja. Ludzie kierujący tą robotą nie dążą do pokojowego współistnienia różnych systemów politycznych i chcą unicestwić wszystko, co nie podlega panowaniu dolara.

Do tych to ludzi zwracał się pastor Niemöller, kiedy 15 czerwca mówił na sesji Światowej Rady Pokoju w Budapeszcie:

„Ten, kto chce pokoju, musi chcieć porozumienia ze swym przeciwnikiem... Bo, jeżeli mówiąc „pokój“, nie jestem gotów do porozumienia się z

moim przeciwnikiem, dowodzę tym samym, że nie chcę pokoju — obiektywnie i naprawdę — i że nadużywam tego słowa i ludzi, którzy wierzyli temu słowu w moich ustach“.

Taka koncepcja całkowicie odpowiada zasadom, przyjętym przez Światową Radę Pokoju w sprawie rozwiązania międzynarodowych nieporozumień.

Ale 17 czerwca starano się doprowadzić do zwycięstwa innych zupełnie zasad. Nie brak na to licznych dowodów.

* * *

8 lipca Eisenhower oświadczył na konferencji prasowej, że zjednoczenie Niemiec winno dokonać się w ramach Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Stwierdził, że ta zasada pozostaje w związku z wydarzeniami z 17 czerwca.

Na kilka dni przedtem amerykański dziennik w Niemczech zachodnich „*Neue Zeitung*“ w następujący sposób przedstawił stanowisko rządu Eisenhowera. Wydarzenia z 17 czerwca, pisał dziennik, pozwalają Waszyngtonowi kontynuować prowadzoną dotąd w Niemczech zachodnich politykę i dają rządowi amerykańskiemu moralne prawo prowadzenia jej z całą energią w dalszym ciągu.

* * *

Wniosek: amerykańska okupacja całych Niemiec przez pięćdziesiąt lat: agresywna armia, wymierzona przeciw Wschodowi, do której Niemcy i inne kraje europejskie dostarczyłyby żołnierzy, Stany Zjednoczone zaś dałyby naczelne dowództwo i wyposażenie; „uregulowanie“ problemu niemieckiego przez włączenie Niemiec do amerykańskiej sfery wpływów. Taką była koncepcja prowokacji z 17 czerwca i taki jest dzisiaj jeszcze plan Eisenhowera.

Związek Radziecki często oświadczał swą gotowość przedyskutowania problemu niemieckiego i nie określił z góry żadnego warunku takich roko-

wań. Związek Radziecki nie zamierzał narzucać polityki siły.

Rząd Niemieckiej Republiki Demokratycznej zwracał się do Bonn dwadzieścia siedem razy, proponując wspólną dyskusję między Niemcami po obu stronach Łaby w celu zbudowania podstaw dla połączenia obu części Niemiec. Przedstawiał on plan przeprowadzenia wolnych wyborów w całych Niemczech. Adenauer odpowiedział na wszystkie te pierwsze kroki wzmożeniem zimnej wojny. Popiera on bowiem całkowicie plany amerykańskie.

* * *

Do zjednoczenia Niemiec mogą wieść dwie drogi i dwie metody:

Jedna z nich oznacza wojnę domową i wojnę w Europie. Druga oznacza rokowania z przeciwnikiem i porozumienie w sprawie pokojowego rozwiązania. Tę ostatnią proponuje ruch w obronie pokoju ze zgodą wszystkich ludzi, którzy jak pastor Niemöller chcą, aby w Europie i na całym świecie zapanowało wreszcie odprężenie i pokój.

Tego samego pragną również robotnicy z magdeburskich „*Thälmann-Werke*“. A robotnicy, wznoszący domy na Stalinallee są tego samego zdania. Kiedy zapytaliśmy ich, czy opowiadają się za traktatem o „europejskiej wspólnocie obronnej“, odpowiedzieli z oburzeniem:

„Nie po to budowaliśmy te domy, by je znowu zniszczono. Pokój jest nam potrzebny, bez niego wszyscy zginiemy“.

* * *

Takie jest również przeświadczenie uczestników setek konferencji i masowych wieców, które odbywały się w Niemieckiej Republice Demokratycznej, jak również w Niemczech zachodnich dla poparcia uchwał budapeszteńskiej sesji Światowej Rady Pokoju.

Wszędzie ludzie rozumieją i witają Apel Światowej Rady Pokoju, szcze-

gólnie zaś jego słowa, głoszące, że trzeba przeszkodzić działaniu tych, którzy utrudniają lub opóźniają osiągnięcie porozumienia.

Prawda, bijąca z Budapesztu, jest silniejsza, niż prowokacje z 17 czerwca. Naszym zadaniem jest coraz bar-

dziej prawdę tę rozpowszechniać. Trzeba zjednać dla niej poparcie narodu niemieckiego na wschód i na zachód od Łaby, trzeba popierać wszelką inicjatywę, która by umożliwiła pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego.

W odpowiedzi na list, wysłany do Niemieckiej Rady Pokoju przez Polski Komitet Obronców Pokoju w dniu 2 lipca, którego tekst zamieściliśmy w nr 8 (26) „W Obronie Pokoju”, Niemiecka Rada Pokoju nadesłała następującą depeszę do PKOP:

Berlin, 19 lipca 1953 r.

Drodzy Przyjaciele!

Z wielką radością i wdzięcznością powitaliśmy Waszą depeszę, dotyczącą wypadków z 16 i 17 czerwca. Dowiodła nam ona, że w tych dniach, w których wrogowie pokoju usiłowali przeszkodzić budownictwu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, naród polski stanął mocno po stronie demokratycznych i pokojowych sił w Niemczech.

Możecie być przekonani, że w dalszym ciągu kroczyć będziemy drogą pokojowego budownictwa i dobrosąsiedzkich stosunków, że wszystkie nasze wysiłki mają na celu szybkie zjednoczenie naszej ojczyzny w myśl zasad Układu Poczdamskiego. Jesteśmy również przeświadczeni, że wspólnie z miłującymi pokój ludźmi na świecie osiągniemy ten cel, przez co usuniemy z Europy główne niebezpieczeństwo, jakim jest niebezpieczeństwo wojny.

Dumni jesteśmy, że cieszymy się poparciem i przyjaźnią naszego sąsiada — narodu polskiego. Obowiązkiem każdego uczciwego, szczerzego i pokój miłującego Niemca będzie okazać się godnym tej przyjaźni.

Z pokojowym pozdrowieniem

NIEMIECKA RADA POKOJU

(—) H. Willman

Sekretarz Generalny

„Nazywaj mnie Müller!”

NIE życzył sobie, abym zamieścił jego nazwisko. „Niech mnie Pan nazywa Müller, jeżeli ma Pan ochotę. Nie jest konieczne, aby Adenauer wiedział o więzach, łączących mnie z ruchem w obronie pokoju”. I wyjaśnił mi, że w Niemczech zachodnich dąży się do zdyskredytowania tych, którzy opowiadają się za pokojem, nazywając ich komunistami, lub też nasyłając na nich policję.

Powoli, przesuując czasem ręką po czole, jakby dla odpędzenia natręctwowego obrazu, opowiada swą historię. W Berlinie przed dwoma laty pewien młody człowiek powiedział mi: „Było to w czasie wojny. Musiałem sam przejść przez las, gdzie leżały porzucone zwłoki radzieckich żołnierzy. Pozostałem zupełnie obojętny, ponieważ uczono mnie, że Rosjanie to mniej niż psy”.

Müller jest innym typem młodego Niemca, w którym hitleryzm nie zniszczył wszelkich uczuć ludzkich. Jego bunt przeciw okropnościom wojennym doprowadził go do walki na czele Młodzieży Katolickiej przeciw powrotowi do ducha militarizmu, awanturnictwa — przeciw śmieci.

MICHEL DEBONNE

URODZIŁEM się w 1932 r., jako szóste dziecko w rodzinie robotniczej. Mój ojciec był od kilku miesięcy bezrobotny. Długo szukał pracy, występował w ogonkach wraz z setkami innych u drzwi fabryk i urzędów zatrudnienia.

W następnym roku — 1933, kiedy Hitler objął władzę, ojciec mój, który przedtem nigdy nie miał nic wspólnego z hitleryzmem, wstąpił do partii narodowo-socjalistycznej i natychmiast otrzymał pracę.

Moje dzieciństwo upłynęło pod pod-

wójnym wpływem — matki, bardzo pobożnej i bardzo praktykującej i ojca, wciągane go w tryby faszyzmu. Już we wczesnej młodości matka wpoila we mnie krytyczny pogląd na hitleryzm i mimo że należałem do dziecięcych organizacji hitlerowskich, jej wpływ wywarł na mnie swe piętno.

Od 1942 r. po klęsce pod Stalingradem ojciec mój zaczął się wycofywać. W domu mówił półgłosem, że Niemcy nie będą już mogli wygrać wojny i że idziemy ku katastrofie.

Kiedy Amerykanie weszli do nasze-

go małego miasteczka w Westfalii, miałem 12 lat. Wywarło to na mnie wielkie wrażenie, tym bardziej, że na parę tygodni przedtem ojciec mój otrzymał list od krewnych ze wschodu, którzy opowiadali o obozach koncentracyjnych. Ojciec mój spalił ten list.

Wszystko to wstrząsnęło mną głęboko i schroniwszy się w ramiona matki modliłem się, aby nigdy już nie było wojen.

Od kwietnia 1945 r. do końca listopada szkoły pozostały zamknięte. Nauka rozpoczęła się tuż przed Bożym Narodzeniem. Nauczyciele byli szczególnie neutralni. Przemilczali przeszłość, a jeżeli któryś z nas pytał o wydarzenia, któreśmy przeżyli, odpowiadali nam, że nie należy mówić o „tych rzeczach“.

W 1946 r. wstąpiłem do grupy dzieci katolickich. Było takich sporo w naszej szkole. Po cichutku dyskutowaliśmy na temat klęski i krytykowaliśmy dawny reżim. W rok potem opuściłem szkołę. W tym samym czasie, kiedy znalazłem zatrudnienie jako czeladnik, przystąpiłem do jednej z grup Młodzieży Katolickiej. Nasza grupa była wtedy jedną z rzadkich w tej organizacji i w ogóle wśród niemieckiej młodzieży, która nie chciała powrotu dawnych metod i która otwarcie głosiła naszą wolę pokoju.

Przeczytałem właśnie książkę Wolfganga Borcharda: „Draussen vor der Tür“ („Nazewnątrz przed drzwiami“) i byłem nią wstrząśnięty. Autor opisywał los niemieckiego żołnierza. Podoficer Beckmann, powracając z frontu rosyjskiego, uświadamia sobie swoją winę — zabijał. I stara się znaleźć nową drogę życia.

Aż do 1948 r., a nawet w 1949 r. by-

ło dosyć modne mieć poglądy, przeciwne faszyzmowi i na rzecz pokoju. Po 1949 r. nie było to już dobrze widziane. W tym właśnie czasie kiedy w mojej grupie zrozumieli, że nie wystarczy opowiadać się za pokojem, ale trzeba dać temu wyraz.

Nie przystąpiliśmy do akcji politycznej, ponieważ nie wiedzieliśmy, jak się do tego zabrać. Woleliśmy dyskutować i krytykować. Wtedy to zwróciliśmy uwagę na politykę Adenauera, który w podległej sobie prasie usiłował przedstawiać umysły na remilitaryzację.

Zaniepokojeni, zwróciliśmy się w styczniu 1950 r. do kierownictwa Młodzieży Katolickiej w Republice Federalnej, prosząc o zaznajomienie nas z opinią organizacji w sprawie remilitaryzacji. Spodziewaliśmy się, że odpowiedź będzie brzmiała: „Jesteśmy przeciwni“. Ale list nasz pogrzebano w szufladach komisji i kierownictwo nigdy się z nim nie zapoznało. Przynajmniej tak twierdzi.

W czasie Zielonych Świątek w 1951 r. przywódcy Młodzieży Katolickiej spotkali się w Würzburgu. Przewodniczący złożył oświadczenie na rzecz remilitaryzacji. Młodzi bojownicy katolicy, tacy jak ja sam, dowiedzieli się o tym z gazet. Wielu kierowników grup zaprotestowało i wysłało telegramy, których oczywiście nie opublikowano. Byliśmy zdezorientowani.

Młodzież w Niemczech zachodnich grupuje się w wielu organizacjach: katolickich, protestanckich itp. Wszystkie te organizacje — z wyjątkiem FDJ, Wolna Młodzież Niemiecka, zakazana przez rząd — skupione są w jednej Federacji Młodzieży. Co jakiś czas Federacja organizuje konferencję. W dniu 4 kwietnia 1952 r. przedstawiciele wszy-

stkich organizacji młodzieży zebrani w Helmstein opowiedzieli się przeciw remilitaryzacji. Jedynie kierownictwo Młodzieży Katolickiej potwierdziło swe poprzednie stanowisko.

Przywódcy nasi zajęli to przychylnie dla remilitaryzacji stanowisko bez jakiegokolwiek porozumienia się z grupami, bez zasięgnięcia opinii wszystkich młodych katolików, lub choćby tylko kierowników grup.

Po tym doświadczeniu moja grupa i inne starały się spotkać z naszymi przywódcami, ponieważ nie chcieliśmy, aby opinia publiczna wierzyła, że jednomyślnie zajmujemy takie stanowisko. Ale nigdy nie udało nam się uzyskać takiej rozmowy. Pretekstem, do jakiego uciekali się nasi przywódcy, był najczęściej brak czasu.

Toteż przed rokiem, w dniu 13 lipca 1952 r. zaprosiliśmy kierowników grup, sprzeciwiających się polityce naszych przywódców na posiedzenie w Essen. Zaprosiliśmy również przywódców organizacji, którzy jednak nie przybyli.

Było nas tam stu młodych. Stu obecnych, zdecydowanych dać nauczkę naszym przywódcom, wszyscy zgodni, aby zażądać od nich publicznego oświadczenia o naszym sprzeciwie wobec remilitaryzacji. W miarę rozwoju dyskusji stwierdziliśmy, że problem remilitaryzacji miał aspekt nie tylko ludzki, ale także polityczny.

To słowo **polityczny** służyło zawsze za pretekst do wywołania atmosfery strachu. Toteż wielka ilość obecnych uznała, że w naszej organizacji nie można mieszać problemów religijnych i politycznych. Dlatego 75 spośród nas założyło „Koło Pracy Młodych Katolików przeciw polityce remilitaryzacji“.

W wyniku posiedzenia wydaliśmy biu

letyn, zawierający dwa oświadczenia: jedno, podpisane przez stu obecnych, o czym mówiłem i oświadczenie 75, które dodawało w sposób bardziej konkretny, że wszyscy członkowie Młodzieży Katolickiej winni orientować się na bieżąco w akcji politycznej swych przywódców, którzy nadużywali ich zaufania.

Ze wszystkich gazet tylko „Frankfurter Allgemeine Zeitung“ zamieściła treść naszych oświadczeń.

Nie upłynął miesiąc, a przywódcy Młodzieży Katolickiej poradzili nam opuścić „Koło“, zapowiadając, że w przeciwnym wypadku zostaniemy usunięci z organizacji. Na ten szantaż odpowiedzieliśmy wydaniem przeglądu „Wiara i rozum“.

Ten układ sił nie zmienił się od sierpnia 1952 r. Nie zostaliśmy usunięci i nadal pozostajemy członkami Młodzieży Katolickiej. Nie wolno nam już uczestniczyć w posiedzeniach, ale mamy prawo wybierać przedstawicieli. Pozostało nas siedemdziesięciu pięciu, owych „75“, mimo że wielu kolegów wyraziło chęć przystąpienia do nas. Postępujemy tak dlatego, aby uniknąć wykluczenia ich z organizacji i aby nas reprezentowali na zgromadzeniach organizacji.

Na zebrania nasze przychodzi coraz więcej młodych katolików, którzy przychylnie odnoszą się do poglądów, głoszonych przez „75“. Właśnie w czasie dyskusji na tych zebraniach stwierdziliśmy, że nie wystarczy mówić, iż chcemy pokój, że nie wystarczy pracować tylko wśród nas samych, ale, że winniśmy spotykać się z innymi, którzy myślą tak jak my, którzy tak jak my pracują dla sprawy pokoju.

Oto dlaczego nawiązałem kontakt z ruchem w obronie pokoju.

Perspektywy pokoju w Indochinach

PISMO nasze omawiało wszystkie aspekty problemu wojny w Indochinach. W specjalnym artykule dokumentarnym przypomnieliśmy historię tego konfliktu i zmarnowanych sposobności przywrócenia pokoju. Pismo nasze zamieściło poglądy wielu francuskich osobistości o konieczności i sposobach zakończenia tej wojny. Ostatnio zamieściliśmy wypowiedzi Jean - Paul Sartre'a, Jacques Madaule i Gilberta de Chambrun.

A oto dzisiaj widzimy, jak argumenty ich znalazły w większej części poparcie urzędującego ministra francuskiego, Francois Mitteranda, autora ostatnio wydanej książki: Aux Frontieres de l'Union Francaise („Na granicach Unii Francuskiej”).

Poniżej cytujemy kilka bardzo zwięzłych uwag z tej książki.

O tych, którzy utrzymują, że skoro tam przybyliśmy (do Indochin), naszym obowiązkiem jest tam pozostać:

„Czy wystarczyłoby zatem, że żołnierz francuski wieczorem po zwycięstwie przygotował sobie biwak gdziekolwiek na świecie, aby na nasz naród spadł na zawsze obowiązek podtrzymywania tam ognia?

Ciekawe pojęcie honoru, które zaprowadziłoby nas do roszczenia sobie dzisiaj pretensji do Ilirii i Mediolanu, do Ukrainy i Egiptu, do Palatynatu i do Palestyny“.

O tych, którzy mówią, że podboje wojskowe opłacają się:

„Od 1946 r. wydawaliśmy 350 milionów franków na cele rozwoju gospo-

darczego Afryki, ale wojna w Indochinach kosztowała nas około 3.000 miliardów“.

O wykroczeniach krajów kolonizatorskich, które nie zadość uczyniły prawdziwym dążeniom narodów, znajdujących się pod ich powiernictwem, i o roli Czang Kai-szeka, Li Syn-mana i Bao Dai:

„Być może, że Stany Zjednoczone... mogłyby zaspokoić potrzeby tylu niezadowolonych ludów. Niestety, kierując się przesłankami strategicznymi, wybrały obóz tych, którzy zostali pobici. W rzeczywistości Czang Kai-szek Li Syn-man i Bao Dai reprezentują ten sposób życia, którym wypowiedziano walkę. Bez udziału białych, byłoby zmiażdżeni, z nimi — nie uda im się zyskać u siebie gruntu pod noga-

mi. Za jednym zamachem skompromitowali swoich sprzymierzeńców“.

O Bao Dai:

„Naród indochiński, znużony wojną i dążący do uzyskania, jak jego północni sąsiedzi, ziemi, którą uprawia, oczekuje zwycięstwa nie Bao Dai, ale Vietminhu. Były cesarz otrzymał wprawdzie od Francuzów uznanie niepodległości Vietnamu, ale nie zamierza zlikwidować niesprawiedliwości i nierówności. I nie może on bynajmniej inaczej postępować, bowiem stoi na gruncie przestarzałego systemu, jest wyrazicielem tego systemu“.

O niebezpieczeństwie umiędzynarodowienia wojny:

„Ponieważ rzekło się słowo — komunizm to wróg — Francja w związku z tym bierze na siebie międzynarodowy obowiązek i bije się w imię wolnego świata. Nie może już więc opuścić Indochin bez separatystycznego pokoju z komunizmem (...) Jasne jest, że jeżeli strony wojujące nie mają odwagi lub swobody nawiązywania rokowań bez uciekania się do wyższych instancji i bez zatrzymywania się na ideologicznych rozważaniach pokój długo jeszcze nie powróci do Vietnamu“.

O znaczeniu Vietminhu dla narodów Indochin i o niemożliwości rokowań między Vietminhem a Bao Dai:

„Ale przede wszystkim nie może być mowy o bezpośrednich rokowaniach między Vietminhem a Bao Dai, gdyż jeden i drugi reprezentują antagonistyczne siły. Miliony ludzi przeżyły już tam wierzyć w nieuniknione panowanie głodu, nędzy i strachu. Od chwili zwycięstwa Mao (w Chinach) nadzieja ogarnęła najszerze masy“.

O niedoleżnej polityce Francji:

Co chcieliśmy uzyskać od Ho Szimina? Aby uznał przewagę Francji nie tylko we wspólnym organie, który ma z Paryża kierować i kontrolować Unię Francuską, ale na samej ziemi vietnamskiej, w ramach jakiejś Federacji Indochińskiej? Cóż przyznaliśmy Bao Dai? Niepodległość, jedność i pełną suwerenność Vietnamu. Pierwszemu wypowiedzieliśmy wojnę. Drugi jest naszym sojusznikiem. Jeżeli wygramy wojnę, nasz sojusznik osiągnąłby cel, który sobie wytknął nasz przeciwnik“.

O tym, co by się stało w wypadku zwycięstwa strony francuskiej:

„Jeżeli Francja zwycięży w Indochinach, walczyć będzie dziesiątek lat (według najbardziej optymistycznych przypuszczeń kół oficjalnych), aby pozwolić Jego Cesarskiej Mości Bao Dai panować w niepodległym i zjednoczonym państwie“.

O powikłaniach, w jakie kolejne rządy wciągnęły Francję w Indochinach:

„Francja stanie się wierzycielem świata zachodniego dzięki usługom oddanym w wojnie antykomunistycznej, a pomoc, którą otrzyma, będzie jedynie odszkodowaniem za oddaną usługę. Takie kalkulacje doprowadziły do tego, że panowie Mayer, Bidault i Letourneau uzyskali w Waszyngtonie uznanie współzależności frontów w Indochinach i w Korei. Czyżby nie zauważyli, że wpłatali tym samym Francję w tryby, którego mechanizmem nie będą kierować?“

O niekonsekwencji tego stanowiska:

„Nie można żądać od naszych sojuszników, aby pokrywali 65 proc.

wydatków i odmawiać im wszelkiego prawa kontroli nad wykorzystywaniem kredytów. Nie można jednocześnie szczerze dążyć do pokoju i uznać wojnę, w której nieprzyjaciół reprezentuje 600 milionów ludzi.

A jednak to właśnie wynika ze sprzecznych wystąpień, które prowadzą nas zawsze do wybierania między niemożliwościami. Jest więc pilną rzeczą powrócić do bardziej realistycznej i słuszniejszej koncepcji francuskiej misji w Azji południowo-wschodniej i wyciągnąć stąd pożyteczne konsekwencje polityczne.

I czyż nie wydaje się oczywiste, że zamiast rozszerzać wojnę do proporcji wszechświata, Francja winna ją ograniczyć? Przede wszystkim w dziedzinie ideologicznej. Nasz przeciwnik to Vietminh i dowódca Vietminhu, Ho Szi-min (istnieje skłonność do zapomniania o tym fakcie, tak dalece jesteśmy pochłonięci fantastycznymi planami).

Wynika stąd, że nie można pertraktować z tym człowiekiem, jeżeli Vietminh sam tego nie chce. Ale jest również rzeczą oczywistą, że jeżeli wypowiadamy wojnę międzynarodowemu komunizmowi, nie nawiążemy żadnego kontaktu z jego przedstawicielami czy to lokalnymi, czy to regionalnymi. Oszustwem jest utrzymywać w tych warunkach, że chcemy pokoju. Uczciwie trzeba będzie wyznać, że jedynym zakończeniem konfliktu byłoby zmiażdżenie przeciwnika“.

O paradoksach polityki francuskiej:

„Zobowiązania wojny na Dalekim Wschodzie wpędzają nas w zadziwiająco paradoksalne sytuacje. Czyż

nie domagamy się amerykańskiej pomocy na cele wojny w Indochinach? Ale protestujemy przeciw ingerencji Stanów Zjednoczonych w Afryce Północnej. Czyż nie służymy z zapalem sprawie wietnamskiego nacjonalizmu? Ale jednocześnie deportujemy Bourguibę (przywódca nacjonalistów tuniskich). Chcemy zwrócić się do ONZ, jeżeli Chiny Ludowe wystąpią czynnie w Vietnamie? Ale głosiliśmy niekompetencję ONZ w sprawie marokańskiej i tuniskiej“.

O konieczności lawirowania:

„Czy będzie on miał odwagę (Bisdault) zatrzymać pogoń za chimarami? Z politycznego i dyplomatycznego punktu widzenia doprowadziliśmy — nie mówiąc o tym — do umiędzynarodowienia wojny w Indochinach. Ostatnią z rzędu pomyłką byłoby teraz ściąganie na nas olbrzymich sił wojskowych wroga.

Zresztą ONZ starannie będzie się strzegła rozpoczynania ponownie awantury typu koreańskiego. Interwencjonizm tej organizacji nie posunie się aż do poświęcenia jednego choćby człowieka czy jednego grosza dla pięknych oczu któregoś z mocarstw kolonialnych. Ponieważ możemy liczyć wyłącznie na siebie samych, byłby czas oświadczyć to Francuzom bez ogródek“.

O tych, którzy nie znoszą krytykowania tej wojny:

„Tak w parlamencie, jak i w opinii publicznej przeciwstawia się zwolenników utrzymania stanu wojny w Indochinach zwolennikom jej zaprzestania, pod czym należy się domyślać, że po jednej stronie znajdują się niezłomni patrioci, a po drugiej kapitulanci.

To prostackie rozróżnienie nie zasługiwałoby na uwagę, gdyby nie powtarzały go nieustannie ważne osobistości oficjalne, a w szczególności ludzie, bezpośrednio odpowiedzialni za naszą dyplomację i za prowadzenie wojny. Można sobie doskonale wyobrazić, że ci właśnie ludzie z urzędu ustawiają się w pierwszej kategorii. Wcielając najwyższy interes ojczyzny, nie lubią, gdy dyskutuje się na temat ich poczynań; w ciągu kilku lat udało im się wydzielić — w łonie polityki francuskiej — odcinek nietykalny“.

O tych, którzy utrzymują, że korpus ekspedycyjny mógłby wygrać tę wojnę:

„Polityka, oparta na sukcesach wojсковых, dążąca za wszelką cenę do zwycięstwa, nie może zadowalać się dotychczasowymi atutami.

Byłoby rzeczą ryzykowną chcieć ją urzeczywistnić w oparciu o korpus ekspedycyjny, ograniczony do naszej armii zawodowej i elementów, werbowanych w Unii Francuskiej, nawet gdyby go podwoić dywizjami krajowców.

Francja będzie musiała zaciągnąć wszystkich do szeregów, mobilizować, ekspatriować roczniki poborowe, przestawić swą gospodarkę. W przeciwnym razie dojdzie do katastrofy.

Trzeba zatem albo zrezygnować ze stawiania jej nieosiągalnych celów w obecnym stanie jej sił, albo zwiększyć te siły bez obawy niepopularności“.

O wyborze, którego trzeba dokonać:

„Ewentualność rokowań z Ho Szminem wydaje się wam skandaliczna? Istotnie można woleć od niej konferencję w siedmiorgo, lub wysłanie

kontyngentów na śmiertelną walkę. Skoro wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, skoro w sposób nieuchronny Francja wycofa się z politycznej areny na Dalekim Wschodzie, chodzi już tylko o znalezienie rozwiązania, które — z poszanowaniem naszych zobowiązań wobec Wietnamu — kosztowałoby nas jak najmniej sił i energii, potrzebnej do tylu pięknych zadań, stojących przed nami w innych stronach świata.

Byłoby oszukiwaniem naszego narodu pozwalać mu wierzyć, że istnieje wybór między walecznym bojem a haniebną kapitulacją, między korzystnym zwycięstwem a zgubnym przerwaniem działań oraz ukrywać przed nim cenę, warunki i skutki wojny“.

O „światowej misji“ Francji:

„Bidault, chcąc zainteresować Stany Zjednoczone „naszą światową misją“, wskazuje tego samego wroga — komunizm. Powiada im krótko: „Francja bije się po to, aby obronić południo-wschodnią Azję przed śmiertelnym niebezpieczeństwem“. Otóż jestem przeświadczony, że nie tam znajduje się misja Francji... „Światowa misja“ Francji — nie polega na mieżeniu się jednocześnie wszędzie do wszystkiego. Jeżeli honor stawia przed nami w Azji ograniczone w czasie zobowiązania, nie wymaga on przecież, abyśmy się zagubili we wschodnim zamieszaniu. Otóż współzależność stanowi pierwsze ustępstwo na rzecz tego nieuchronnego prawa, rządzącego wydarzeniami i nic tu nie pomogą żadne zaprzeczenia rządu. „Światowa misja“ Francji równałaby się wówczas poświęceniu. Bidault wienien się nad tym zastanowić“.

Francois Mitterand analizuje w swojej książce wszystkie akta sprawy

indochińskiej. Oczywiście nie zawsze się z nim zgadzamy, jeżeli chodzi o jego opinię o przeszłych lub obecnych wydarzeniach. Na przykład nie sądzimy, aby zainteresowanie Vietminhu dla rokowań pokojowych wywodziło się, jak myśli Mitterand, z chęci uniknięcia zaboru chińskiego, ale po prostu z zupełnie naturalnego pragnienia położenia kresu tej okrutnej i niesprawiedliwej wojnie, która zubożyła jego ojczyznę i dziesiątkuje ludność. Ale różnice oceny są nieważne. Ważne jest natomiast, że zdaniem Mitteranda:

1. Francja nie może wygrać wojny w Indochinach bez wprowadzenia do walki armii regularnej (czego, zdaniem całego świata, naród francuski nigdy by nie zniósł).
2. Francja nieuchronnie musi wycofać się z politycznej areny na Dalekim Wschodzie.
3. Pokój może być zawarty pod warunkiem, że strony walczące same podejmą inicjatywę wspólnych rokowań. Przeciwnikiem Francji jest Ho Szi-min.

Ale oczywiście, dodaje Mitterand, trzeba jeszcze, aby chciał tego Ho Szi-min.

Powiemy po prostu panu Mitterand, że gdyby przybył wraz z nami na Kongres Narodów w Wiedniu, byłby przeświadczony, tak jak my jesteśmy, o woli rokowań prezydenta Ho Szi-mina. Powtarzamy to, o czym już pisaliśmy w naszym miesięczniku, że obecne w Wiedniu delegacje narodów Indochin wyrażały poglądy swoich rządów, zarówno Vietnamu, jak Patet Lao czy Kambodży. Wszyscy ci przedstawiciele narodów indochińskich powiedzieli: pragniemy pokoju.

A w czasie rozmów z delegatami francuskimi przedstawili nam bazę rokowań i pokoju:

— Uznanie całkowitej niepodległości trzech krajów — Vietnamu, Patet Lao i Kambodży.

— Ewakuacja wojsk korpusu ekspedycyjnego tych trzech krajów.

— Zagwarantowanie przez narody Indochin bezpieczeństwa korpusu ekspedycyjnego.

Poza tym — co dałoby Francji wielkie korzyści — kraje Indochin byłyby jak najbardziej skłonne zawrzeć z Francją ważne układy kulturalne i handlowe.

Gdyby francuskie osobistości polityczne ze wszystkich partii były obecne w Wiedniu, mogłyby zadawać pytania, jak myśmy to czynili i upewnić się o szczerości tych wypowiedzi odpowiedzialnych osobistości indochińskich.

Praca Francois Mitteranda pozwala nam poczynić trzy zasadnicze uwagi. Pierwsza — że nawet w łonie obecnego rządu francuskiego podniósł się głos na rzecz pokoju w Indochinach. Druga wynika z pierwszej: konieczne jest, aby kampania na rzecz pokoju w Indochinach stała się w najbliższych tygodniach tak szeroka, aby rząd uznał, że jest zobowiązany powstrzymać wyścig do chimery (od czego Bidault zdaje się jeszcze daleki) i wstąpić na drogę rokowań z Ho Szi-minem. Trzecia uwaga jest jednocześnie i życzeniem: dobrze byłoby zarówno dla Francji, jak i dla całego świata, aby politycy ze wszystkich partii uczestniczyli w kongresach i konferencjach w obronie pokoju.



Bolesny problem krajów gospodarczo zacofanych

WYWIAD z
SIR SINGH SOKHEY

PARLAMENT Indii składa się z dwóch izb — z Izby Ludowej, gdzie zasiada 500 delegatów, wysuniętych w tajnych wyborach we wszystkich prowincjach Indii i z Wysokiej Izby lub Rady Państw, gdzie zasiada 260 senatorów, wybranych przez posłów, wchodzących w skład zgromadzeń ustawodawczych każdej prowincji, jak również 12 honorowych senatorów, wybranych bezpośrednio przez przewodniczącego parlamentu oraz przedstawiciela nauki, sztuki i literatury. Jednym z takich honorowych senatorów jest generał Sir Sahib Singh Sokhey, który stał na czele delegacji hinduskiej na sesję Światowej Rady Pokoju w Budapeszcie.

Dyrektor Instytutu Haffkina w Bombaju przez dwadzieścia pięć lat, zastępca dyrektora Światowej Orga-

nizacji Zdrowia w latach 1950 — 1952; generał Sir Sahib Singh Sokhey jest jednym z najwybitniejszych uczonych w Indiach. Propozycja, którą w imieniu delegacji hinduskiej przedłożył w Budapeszcie w sprawie apelu do całej ludzkości i na rzecz zwycięstwa ducha rokowań nad duchem wojny, stała się myślą przewodnią obrad Światowej Rady Pokoju na ostatniej sesji.

Jako lekarz, Sir Sahib Singh Sokhey interesuje się szczególnie problemem służby zdrowia, który stoi przed jego krajem i przed krajami gospodarczo zacofanymi w ogólności i bada jego ekonomiczne przyczyny. Ta sprawa leży mu najbardziej na sercu, toteż skorzystaliśmy z jego pobytu w Budapeszcie, by z nim pomówić na ten właśnie temat:

1. — Jakie cechy charakteryzują ekonomikę krajów gospodarczo zacofanych, a w szczególności Indii?

— Europejczycy mają niejednokrotnie skłonność do powierzchownego

oceniania spraw, dotyczących dalekich krajów. Mają swoje własne zmartwienia. Ale jakkolwiek kryzysy, które muszą rozwiązywać w Europie są dostatecznie poważne, by

absorbować bez reszty ich uwagę, nie mniej chciałbym podkreślić, że problemy, dotyczące krajów gospodarczo silnie rozwiniętych, nie mają ani tego zasięgu, ani tego kluczowego znaczenia dla przyszłości świata, co problemy, które stają przed krajami gospodarczo zacofanymi.

Różnica ta wystąpiła z całą wyrazistością w rozmaitych raportach, przedstawionych na Międzynarodowym Kongresie Lekarzy, poświęconym badaniu warunków życia narodów.

Kongres ten odbył się wiosną tego roku w Wiedniu. Wzięło w nim udział dwustu wybitnych lekarzy i uczonych z 31 krajów i pięciu kontynentów. Był to pierwszy Kongres Lekarski, poświęcony wyłącznie badaniu społecznego aspektu medycyny, wpływu wojny na warunki życia i zdrowie narodów. Raporty, przedstawione przez lekarzy, przybyłych z Algeru, z kolonii francuskich, z Afryki, Argentyny, Brazylii, Chile, Grecji, Indii, Iranu i Libanu podkreślały zgubne działanie nędzy mieszkaniowej, niedostatecznego i nieodpowiedniego odżywiania, braku opieki społecznej i szkodliwej dla zdrowia pracy na zdrowotność ich narodów.

Na przykład w moim kraju, który przez dwa wieki znajdował się w ucisku kolonialnym i który nie miał jeszcze czasu zlikwidować smutnej spuścizny tego ucisku, śmiertelność wynosi 16,5 proc., gdy tymczasem w Stanach Zjednoczonych — 9,6 proc. W pierwszym roku życia umiera w Indiach 20,5 proc. dzieci, gdy tymczasem w Wielkiej Brytanii tylko 4,7 proc. dzieci umiera przed ukończeniem pierwszego roku życia.

W Indiach 20 proc. dzieci umiera przed ukończeniem 10 lat życia. Przeciętnie długość wieku jest krótka, bo nie przekracza 31 lat, a więc wynosi połowę długości życia w krajach rozwiniętych. W tym krótkim okresie życia Hindusa nieustannie grożą choroby. Co roku sto milionów ludzi choruje na malarię, milion z nich na nią umiera. Gruźlica i inne zakaźne choroby dziesiątkują ludność. Około 60 proc. nie może pozwolić sobie nawet na jeden pełny posiłek dziennie. a wynikające stąd niedożywienie utrzymuje ludność w ciągłym stanie złego zdrowia.

W dziedzinie oświaty jesteśmy poważnie opóźnieni. 80 proc. dzieci nie otrzymuje żadnego wykształcenia.

Krańcowa nędza, zacofany charakter tych okręgów są rezultatem wyzysku. Wzrost ten polega na traktowaniu jakiegoś kraju jako źródła tanich surowców i taniej pracy oraz na zaniedbywaniu, lub utrudnianiu jego industrializacji. Szczęściem dla naszego pokolenia możliwa jest szybka ewolucja gospodarcza. Nowoczesna technika w rolnictwie i w przemyśle umożliwia skuteczny i tani rozwój bogactw naturalnych.

Ale istnienie tej nowoczesnej techniki nie pociąga za sobą automatycznego stosowania jej zdobyczy. Wykorzystywanie i zwiększanie zasobów to funkcja polityki, prowadzonej przez każdy kraj z osobna, co szczególnie dotyczy krajów gospodarczo zacofanych. W tych krajach przemiany gospodarcze muszą wynikać z uzgodnionych poczynań i planowania, które pozwoliłoby na stosowanie nowej techniki, zwiększającej wydajność bogactw naturalnych. Na

rody winny zatępniać domagać się wprowadzenia w życie wymaganych warunków, by móc korzystać z przemian gospodarczych. Ale żądania narodów tylko wtedy uzyskują potrzebny ciężar gatunkowy i rozmach, kiedy wyzwolą się z obojętności strachu przed wojną, wykorzystywanego czasem w celu skierowania umysłów na ciasne problemy narodowe.

2. — *Czy charakter stosunków handlowych Indii z zagranicą umożliwi i zachęca do rozwoju gospodarczego kraju, a w szczególności do jego uprzemysłowienia?*

— Główną przyczyną niskiego stopnia rozwoju ekonomiki krajów gospodarczo zacofanych jak Indie, czy kraje południowo-wschodniej Azji jest fakt, że kraje te nigdy nie utrzymywały z zagranicą stosunków handlowych, opartych na zasadzie równości i wzajemności. Stosunki handlowe z zagranicą, oparte na tej zasadzie równości i wzajemności oraz nie zagrażające niczyjej niepodległości są właśnie podstawowym warunkiem podniesienia na wyższy stopień uprzemysłowienia tych krajów, a więc zwiększenia eksploatacji ich bogactw naturalnych w celu podniesienia poziomu życia narodów. Podstawową prawdą jest, że bez silnie rozwiniętego przemysłu nie można podnieść poziomu życia ludności.

Wprowadzając w Indiach plan pięcioletni, rząd hinduski rozumiał tę prawdę. Pandit Nehru, przedstawiając plan pięcioletni w parlamencie, podkreślił, że jedynym sposobem zwiększenia bogactwa kraju i podniesienia poziomu życia narodu jest uprzemysłowienie i że chcąc osiągnąć

powodzenie na tej drodze trzeba na samym początku położyć nacisk na przemysł ciężki i na przemysł chemiczny, co umożliwi produkcję środków produkcji.

Ale hinduski plan pięcioletni nie mógł kierować się tą zasadą. Faktycznie rząd hinduski podporządkowany był wymaganiom, wynikającym z charakteru jego obecnych stosunków handlowych ze Stanami Zjednoczonymi i z Wielką Brytanią.

Przez przeszło dwa stulecia handel Indii z zagranicą, a w rzeczywistości handel zagraniczny całej południowo - wschodniej Azji, powodował gospodarcze podporządkowanie tych krajów i przekształcenie ich w producentów surowców na służbie angielskiego wielkiego przemysłu.

W rezultacie gospodarka Indii była całkowicie niezrównoważona. Charakteryzowała ją produkcja dla celów eksportu rud i produktów rolniczych, przeznaczonych dla przemysłu włókienniczego. Indie eksportowały jute, herbatę, nasiona olejiste. Importowały natomiast artykuły konsumpcyjne, a nawet produkty żywnościowe.

Dzisiejsza formalna niepodległość Indii niewiele zmieniła w ich stosunkach handlowych z zagranicą. Dlatego hinduski plan pięcioletni, mimo że podkreśla znaczenie rozwoju ciężkiego przemysłu, kładzie przede wszystkim nacisk na produkcję dóbr konsumpcyjnych, na przemysł włókienniczy i na służącą temu przemysłowi produkcję rolniczą. Ten kierunek, zmierzający do eksploatacji rolnictwa, musi pogłębić kryzys rolnictwa i co za tym idzie — epidemie głodu, których główną przyczy-

na jest fakt, że wielką część ziemi rezerwuje się na cash crops (zbiory dla uzyskania gotówki), to znaczy na uprawę produktów, nadających się do eksportu, jak juta, cukier itp.

Nie zapominajmy o archaicznym charakterze naszej techniki rolnej. Zbiory zależą wyłącznie od obfitości deszczów lub od suszy, a zaprojektowane groble, które mają opanować rzeki, regularnie występujące z brzegów, będą wykonane całkowicie w ramach planu pięcioletniego dopiero w 1956 r.

W sprawozdaniu Rady Gospodarczej ONZ stwierdzono niedawno, że produkcja zbóż w Indiach nie tylko nie wzrosła, ale maleje, jakkolwiek Indie mogłyby doskonale pokrywać swe zapotrzebowanie w dziedzinie rolnictwa.

W latach 1950 — 51 Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zarezerwowały dla siebie 40,6 proc. eksportu Indii. Co do importu, to w 42,2 proc. pochodził on z innych krajów. Skutkiem tego Indie nie mają w dziedzinie gospodarczej ani prawdziwej wolności, ani całkowitej niepodległości. Poza tym wszelkie zmiany o charakterze czy to gospodarczym, czy to politycznym, zachodzące w Stanach Zjednoczonych lub w Wielkiej Brytanii, odbijają się natychmiast na gospodarce i handlu zagranicznym Indii.

Tak więc przejście tych krajów do gospodarki wojennej załamało handel zagraniczny i ogólną strukturę gospodarczą Indii i wszystkich innych krajów południowo - wschodniej Azji.

Wzrasta stopniowo eksport surowców, w szczególności strategicznych i zaznacza się regularny spadek im-

portu narzędzi i sprzętu, metali żelaznych i innych produktów, potrzebnych dla rozwoju przemysłowego. Wzrósł natomiast import artykułów luksusowych, jak pończochy nylonowe, chusteczki itp., których Indie wcale nie potrzebują. Jak wykazał raport gospodarczy ONZ, sytuacja ta prowadzi do upadku gospodarki hinduskiej.

Jeszcze poważniejsze skutki miało nałożenie przez ONZ embarga na handel z Chinami. Amerykańscy businessmeni mogą dzięki swej monopolistycznej kontroli nad rynkami obniżać, lub powodować obniżkę cen surowców, lub nawet czasem przestać je kupować, co pociąga za sobą masowe bezrobocie w południowo - wschodniej Azji i jeszcze większy spadek poziomowi życia.

Na skutek ograniczeń, spowodowanych embargiem na handel z Chinami, kupcy hinduscy nie mogą sprzedawać Chinom produktów, które Stany Zjednoczone bądź przestały kupować, bądź nie chcą kupować, a których Chiny poszukują i potrzebują. W rzeczywistości Pandit Nehru nigdy nie zgodził się na embargo w handlu z Chinami. W niektórych dziedzinach Indie dokonują wymiany handlowej z Chinami w oparciu o zasadę równości i wzajemności.

Trzecim zasadniczym czynnikiem dla rozwoju gospodarczego Indii jest rozporządzalność kapitałem. Rozwój krajów gospodarczo zacofanych drogą zastosowania nowoczesnej techniki wymaga poważnych inwestycji kapitału. Kraje gospodarczo zacofane mogą czerpać część tych kapitałów ze swoich rezerw.

Ale jeżeli przekształcenie ich gospodarki ma się dokonać szybko i

nie nakładać na naród zbyt wielkich poświęceń, większa część tych **kapitałów musi przybyć z zagranicy**. Tymczasem żaden międzynarodowy rynek pożyczek kapitałowych nie istnieje. Bank Międzynarodowy nie chce służyć sprawie rozwoju przemysłowego. Kieruje się on formułą, że kapitał trzeba wysyłać tam, gdzie przynosi największe zyski, a rozwój podstawowych gałęzi przemysłu w krajach gospodarczo zacofanych nie spełnia tych wymagań.

Fundusze Punktu IV, ofiarowane przez Stany Zjednoczone, nie są przeznaczone na rozwój przemysłowy krajów gospodarczo zacofanych, ale raczej rezerwuje się je na zwiększenie produkcji surowców, poszukiwanych przez Stany Zjednoczone. Program Punktu IV opiera się na raporcie Biura Badań Rozwoju Międzynarodowego. Raport ten, opracowany pod kierownictwem Nelsona Rockefellera, przyjmuje realny punkt widzenia. Ponieważ trzy czwarte importowanych surowców, figurujących na liście towarów przeznaczonych do magazynowania, pochodzi z krajów gospodarczo zacofanych, raport głosi, że Stany Zjednoczone winny zwrócić się do tych krajów, jeżeli chodzi o wszelkie zwiększenie wydobycia surowców. W rzeczywistości IV Punkt ma na celu zwiększenie produkcji surowców w krajach gospodarczo zacofanych bez zwiększenia w zamian importu narzędzi do tych krajów. Nie wspomina on nawet słowem o uprzemysłowieniu tych krajów.

Lepiej jeszcze zrozumie się cele tego Punktu IV, biorąc pod uwagę fakt, że w 1949 r. w raporcie ONZ o metodach finansowania rozwoju

ekonomicznego w krajach gospodarczo zacofanych zalecono utworzenie nowej agencji międzynarodowej, która nosiłaby nazwę „Administracji ONZ dla rozwoju gospodarczego” i której celem byłoby „finansowanie planów rozwoju gospodarczego w krajach gospodarczo zacofanych, które nie są opłacalne z finansowego punktu widzenia”.

Ta nowa agencja miałaby popierać rozwój ciężkiego przemysłu w krajach gospodarczo zacofanych. W ONZ propozycja ta napotkała natychmiast na opór ze strony Stanów Zjednoczonych. Bank Międzynarodowy ostrzegł przedstawicieli rozmaitych narodów przed wszelką polityką, prowadzącą do uprzemysłowienia krajów kolonialnych. Byłem sam w Genewie, kiedy rozpoczęła się na ten temat dyskusja w Komisji Gospodarczej ONZ.

3. — *Czy wielka kampania, zapoczątkowana przez Światową Radę Pokoju na rzecz zwycięstwa ducha rokowań nad rozwiązaniami przy użyciu siły i na rzecz umocnienia odprężenia międzynarodowego przyczyni się do gospodarczego rozwoju krajów gospodarczo zacofanych?*

— Wielkie dzieło Światowej Rady Pokoju, która zmierza do odrzucenia wojny jako narzędzia polityki, nabiera w świetle tych faktów szczególnego znaczenia. Rozwiązanie wszystkich rozbieżności drogą rokowań, wzajemny szacunek jako podstawa stosunków między krajami istotnie pomogą wyzwolić się siłom twórczym, tak potrzebnym dzisiaj w krajach gospodarczo zacofanych, w celu podjęcia pilnych zadań podniesienia poziomu życia oraz poziomu zdrowotnego i kulturalnego.

W obecnej chwili przyszłość gospodarki Indii zależy od sukcesów, osiągniętych w opracowanym przez rząd planie pięcioletnim, który nie łączy specjalnych ambicji. Ale naród hinduski dusi się. Głód, pustoszący niektóre prowincje, szerzy się w dalszym ciągu mimo wysiłków rządu.

W rzeczywistości, mimo że Pandit Nehru stara się prowadzić politykę niezawisłą i bezstronną, część jego rządu związana jest z obecnym systemem gospodarczym i obecnymi stosunkami handlowymi. Dla przeprowadzenia prawdziwej przemiany ekonomicznej w Indiach potrzeba radykalnej zmiany stosunków gospodarczych.

Inny jeszcze fakt odbił się głośnym echem w moim kraju. Było nim narodzenie się pod naszym bokiem Chińskiej Republiki Ludowej, nowych Chin, które dowiodły, że pragną pokoju, że wobec nikogo nie żywią agresywnych zamiarów i że w warunkach pełnej niepodległości chcą rozwijać swe wielkie bogactwa naturalne i dać swemu narodowi nowe życie.

W Indiach jest 80 proc. analfabetów. Nie umieją oni czytać gazet, nie orientują się w bieżącej sytuacji międzynarodowej, ale z całą uwagą śledzą ewolucję, jaka dokonuje się w narodzie chińskim. Mogę was zapewnić o podziwieniu mojego narodu

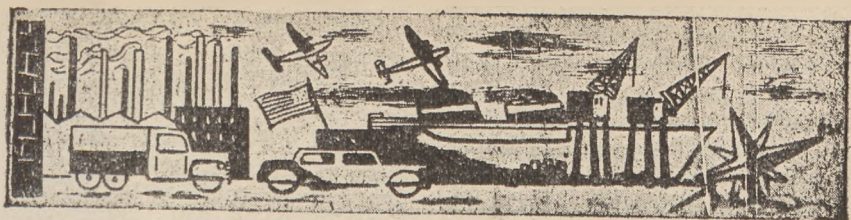
dla narodu chińskiego i powiedzieć wam, że jednym z jego największych wielbicieli jest nasz premier Pandit Nehru.

Wiadomości z Chin rozpowszechniają się w nadzwyczajny sposób. Chłopi przychodzą do miast, dowiadują się o nowych faktach i dyskutują nad nimi w powrotnej drodze do swej wioski. Niezależnie od klasy, do jakiej należą, rodacy moi uważają Chiny za przyjaznego sąsiada, z którymi zawsze żyły w dobrych stosunkach i z którymi chcą nadal żyć w przyjaźni.

Ta postawa narodu hinduskiego daje odmowną odpowiedź na propozycję generała Eisenhowera, aby „Azjaci bili się z Azjatami“. Ta postawa daje pewność, że duch pokoju i rokowań pozwoli na wprowadzenie stosunków handlowych między tymi dwoma krajami w oparciu o zasadę równości i wzajemności.

Ale wykorzystanie bogactw naturalnych, polepszenie warunków życia w Indiach będzie mogło dokonać się szybko i skutecznie jedynie wtedy, gdy cała światowa wspólnota zgodzi się na ściślejszą współpracę; a pierwszym krokiem w kierunku tej współpracy między narodami świata jest dopuszczenie, by Chińska Republika Ludowa zajęła należne jej słusznie miejsce w Organizacji Narodów Zjednoczonych.





Wymiana handlowa Wschód - Zachód

ROBERT CHAMBEIRON

W CIĄGU ostatnich miesięcy zaszło wiele wydarzeń, które wysunęły problem wymiany handlowej między Wschodem a Zachodem na pierwszorzędne miejsce na arenie międzynarodowej.

W kwietniu odbyła się w Genewie konferencja rzeczoznawców ze wszystkich krajów Europy, należących i nie należących do ONZ, z wyjątkiem Jugosławii i Turcji. Jak głosi komunikat, wydany w wyniku konferencji (toczącej się w ramach Komisji Gospodarczej ONZ dla Europy — ECE), w czasie obrad ujawniło się wiele możliwości zwiększenia wymiany handlowej między wschodnią i zachodnią częścią Europy.

W maju zebrał się w Wiedniu XIV Kongres Międzynarodowej Izby Han-

dlowej. Nie mówiąc już o obecności dwóch obserwatorów radzieckich, uznanej za ważne wydarzenie, gazety podkreślały na ogół rozbieżność poglądów między delegatami amerykańskimi z jednej strony, a pozostałymi uczestnikami Kongresu — z drugiej. Mimo, że problem wymiany handlowej między Wschodem a Zachodem nie znajdował się na porządku dziennym, był on jednak poruszany.

Pod koniec tegoż miesiąca, b. minister handlu Harold Wilson wezwał rząd brytyjski, by zaraz po zawarciu rozejmu w Korei zainteresował się problemem rozwoju handlu Wschód-Zachód. Ponadto zaproponował, aby jasno dać do zrozumienia Waszyngtonowi i tym wszystkim, którzy wprowadzili kontrolę nad handlem

artykułami strategicznymi, że należy jak najszybciej zlikwidować obecne ograniczenia w handlu międzynarodowym.

Wreszcie w czerwcu i w lipcu opinia publiczna ze szczególną uwagą śledziła podróże do Chin francuskich, belgijskich i angielskich przedstawicieli kół gospodarczych, którzy zawarli układy na poważne sumy z handlowymi organizacjami chińskimi.

B. minister handlu Wielkiej Brytanii, Wilson, już od dawna opowiadał się za podjęciem anglo-radzieckiej wymiany handlowej i w ogóle za rozwojem handlu Wielkiej Brytanii ze wszystkimi krajami Wschodu. Błędem byłoby jednak oceniać jego niedawne przemówienie jedynie jako powtórzenie opinii, dla której — nie bez powodzenia — starał się zjednać sobie opinię swojego kraju. W rzeczywistości Wilson wyraził to, co stało się bieżącą koniecznością dla szerokich kół gospodarczych w Wielkiej Brytanii. Łatwo się o tym przekonać, obserwując szeroki rozgłos jego wypowiedzi w prasie angielskiej.

Dziennik brytyjski „Times“ pisał ostatnio, że handel i transport morski mają dla Anglii życiowe znaczenie. Przy jakiej sposobności „Times“ przypomina o tym, co każdy zawsze przyznaje bez dyskusji? Przy tej mianowicie, że na tydzień przedtem senator amerykański McCarthy potępiał „jako rzecz najbardziej niewybaczalną“ wymianę handlową między Wielką Brytanią a Chinami.

Ostatnio dziennik francuski „Le Monde“ zadał następujące pytanie: „Czy amerykański senator Battle ma jeszcze dyktować odpowiedź Francji

na handlowe propozycje Wschodu?“ Dlaczego dziennik ten oburzał się na ingerencję, która wydała mu się nie do zniesienia — w sprawy wewnętrzne Francji? Dlatego, że francuski przemysł i siła robocza cierpią na poważny kryzys eksportowy i że trudno jest Francji opóźniać moment, w którym nieublaganie wystąpi konieczność reorganizacji jej handlu zagranicznego.

Przykłady takie można by mnożyć. Świadczyłyby one o wielkim ruchu, jaki rozwija się zarówno w krajach Europy zachodniej, jak w Japonii, w Ameryce Łacińskiej i w krajach arabsko-azjatyckich na rzecz podjęcia i rozwoju normalnego handlu ze Związkiem Radzieckim, Chinami i krajami demokracji ludowej.

Wiadomo, że zimna wojna zdezorganizowała układ tradycyjnych stosunków handlowych. Dążąc do zmodernizowania w sposób brutalny i arbitralny podziału pracy na świecie, wywołała ona ostry kryzys w wielu krajach. Co więcej, nie osiągnęła celu, wyznaczonego jej przez jej autorów.

Polityka dyskryminacji gospodarczej miała w rzeczywistości uniemożliwić krajom, przeciw którym się kierowała, realizację ich planów gospodarczych i tym sposobem doprowadzić do zmniejszenia ich potencjału wojskowego.

Łatwo dzisiaj ocenić rezultaty tej polityki. Jeżeli sięgniemy do najmniej podejrzanych statystyk, a mianowicie statystyk ONZ, stwierdzimy, że ogólnie biorąc kraje, przeciw którym zastosowano blokadę gospodarczą w jakiejkolwiek formie, zrealizowały swe plany ekonomiczne w prze-

widzianym okresie i w przewidzianej wysokości.

Kraje te systematycznie kontynuowały wysiłki w kierunku wzmocnienia swej wydajności gospodarczej, przystosowując się w miarę konieczności do sytuacji powstałej w wyniku wojny, którego były przedmiotem. A nawet, jeżeli niektóre z tych krajów skrzępowane były brakiem surowców lub maszyn, co jest prawdopodobne, nie zmieniły mimo to istoty właściwego im rozwoju gospodarczego i społecznego. Z tego punktu widzenia polityka blokady przyniosła zatem fiasko.

O ile jednak środki te okazały się bezsilne, by zmienić bieg historii w krajach, zwanych „wschodnimi“, miały one natomiast pewne ujemne skutki dla wielkiej liczby krajów, zwanych „zachodnimi“.

Jest faktem, któremu nikt nie zaprzeczy i który potwierdziło doświadczenie, że zmniejszając handel ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej, odmawiając uznania dla istniejącego olbrzymiego rynku chińskiego, kraje zachodnie pozbawiły się rynków zbytu, potrzebnych dla ich przemysłu i ważnych zasobów, potrzebnych dla ich gospodarki.

Gdyby zmniejszenie handlu z krajami Wschodu było wyrównane zwiększeniem — przynajmniej w tym samym stopniu — wymiany handlowej między krajami Zachodu, zło nie byłoby tak wielkie. Ale stało się inaczej.

Jeżeli weźmiemy jako przykład Europę zachodnią, zauważymy, że eksport tego obszaru do krajów Wschodu zmniejszył się o przeszło

50%, gdy tymczasem eksport do strefy dolarowej wzrósł bardzo niewiele (około 4%), jakkolwiek w 1951 r. kraje Europy zachodniej korzystały z wyjątkowych możliwości eksportu w związku z wojną w Korei. Od kilku lat deficyt bilansu płatniczego, trudności płatnicze i kryzys rynków zbytu stały się codziennym zjawiskiem w wielu krajach.

Inną i to nie najmniejszą przeszkodą jest rozbitcie świata na dwie części i zwiększenie konkurencji zarówno jeżeli chodzi o podbój nowych rynków jak i o uzyskanie surowców. Konkurencja ta jest tym bardziej ożywiona, że pole działania zmniejszyło się i że od roku objętość handlu zagranicznego krajów „sektora kapitalistycznego“ nieustannie maleje.

Według miesięcznego Biuletynu Statystycznego, wydanego w maju przez ONZ, eksport światowy — z wyjątkiem Związku Radzieckiego, Chin i krajów demokracji ludowej — zmniejszył się o 4 proc. W rzeczywistości cyfra ta, stanowiąca przeciętną roczną, nie odtwarza zniżkującej tendencji handlu zagranicznego tych krajów.

Jeżeli szczegółowo zbadamy cyfry za 1950 r., stwierdzimy w istocie, że spadek eksportu osiągnął w ciągu drugiego półroczia tego roku 6 proc.

Konkurencja działa oczywiście na korzyść kraju najsilniejszego. Tak więc w 1952 r. eksport ze Stanów Zjednoczonych wynosił 21 proc. całego eksportu światowego (zawsze z wyjątkiem wyżej wymienionych krajów) wobec 4 proc. w 1947 r. Udział strefy dolarowej w imporcie Europy

zachodniej, wynoszący w 1938 r. 26 proc., wzrósł w 1951 r. do 39 proc.

Walka o rynki zbytu zaostrzyła się poważnie na skutek szybkiego wzrostu konkurencji Niemiec zachodnich i Japonii. Oba te kraje, bardziej bezpośrednio podporządkowane amerykańskiej polityce gospodarczej, zmuszone były rozszerzyć swój handel zagraniczny na rynki, zawładnięte przez inne kraje.

Wiadomo, że przed drugą wojną światową Niemcy prowadziły ożywioną wymianę handlową z krajami wschodnio-europejskimi, a Japonia z Chinami, bez których trudno byłoby jej się obejść.

Francja i Wielka Brytania — ta ostatnia w większym jeszcze stopniu — odczuły skutki konkurencji niemieckiej i japońskiej. W 1952 r. Niemcy zachodnie stały się drugim z rzędu eksporterem do krajów zachodnio - europejskich, usunawszy Wielką Brytanię na trzecie miejsce i wyparłszy w dużej mierze Francję.

Ze swej strony Japonia zaczęła zagarniać tradycyjne rynki Wielkiej Brytanii. Na przykład jej eksport do krajów Azji południowo-wschodniej był w 1951 r. trzykrotnie większy niż w 1937 r. Powzięta w maju br. przez rząd Burmy decyzja zniesienia preferencji imperialnych zaostrzy jeszcze bardziej konkurencję anglo-japońską na tym obszarze.

Kraje gospodarczo zacofane nie uniknęły skutków dezorganizacji handlu światowego. Zmniejszenie siły kupna, jako konsekwencja wyścigu zbrojeń, lub konieczność częściowego zmniejszenia deficytu w bilansie handlowym zmusiła niektóre kraje przemysłowe do zredukowania — po-

cząwszy od połowy 1952 r. — ich zapotrzebowania na surowce i artykuły żywnościowe.

Według oficjalnych statystyk, eksport krajów gospodarczo zacofanych Dalekiego Wschodu i Azji południowo-wschodniej, jak Indonezja, Filipiny, Malaje, Pakistan, Indie, Cejlon, a również Hong-Kong spadł z 7.200 milionów dolarów w 1951 r. do 5.200 milionów dolarów w 1952 r., a zatem spadek wyniósł około 28 proc. Ich bilans handlowy, który w 1951 r. wykazywał saldo dodatnie w wysokości 800 milionów dolarów, w 1952 r. wykazywał już deficyt 800 milionów dolarów.

Oto powody, dla których rząd Cejlonu zawarł z Chińską Republiką Ludową przed paroma miesiącami układ handlowy, przewidujący wymianę ryżu za kauczuk, co umożliwiło m. in. utrzymanie cen kauczuku i pozwoliło Cejlonowi uniknąć ostrego kryzysu, który pogorszyłby warunki życia gospodarczego kraju.

Od kilku miesięcy szeroko lansuje się zasadę „handel zamiast pomocy“. Jeżeli nie możemy handlować z krajami Wschodu — mówią rządy zachodnie Amerykanom — dajcie nam przynajmniej możliwość eksportowania do waszego kraju. Tę myśl omawiano przy różnych sposobnościach, podejmowały ją również niektóre amerykańskie koła gospodarcze. W swej pracy na temat sytuacji gospodarczej Europy po wojnie, Komisja Gospodarcza dla Europy stwierdzała, że ponieważ żaden kraj nie dysponuje na ogół nadwyżkami dolarowymi, Europa zachodnia może zwiększyć swe wpływy dewizowe jedynie drogą wypierania produktów amerykań-

skich, bądź w samych Stanach Zjednoczonych, bądź na innych rynkach, bądź w samej Europie. Wykazaliśmy powyżej ewolucję eksportu amerykańskiego do Europy zachodniej od 1938 r.

Ale przeciw importowi produktów zagranicznych do Stanów Zjednoczonych staje prawdziwy mur chiński. Przeważający wpływ potężnych kół gospodarczych na rząd waszyngtoński powoduje wzmożenie amerykańskiego protekcjonizmu, piętrzy przeszkody. Do przeszkód, mających najpoważniejsze skutki dla krajów europejskich, zaliczyć musimy na przykład bezpośrednie lub pośrednie subwencje, przyznawane przez Stany Zjednoczone towarzystwom żegludowym i przedsiębiorstwom budowy statków, czy subwencje na produkcję syntetycznego kauczuku. Do tej kategorii przeszkód należą również subwencje w postaci taryf i przepisów celnych na niekorzyść całego zagranicznego przemysłu fabrycznego, jak również różnych artykułów lub surowców rolniczych, eksportowanych przez kraje europejskie lub związane z nimi terytoria pozaeuropejskie.

Czasem przyznaje się czysto formalne ustępstwa. Tak więc na przykład stwierdzono ostatnio, że „ustępstwa taryfowe dla produktów gotowych, przyznane przez Stany Zjednoczone na konferencji w Torquay stron uczestniczących w traktacie ogólnym o taryfach celnych i o handlu (1950—1951) zwiększyłyby jedynie o około 5,1 miliona dolarów, to jest praktycznie biorąc zupełnie nieznacznie, import tych produktów”. (The Pattern of United States Import Trade since 1923, Federal Re-

serve Bank of New York, maj 1952, str. 54 i 55).

Dodajmy wreszcie, że gwałtowne zmiany, które rząd amerykański może przeprowadzać w dziedzinie taryf, oceniane są przez eksporterów jako dodatkowe źródło trudności i przyczyna niepewności.

Amerykański protekcjonizm znalazł znowu niedawno swój wyraz w presji, wywieranej na rząd w Waszyngtonie przez organizacje fermierów, którzy chcieliby zmusić kraje, korzystające z „pomocy amerykańskiej” do zakupywania amerykańskich nadwyżek rolniczych.

* * *

Jest rzeczą zrozumiałą, że w obliczu takiej sytuacji wiele krajów stara się obecnie podjąć przerwane od kilku lat rozmowy handlowe ze Wschodem. A ponieważ nikt nie wątpi w dobrą wolę krajów Wschodu, jeżeli chodzi o nawiązanie normalnego handlu z innymi krajami w oparciu o zasadę wzajemności stron układających się, trudno zrozumieć, czemu rządy krajów zachodnich odmawiają podjęcia rozmów, których nie można opóźniać w nieskończoność.

Pewien francuski dziennik konserwatywny żalił się niedawno, że kraje Europy zachodniej nie mogą eksportować towarów do krajów wschodnich bez zgody Amerykanów. Ujawniając rolę, jaką odgrywa organ o nieograniczonej i niekontrolowanej władzy, COGOM (Consultative Group Cooperation Committee — Komitet Współpracy Grupy Doradczej), stworzony w 1949 r., którego decyzje stanowią, zdaniem tego dziennika, zamach na suwerenność Francji, wy-

kazywał on, jak spółki bezpośrednio finansowane przez banki amerykańskie, uzyskiwały od COGOM licencje eksportowe, których innym na ogół odmawiano. Ujawnił w ten sposób nielojalny charakter niektórych form konkurencji, maskowanej rze- komymi wymaganiami obrony naro- dowej.

Oto dlaczego kwietniowe rokowa- nia w Genewie, nawiązane z inicja- tywy Francji, wzbudziły wielkie na- dzieje na przywrócenie stosunków handlowych, istniejących w przeszło- ści pomiędzy obiema częściami Euro- py. Ale problem nie ogranicza się tylko do Europy. Interesuje on wszy- stkie inne kraje i każdy doskonale zdaje sobie sprawę, że zmniejszenie się napięcia w Azji winno pociągnąć za sobą dokładne i nieuniknione zre- widowanie stosunków z Nowymi Chinami.

W związku z tym rezultaty osią- nięte ostatnio przez francuskie, bel- gijskie i angielskie misje handlowe, które bawiły w Chinach, wywołały tak szerokie komentarze, że podróże te powzięte z prywatnej inicjatywy, nabrały znaczenia ogólnonarodowego.

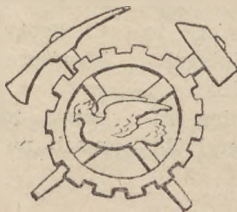
Według dotąd uzyskanych informa- cji, delegacja francuska podpisała u- kład handlowy wartości 10 miliar- dów franków w każdą stronę (około 30 milionów dolarów amerykańskich), gdy tymczasem delegacja brytyjska ze swej strony podpisała układ w

wysokości 30 milionów funtów szter- lingów (to jest około 85 milionów dolarów amerykańskich).

W porównaniu z rozmiarami do- tychczasowego handlu tych obu kra- jów z Chinami są to poważne liczby. W stosunku jednak do prawdziwych możliwości, jakie ofiarować może normalny handel z Chinami, Zwią- zkiem Radzieckim i krajami demokra- cji ludowej, liczby te pozostają bar- dzo skromne.

Jednak ważność problemu nie po- lega w tej chwili tak bardzo na tych liczbach. Faktem jest, że na świecie dokonują się pozytywne przemiany w dziedzinie handlu międzynarodowe- go. Wraz z innymi oznakami odwrę- żenia międzynarodowego te pierwsze rezultaty winny pobudzić nas do kontynuowania wysiłków, aby zgod- nie z zaleceniem Światowej Rady Pokoju z ostatniej sesji w Budapesz- cie pomiędzy wszystkimi krajami na- wiązać „stosunki ekonomiczne i kul- turalne, oparte na zasadzie równości i wzajemnych korzyściach, z wyklu- czeniem wszelkiej dyskryminacji“.

Nie chodzi tu o formalne zalecenia, ale o wymaganie, podyktowane rozu- mem i interesem milionów ludzi, któ- re będzie musiało się urzeczywistnić, tak jak urzeczywistni się na świecie pokój i idea pokojowego współistnie- nia, którego jednym z najbardziej na- macalnych aspektów jest wymiana handlowa.



C Z A R N A



A F R Y K A

II*)

OLIWER Lyttelton, minister kolonii, oznajmił 15 lipca w Londynie, że od kwietnia zabito 1.300 Mau-Mau.

Poniższe cyfry dadzą czytelnikowi pojęcie o stopniu wyzysku Afrykańczyków przez kolonizatorów w Kenii. Najniższy roczny dochód Anglika w

Kenii wynosi 600.000 franków. Dochód roczny Afrykańczyka — 24.000 franków. Cena maki kukurydzianej, podstawa narodowej potrawy „pocho“, wzrosła sześciokrotnie w ciągu dziesięciu lat. Ofiary gruźlicy są w Kenii trzykrotnie większe w 1953 r., niż w 1945 r.!

Mimo tej nędzy — Kikuju, najbardziej rozwinięty lud w Kenii, zdołał

*) Część I, zob. „W Obronie Pokoju“, nr 8(26).

zorganizować około 500 szkół, gdzie 30.000 dzieci pobiera wykształcenie podstawowe. Jakby na złość, rząd Churchilla kazał policyjnie zamknąć wszystkie te szkoły pod pretekstem, że nauczanie przeniknięte jest duchem Mau-Mau.

Wreszcie 8 czerwca zdelegalizowano Unię Afrykańską. Wszystkie te prowokacje w połączeniu z uciskiem policyjnym zmierzają do zniszczenia u podstaw ruchu niepodległościowego ludów Kenii. Publicznie strzela się do Afrykańczyków, więźniów wystawia się w klatkach, bombami obrzuca się wioski, zamyka się ludność w obozach koncentracyjnych — tak w ciągu sekundy w sercu Afryki rodzą się Malaje.

A oto inna jeszcze metoda, ta, którą Londyn stosuje bardziej na południu w obu Rodezjach i w Nyassie.

Mniejszości brytyjskie w obu Rodezjach domagają się od dnia zakończenia wojny administracyjnego zjednoczenia trzech terytoriów pod władzą jednego „białego” rządu. To zjednoczenie ma ułatwić mniejszości brytyjskiej panowanie nad przeszło sześcioma milionami Afrykańczyków, przede wszystkim zaś pozwolić na narzucenie rządu w oparciu o sprzeczności, podtrzymywane między różnymi ludami przyszłej Federacji.

Takie poczynania, powiedzmy mimochodem, przyniosą znaczne zmniejszenie podatków spółkom, działającym na trzech terytoriach; spółki te prowadzą kampanię na rzecz Federacji pod hasłem: „jeden podatek”.

Autorzy tych poczynañ pragną również „zunifikować” ściągane z ludności podatki...

Afrykańczycy sprzeciwiają się tej unifikacji, której pierwszym rezultatem będzie postawienie pod znakiem zapytania niewielu praw, uzyskanych przez nich w każdym z obecnych państw. Przede wszystkim zniknie, albo ściślej, przejęta zostanie przez kolonizatorów oficjalnie zagwarantowana przez Colonial Office — zgodnie z zasadami Karty — „protekcja”.

Komentując postawę Brytyjczyków w tej sprawie, M. A. Steele w „*New York Herald Tribune*” z satysfakcją ujawnia: „*jest rzeczą ciekawie anormalną, iż Wielka Brytania uznając publicznie, że zobowiązuje się liczyć z pragnieniami autochtonów przed wprowadzeniem w życie ważnych zmian w takich krajach jak Sudan i na terytoriach pod powiernictwem Afryki Południowej, zdaje się grzebać — dla swych celów — te same zasady w odniesieniu do Federacji*”.

Steele uważa zresztą ze swej strony, że „*jeżeli Federacja powstanie, stanie się to wbrew milczącej opozycji olbrzymiej większości Afrykańczyków w trzech krajach*”.

Jednakże dominium Koziorożca — tak brzmi jego nazwa — jeszcze nie powstało i pozostaje w sferze projektów, ale opozycja afrykańska jest już dzisiaj tak silna, że Londyn się waha. Nie ulega wątpliwości, że podróż do Rodezji królowej - matki Elżbiety i jej córki Małgorzaty — oto, jakim celem służy korona! — nie przekona czarnych.

W istocie Londyn spostrzega w świetle zbrojnego oporu ludów Kenii, że ryzyko jest być może większe, niż się początkowo spodziewano: mogło-

by dojść do tego, że ludy Rodezji i Nyassy odpowiedziałyby na wzmożony wyzysk i ucisk zamieszkami, jak to uczynili ich bracia w Kenii. I któż zapewni Londyn, że nie odegra tu roli solidarność między ludami zachodnio - afrykańskimi? Właśnie teraz szef półsuwerennego rządu Złotego Wybrzeża Kwame Nkrumah rzucił hasło zwołania konferencji partii nacjonalistycznych całej zachodniej Afryki, bez różnicy narodowości usadowionych w Afryce kolonizatorów. Konferencja ta będzie miała na celu zjednoczenie afrykańskiego ruchu niepodległościowego w zachodniej części kontynentu.

Ta próba (nie trzeba przy tym ukrywać, że jest ona niejako parawanem dla pewnego „imperializmu“ burżuazji ziemskiej na Złotym Wybrzeżu, popieranej przez Stany Zjednoczone) raz jeszcze potwierdza istnienie powszechnego i zorganizowanego ruchu niepodległościowego w Afryce.

Nigeria również znajduje się w stanie wrzenia. Kraj ten ilustruje jedno z najciekawszych zjawisk współczesnych w Czarnej Afryce — penetrację islamu. Grupa wybitnych specjalistów angielskich, belgijskich i francuskich w dziedzinie islamizmu, do której przyłączono przedstawicieli zainteresowanych religii zachodnich, ma zbadać ten wpływ islamu i jego sfałdowaną ekspansję ze szkodą dla misji katolickich i protestanckich. Zjawisko to zasługuje tym bardziej na bliższe zbadanie, że jak czytamy w dokumentach, usprawiedliwiających wysłanie tej misji, muzułmanie nie stosują środków propagandy, jakimi dysponują zachodni szerzyciele wiary.

Jeżeli uczony areopag fatyguje się tylko po to, by znaleźć klucz do sukcesów islamu, można mu oszczędzić długich wysiłków powiadamiając go, że religia muzułmańska dlatego zjednuje sobie tyle serc afrykańskich, bo jest religią Egiptu, Iranu, Libii, Tunisu, Maroka — krajów, które w różnych formach toczą walkę o niepodległość.

To przyjmowanie religii muzułmańskiej przez Czarną Afrykę jest w pierwszym rzędzie aktem politycznym. Pociąga to za sobą pokojowy, ale znamienity bunt przeciw wyznanom, importowanym z zachodu i często popieranym — jeżeli nie narzucanym — przez administrację kolonialną. Wreszcie pociąga to za sobą moralne przystosowanie się do ducha walki narodowo - wyzwolenczej.

Nie możemy rozwodzić się tutaj nad tym rzucającym się w oczy zjawiskiem. Trzeba jednak przynajmniej wiedzieć tyle, że w ciągu około dziesięciu lat — bez misjonarzy, bez kapitałów, często bez Koranu — zawsze przeciw wrogości administracji, zjednał sobie islam kilka milionów adeptów (cyfra ta zbliżać się ma do czterech milionów) od Sudanu do Południowej Rodezji, od Francuskiej Afryki Równikowej do Konga a nawet do „portugalskiej“ Angoli. Najbardziej widoczny postęp notuje się we Francuskiej Afryce Zachodniej, na Złotym Wybrzeżu i Nigerii.

W Nigerii Brytyjczycy starali się nawet zjawisko to wykorzystywać. Najpierw elementy kierownicze — zredukowane do roli wykonawców polityki kolonialnej — przyjęły islam, religię, która dla nich oznacza emancy-

pację. Londyn usiłował — co mu się częściowo udało — nastraszyć tę „elitę“, pokazując jej, że wyzwolenie narodowe może zatrzymać się nie dość wcześnie, by jej zapewnić kierownictwo krajem i liczne, płynące stąd korzyści.

Tak więc „nacjonalistyczne“ partie polityczne w Nigerii północnej, gdzie religia muzułmańska czyni wielkie postępy, opowiedziały się przeciw przyznaniu ich krajowi niepodległości w 1956 r., czego żądają partie polityczne na południu. Brytyjczycy wprowadzili bowiem w tym kraju załazek instytucji parlamentarnych, a parlament — ledwo się zebrał — wysuwa żądanie niepodległości!

Ten separatyzm w Nigerii zagraża niewielu korzyściom, wyrwanych z gardła kolonizatorom i niebawem — jeżeli plany angielskie się urzeczywistnią — Nigeria będzie podzielona na dwa państwa, nie licząc terytorium autonomicznego, którego utworzenia nic nie usprawiedliwia.

(Dodajmy przy okazji, że tylko Londyn starał się wykorzystać zjawisko szerzenia się islamu — między innymi jako środka podziału w Czarnej Afryce. Francja i Belgia, a przynajmniej Watykan, zdecydowanie rozpoczynają walkę z religią Mahometa, co w rezultacie przynosi jej jeszcze jeden tytuł do chwały. „Chrześcijanie“ winni, zdawałoby się, rozumieć, jaką potęgę zdobywa religia, która przemawia do uczuć narodowych ludów uściskanych).

Istotnie, czy to analizujemy sytuację na Złotym Wybrzeżu, gdzie Londyn wprowadził rząd półsuwerenny,

nie mogąc zgnieść siłą ruchu niepodległościowego pod wodzą partii konwencji — próby były bezowocne — i gdzie hasłem dnia jest całkowita niepodległość, czy to weźmiemy Kenię, gdzie represje napotykały na zorganizowaną walkę ludu na śmierć i życie, nie mówiąc już o wszystkich pośrednich formach panowania kolonialnego, jak utrzymywanie i wykorzystywanie rozbicia Nigerii, zjednoczenie, narzucane obu Rodezjom i Nyassie, lub kiedy weźmiemy pod uwagę zgodę — aż do oficjalnego poparcia w ONZ — na politykę rasową rządu Malana, stwierdzamy, że polityka afrykańska Wielkiej Brytanii straciła równowagę.

Jakkolwiek kontynent afrykański pod brytyjskim panowaniem nie może zastąpić kolonialnego Commonwealthu w Azji południowo-wschodniej, już w tej chwili dzieją się tam takie same wypadki jak te, które bezpośrednio przed ostatnią wojną światową zwiastowały ruchy narodowościowo-wyzwoleńcze lat 1945 — 1948 w Indiach, w Burmiej i w Pakistanie. Nie zapominajmy o silnych wpływach walk w Iranie, Egipcie oraz o wpływie, jaki wywarło utworzenie Libii (jakkolwiek jej suwerenność jest mocno ograniczona) na różnorodną w formie walkę ludów Afryki o niepodległość¹⁾.

Te stwierdzenia dotyczą również innych mocarstw kolonialnych w Afryce. Widzieliśmy już trudności i niepowodzenia Francji we Francuskiej

1) Nie mówimy tutaj z braku miejsca o „matych terytoriach“. Nie oznacza to w żadnym razie, że panowanie kolonialne nie napotyka tam na trudności, o czym świadczy choćby ta depesza Reutera z dnia 27 marca br.:

Afryce Zachodniej. Czyż trzeba przypominać wydarzenia w Tunisię i w Maroku? „Portugalska“ Angola i „belgijskie“ Kongo przysparzają kolonizatorom takich samych kłopotów. Jak i w Ugandzie, wykryto tam istnienie „Mau-Mau“.

W tych wszystkich krajach Czarnej Afryki zauważono, że ruch narodowo-wyzwoleńczy wzrasta równolegle z rozwojem organizacji związkowych. Mogliśmy dokładnie zbadać to zjawisko na przykładzie „francuskiej“ Afryki.

ORGANIZACJA STRATEGICZNA AFRYKI

Mocarstwa kolonialne doszły do wniosku, że te wzrastające trudności wszelkiego rodzaju łatwiej będzie rozwiązać drogą opracowania wspólnych metod i planów. W Londynie, Brukseli i Paryżu „specjaliści“ w sprawach Afryki spotykają się regularnie by sporządzać raporty z doświadczeń ich odnośnych administracji. Nie przeszkadza to Paryżowi protestować przeciw niebezpieczeństwu, jakie dla Francuskiej Afryki Zachodniej stanowi może rząd Kwame Nkrumah'a ze Złotego Wybrzeża. Rząd półsuwerenny, co za zły przykład dla sąsiednich kolonii! Londyn ze swej strony podpowiada, że zręczna polityka w Tunisie przyniosłaby korzyści wszystkim mocarstwom, zainteresowanym w utrzymaniu „porządku“ na Środkowym Wschodzie.

Niemniej, znaleziono wspólny mianownik. Lub raczej Stany Zjednoczone umiały go narzucić. Chodzi bowiem — od 1947 r. — o strategiczną organizację Afryki pod pretekstem

„obrony wolnego świata“. Czy Londyn, Bruksela, Lizbona i Paryż naprawdę widzą w niej środek obrony ich posiadłości przed ZSRR? Na pewno nie, ale zakładanie w Afryce sieci dróg lądowych, powietrznych, fortów, baz morskich itp. z amerykańskich funduszy daje im przede wszystkim środki strategiczne, przy pomocy których dziwnie łatwo jest stosować represje w stosunku do ruchów narodowo-wyzwoleńczych.

W rzeczywistości „obrona wolnego świata“ oznacza dla europejskich mocarstw kolonialnych w Afryce obronę ich własnych interesów kolonialnych.

Stany Zjednoczone ze swej strony widzą w Afryce idealny obszar dla zakładania baz strategicznych, skierowanych przeciw światu socjalizmu. Ale nie należy ograniczać do tego momentu ich zainteresowania kontynentem afrykańskim.

Kontynent afrykański kryje nadzwyczajne rezerwy surowców — złoto, diament, drogie kamienie, uran w Unii Południowo - Afrykańskiej i w Kongo, miedź, cynk, ołów, cynę, drzewo itp. (nie licząc znaczenia, jakie posiada „trzymanie“ Afryki dla zachowania klucza do nafty Środkowego Wschodu).

„Kampala: (Uganda) — Rada Prawodawcza (kolonialna) w Ugandzie uchwaliła projekt ustawy zakazującej członkom plemienia Kikujów przenikać na terytorium Ugandy i przyłączać się do akcji Mau-Mau.

Ustawa będzie działać wstecz. Kikujowie, żyjący w Ugandzie będą musieli dowiedzieć, że nie mają żadnego kontaktu z Mau-Mau“ (Sic!). Taką samą ustawę uchwalono w Katandze.

To amerykańskie zapotrzebowanie na surowce stawia kwestię podziału bogactw afrykańskich między Stany Zjednoczone a pierwszych kolonialnych okupantów. Podział przebiega tym bardziej nierówno, im silniej wzrasta wpływ jednego z partnerów zarówno na kontynencie afrykańskim, jak i w sercu kolonialnych metropolii.

Toteż strategicznej współpracy w Afryce towarzyszy wewnętrzna walka o opanowanie gospodarcze kontynentu.

* * *

Ze strategicznego punktu widzenia Afryka podzielona była na trzy wielkie strefy. Określano je w stosunku do ich położenia geograficznego wobec Europy wschodniej.

Pierwsza strefa jest odskocznią dla bombardowań strategicznych. Składa się na nią terytorium Maroka, Algeru, Tunisu, Libii z ich przedłużeniami do Suez, Iraku, Iranu i Pakistanu. Byłoby to olbrzymie lotnisko dla superbombowców atomowych, które otrzymałyby zadanie niszczenia przemysłu i miast na środkowych obszarach ZSRR.

Jeżeli chodzi o Egipt, Irak a nawet Pakistan, organizacja znajduje się dopiero w stadium projektów, przy czym Waszyngton ma tym większe trudności w przekonywaniu rządów i ludności tych krajów, że Londyn po cichutku pcha je do oporu.

W rzeczywistości Waszyngton jedynie dzięki swoim wpływom w Paryżu zdołał już założyć w Północnej Afryce bazy atomowe, wyposażone w składki bomb „A“.

Druga afrykańska strefa strategiczna rozpościera się między dwiema idealnymi liniami, przebiegającymi — pierwsza na granicach południowej Sahary, południowej Libii aż do Dżibuti, druga — wzdłuż równika. Strefa ta ma służyć za platformę zaopatrzenia dla baz atomowych i jako tranzyt wojsk lub materiału ku Środkowemu Wschodowi i Morzu Śródziemnemu w ramach „odbijania zagarniętych terytoriów“, jak to przewidują „peryferyjni“ stratedzy.

Raz jeszcze przyznać trzeba, że najważniejszych elementów dla tej strefy dostarczyła Francja — z jednej strony bazę morską w Dakarze i bazę w Abidżanie, dwa ujścia tego systemu, a z drugiej strony całą serię baz lotniczych i ziemnych, oddanych do dyspozycji Stanów Zjednoczonych we Francuskiej Afryce Zachodniej.

Tak więc w marcu br. sekretarz stanu w ministerstwie lotnictwa, Montel, obecny był przy rozpoczęciu prac dla budowy strategicznej drogi powietrznej między Dakarem a Dżibuti.

To połączenie, którego ośrodkiem tranzytowym byłaby baza w Czad, zaawiduująca afrykańskimi liniami północ - południe, miałoby na celu, jak pisze londyński „Times“, rozwijać sieć dróg powietrznych w taki sposób, by na wypadek zamknięcia Morza Śródziemnego można było mieć dostęp do Madagaskaru i do Indochin. Faktycznie chodzi o kręgosłup strategicznego transportu powietrznego między Atlantykiem a strefą Suez.

Bardziej na południe, w tej samej drugiej strefie strategicznej, powstaje sieć kolejowa przez Afrykę ze wschodu na zachód. Ta linia kolejowa, któ-

ra będzie zresztą potężnym wyczynem, dokonany, niestety, dla celów wojennych — wychodzi z Luandy w Angoli, potem osiąga Kamine w Kalandze, a następnie przez Kongo belgijskie — Kenię, tą strategiczną platformę (najważniejszą w Afryce po Suezie) w brytyjskim Commonwealthie. Linia lotnicza z Kongo belgijskiego do Brazzaville uzupełnia tę linię kolejową.

Sieć transafrykańska, podobnie, jak droga powietrzna Dżibuti — Dakar była przedmiotem długich dyskusji w dniu 15 lipca w Tananarywie w cza-

sie konferencji francusko - brytyjskich sztabowców, poświęconej Afryce i Środkowemu Wschodowi.

Wreszcie trzecia strefa, mniej ważna, pokrywa południową część kontynentu afrykańskiego. Jej znaczenie polega głównie na bogatych złożach podziemnych (uran i rzadkie metale). Jak wiadomo, cały uran Konga „belgijskiego“ idzie do Stanów Zjednoczonych, które obecnie prowadzą rokowania w sprawie dostawy całej produkcji tego surowca przez Unię Południowo - Afrykańską, na co Londyn spogląda z przerażeniem.



Międzynarodowa

W SPÓŁPRACA wszystkich uczonych świata jest nie tylko rzeczą pożądaną i pożyteczną; w wielu wypadkach jest ona po prostu niezbędna. Jest tak zwłaszcza w dziedzinie nauk przyrodniczych, w której prace uczonych różnych krajów uzupełniają się wzajemnie i umożliwiają obszerniejsze, pełniejsze zbadanie takiego, czy innego zjawiska. Międzynarodowa współpraca sprawia, że uczeni z różnych państw, niezależnie od ustroju politycznego, coraz bardziej cenią się wzajemnie, odnoszą się jedni do drugich z coraz większą ufnością.

Pożyteczność, konieczność takiej współpracy przedstawia się w dziedzinie astronomii w sposób szczególnie oczywisty. Dlaczego? Można na to przytoczyć wiele przykładów! Oto kilka z nich:

Rozwiązanie tak ważnych zagadnień, jak struktura części systemu gwiazdowego, w którym żyjemy, lub budowa dostępnych dla naszych badań części nieskończonego wszechświata wymaga bardzo drobiazgowych obserwacji, obejmujących swym zasięgiem całe niebo. Otóż większość obserwatoriów znajduje się na półkuli północnej i nie można w nich przeto obserwować południowej części nieba. Toteż współpraca astronomów obu półkul, udostępnienie astronomom jednej półku-

PROF. B. W.

Wiceprzewodniczący Rady Astrono

Prof. B. W. Kukarkin uczestniczył wraz z czterema kolegami w niedawnym spotkaniu międzynarodowym, które zgromadziło w Paryżu, pod auspicjami Instytutu Astrofizyki, astrofizyków z 28 krajów, w celu przedyskuto-

li możliwości dokonywania swych prac na drugiej, wydają się rzeczami absolutnie niezbędnymi.

Inny przykład:

Niektóre obiekty, niektóre zjawiska ze świata gwiazd wymagają nieprzerwanych obserwacji. Lecz obserwacje te często uniemożliwiane są wskutek przeplatania się dni i nocy, wskutek faktu, że dane ciało niebieskie (słońce, księżyc, planeta, kometta, itd...) znajduje się przez dłuższy czas poniżej linii horyzontu, że warunki atmosferyczne powodują na dłużej mglistą pogodę. W takich razach właśnie raz jeszcze przychodzi do głosu międzynarodowa współpraca.

Jeżeli pewna liczba obserwatoriów położonych na półkuli zachodniej i wschodniej, rozmieszczonych w najrozmaitszych warunkach klimatycznych, podejmie systematyczną obserwację danego obiektu, czy zjawiska — to oczywiście zawsze przynajmniej jedno spośród nich będzie

współpraca astronomów

KUKARKIN

micznej przy Akademii Nauk ZSRR

wania zagadnień, odnoszących się do właściwej natury światła gwiazd. Artykuł prof. Kukarkina, napisany na parę dni przedtem, omawia przyczyny radzieckiego udziału w tym spotkaniu.

miało zadowalające warunki obserwacji. Można by łatwo przytoczyć więcej takich przykładów. Istnieje jeszcze jedna forma współpracy międzynarodowej w dziedzinie astronomii. Czynione niezależnie od siebie obserwacje tego, czy innego zjawiska wymagają przegrupowania, usystematyzowania, zaplanowania. Również i z tego punktu widzenia ważna jest niezmiernie dobra organizacja międzynarodowej współpracy.

Wszystkie te przyczyny sprawiły, że już przed stu laty wyłoniły się pierwsze samorządne usiłowania jakiego takiego zorganizowania pewnej międzynarodowej koordynacji prac astronomicznych. I tak około roku 1870, z inicjatywy Niemieckiego Towarzystwa Astronomicznego, wiele obserwatoriów na całym świecie przystąpiło do rozległego dzieła i do wyznaczenia dokładnych położень wieluset tysięcy gwiazd. Prace te przeprowadzono z powodzeniem, je-

żeli chodzi o gwiazdy półkuli północnej, ale uległy one znacznemu opóźnieniu, jeżeli idzie o gwiazdy półkuli południowej. Około 1890 r. z inicjatywy astronomów francuskich postanowiono zainstalować w szeregu obserwatoriów różnych krajów identyczne teleskopy, umożliwiające fotografowanie nieba (astrografia) i założyć z ich pomocą katalogi oraz wydać mapę nieba, obejmującą kilkadziesiąt milionów gwiazd. Niektóre z tych obserwatoriów wykonały przypadające na nie w pierwszej ćwierci naszego wieku zadanie, inne dotąd jeszcze nie ukończyły prac nad nim.

Międzynarodowa Unia Astronomiczna, której obowiązkiem jest koordynowanie i planowanie badań astronomicznych na całym świecie, utworzona została wkrótce po pierwszej wojnie światowej, właśnie przede wszystkim dla ułatwienia współpracy pomiędzy astronomami różnych krajów. Niemniej jednak dzieje prac Unii ukazują, jak piękne zamierzenia uczonych, którzy zakładali plany o wielkiej wartości naukowej, rozбивały się o trudności organizacyjne.

Dlatego też, że pojęli do głębi całą ważność międzynarodowej współpracy w dziedzinie astronomii, astronomowie radzieccy, w osobie Akademii Nauk ZSRR, przystąpili w 1935 roku do Międzynarodowej Unii A-

stronomicznej. Astronomowie radzieccy uważali i uważają nadal, że jeśli będzie istniała wzajemna chęć współpracy, gotowość spełniania przyjętych zobowiązań, jeśli wzajemnie szanować się będzie i przestrzegać zasady równości praw, to międzynarodowa współpraca może i powinna służyć rozwojowi nauki, zacieśnieniu więzów jednoczących uczonych.

Uczeni radzieccy brali czynny udział w licznych imprezach międzynarodowych w dziedzinie astronomii i przedstawiali różne projekty, zmierzające do usprawnienia pracy Międzynarodowej Unii Astronomicznej. Lecz wydarzenia drugiej wojny światowej sparalizowały działalność Międzynarodowej Unii Astronomicznej.

W 1946 r. odbyła się w Kopenhadze pierwsza powojenna konferencja, która zebrała największych astronomów świata. Jednym z najważniejszych zagadnień na porządku dziennym tego zebrania było wznowienie prac, przerwanych przez działania wojenne. Rozwiązanie tego zagadnienia komplikowało się przez fakt, że uprzednio wiele najważniejszych międzynarodowych prac astronomicznych dokonano w Niemczech. Prace te zostały zupełnie przerwane tak, że trzeba było myśleć o znalezieniu nowych kierowników i nowych wykonawców. Astronomowie radzieccy zaofiarowali swe usługi. Zgodzili się wziąć na siebie kierownictwo wykonywania wszystkich prac w dziedzinie badania gwiazd zmiennych (nazywa się tak gwiazdy, których światłość ulega z przyczyn wewnętrznych periodycznym lub

nieregularnym wahaniom). Zobowiązali się do ułożenia i wydania kompletnych katalogów gwiazd zmiennych (znamy ich obecnie ponad 20.000). Katalog taki stanowi pokazaną księgę o przeszło 560 stronach. Zobowiązali się również do corocznego uzupełniania tych katalogów, aby zapobiec wszelkiej „przestarzałości“, do obliczania orbit i widocznych na niebie położeń tak zwanych małych planet (niewielkich, wystygłych ciał niebieskich, krążących wokół słońca, głównie pomiędzy orbitami Marsa i Júpitera), a wreszcie do wydawania co roku specjalnych katalogów o tych małych planet (których znamy obecnie 1600).

Pierwsza sesja Międzynarodowej Unii Astronomicznej odbyła się w sierpniu 1948 r. w Zurychu. Astronomowie radzieccy wzięli w niej bardzo czynny udział. Niestety, Komitet Wykonawczy, który z początku przyjął zaproszenie Akademii Nauk ZSRR, by następna sesja odbyła się w Leningradzie, odstąpił następnie od tego postanowienia, ulegając pewnym, nic wspólnego z interesami nauki nie mającym, względom. Komitet Wykonawczy postanowił ostatecznie, że następna sesja odbędzie się w 1952 r. w Rzymie.

Wierni zasadom efektywnej współpracy międzynarodowej astronomowie radzieccy, mimo zupełnie naturalnego rozzarowania, jakie wzbudziło w nich postanowienie Komitetu Wykonawczego, wzięli bardzo czynny udział w pracach ostatniej sesji Międzynarodowej Unii Astronomicznej, która odbyła się w Rzymie we wrześniu ubiegłego roku. Skoncentrowali oni wszystkie wysiłki nad

uzasadnieniem i obroną całkowicie nowego systemu położenia gwiazd, systemu, który byłby wolny od błędów metodologicznych i usterek systemów istniejących obecnie. Usiłowali oni także wyjaśnić podstawowe osłabnięcia, które umożliwiły w ostatnich latach opracowanie radzieckiej teorii kosmogonicznej, tzn. teorii pochodzenia i ewolucji ciał niebieskich. Starali się wreszcie usprawnić pracę kierownictwa Międzynarodowej Unii Astronomicznej i działalność jej czterdziestu stałych komisji.

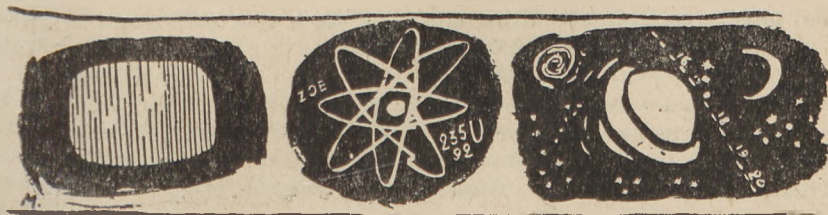
Przekonani o ogromnym znaczeniu swobodnej dyskusji dla rozwoju nauki, astronomowie radzieccy zainicjowali zorganizowanie na sesji w Rzymie grupowych dyskusji naukowych, poświęconych najaktualniejszym zagadnieniom astronomicznym. Rozmowy te toczyły się w ożywionej i płodnej w wyniki atmosferze. Czynna wymiana poglądów pomiędzy najwybitniejszymi specjalistami świata przyczyniła się do właściwego postawienia problemu dalszych badań na różnych odcinkach naszej gałęzi wiedzy. Biorąc aktywny udział w sesji rzymskiej astronomowie radzieccy dowiedli, że pragną na przyszłość szeroko zakrojonego rozwoju astronomii, wykazując pod tym względem głęboki szacunek przed-

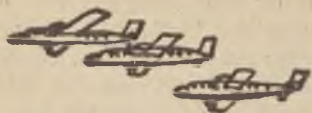
stawicieli wszystkich narodów, zarówno dużych jak małych oraz przekonanie o możliwości rozwiązania najbardziej skomplikowanych zagadnień, byle tylko prace prowadzone były w atmosferze wzajemnego poszanowania i poważnego odnoszenia się do przyjętych zobowiązań.

Następujący fakt pokaże najlepiej, jak gorąco astronomowie radzieccy pragną ustalić skuteczną współpracę międzynarodową: co roku placówki astronomiczne w ZSRR przysyłają zagranicznym kolegom około 20.000 egzemplarzy własnych wydawnictw, tytułem międzynarodowej wymiany. W zamian zaś placówki astronomiczne ZSRR otrzymują ich o wiele mniej.

Astronomowie radzieccy pracują nadal nad zacieśnieniem więzów naukowych, łączących ich z astronomami całego świata. Czynnie uczestniczą w międzynarodowych konferencjach, zwoływanych dla rozpatrzenia różnych konkretnych zagadnień ich dyscypliny, uczestniczą w wykonaniu międzynarodowych programów obserwacyjnych.

Postępując w ten sposób, przekonani są, że efektywna współpraca międzynarodowa przyczyni się niechybnie do utrwalenia pokoju na całym świecie.





Niepożądana wizyta w Reykjavik w 1933 roku

HALLDOR KILJAN LAXNESS

ISLANDIA jest jedynym na świecie krajem bez armii. Dlatego ta nieszczęśliwa wyspa musiała zrezygnować ze wspaniałości mundurów, szarż i stopni, charakterystycznych dla tego stroju.

A jednak mundur nie jest w Islandii całkowicie nieznanym. Ma w tym zasługę Armia Zbawienia, która pierwsza przyniosła do nas trąbki i inne instrumenty miedziane. W ten sposób wyspiarze przyzwyczaili się do munduru, a niedługo potem policja otrzymała rozkaz wyekwipowania się na wzór Armii Zbawienia. Następnie kazano listonoszom przywdziać mundury kubańskich powstańców. Ostatecznie, kiedy w Islandii usadowili się dobrze wystylizowani hotelarze, wprowadzili oni urząd *piccola*, czyli *grooma*. Wspaniały i imponujący uniform związany był z tym tytułem, który prawdę mówiąc nigdy nie zyskał w Islandii należnego szacunku i uznania, nie więcej zresztą, niż inne tytuły. Islandczycy są zimnokrwistą rasą, która wiecznie skromny żywot, posuwając się za

ławicami śledzi, jak mewy i wieloryby.

Islandczycy, ten zadowolony ze swego losu naród nie pojmuje głębokiego znaczenia munduru, a jeszcze mniej — różnicę między stopniami, których jest on symbolem.

Historia dzieje się w lecie, kiedy lwy morskie biegają po piaszczystym wybrzeżu w Nauthosvik. Zdarzyło się, że do „*Geyser Hotel*” w naszym mieście przyjęto gońca. Nazywał się on Stefan Jonsson. Dla niego to młoda posługaczka śpiewała bez ustanku taką piosenkę:

*„Ze wszystkich chłopców załogi
Stev jest największy niezgraba.
W liny zaplątał nogi
I oto leży jak żaba.....”*

Poza swym mundurem i tytułem *piccola*, Stev był bardzo prostym chłopcem. Na wiosnę przystąpił do pierwszej komunii. Na swój wiek był średniego wzrostu i średnio zdolny. Nie spotkalibyście w Islandii chłopca o lepszym charakterze. Nie miał żadnego poczucia wyższości. Uważał

każdego za równego sobie, ale gotów był uczynić wszystko, by być każdemu pomocnym. Zawsze starał się postępować jak najlepiej i spodziewał się, że każdy odpowie mu tym samym.

Teraz muszę Wam opowiedzieć o tych włoskich faszystach i o ich mundurach. Poza tym, że byli piękni i elegancy, byli to tacy bohaterowie, tacy patrioci, że niebawem wylecieli do Afryki z ładunkiem trującego gazu, by wykończyć tych zupełnie gołych Murzynów na pustyni. Robili to w tym celu, by cały świat głosił ich chwałę.

Ale tuż przed odjazdem na tę chwalebna i przyjemną wyprawę przeciw „Czarnym“, uznali, że trzeba też i „Białym“ pokazać, jak piękne mają mundury i jacy z nich piękni mężczyźni, aby przekonać świat, że jest rzeczą zupełnie naturalną, kiedy tacy ludzie uważają się za powołanych do rządzenia pustynią.

Tak więc pewnego dnia przygotowano wszystko do odlotu i faszyci wyruszyli wielką eskadrą, wybrawszy uprzednio pewną ilość znakomitych krajów, gdzie postanowili lądować i pokazywać swe mundury.

Islandia była jednym z tych szczęśliwych krajów. Cała faszystowska eskadra wylądowała w Vatnagardar, a w każdym samolocie znajdowały się dwa nowiuteńkie uniformy.

Goście przybyli w tej porze roku, gdy noce są jaskrawo jasne, a pola pełne stokrotek. To też, ledwo znaleźli się na ziemi zatelegrafowali do swego kraju, że na ich cześć stolicę wspaniale iluminowano i że deszcz kwiatów powitał ich przybycie.

Pewien islandzki powieściopisarz, zamieszkujący Danię, który lubił

wielkie narody, napisał w następstwie tego książkę w języku duńskim na temat tej wizyty i tych telegramów. Aby pokazać, jak wyspiarze potrafią się zachować w stosunku do wielkich mocarstw, pisał, że kiedy tubylcy usłyszeli warkot samolotów na niebie, ogarnął ich taki szal radości, że obcy ludzie podali sobie w ramiona na ulicach i na placach stolicy, ściskając się i płacząc ze szczęścia.

Oto, co znaczy chwała. Ale prawda przedstawia się, niestety, zupełnie inaczej.

Prawdą jest, że przez cały dzień natykaliśmy się na East Street w Reykjavik na ludzi, przebranych za listonoszów lub gońców hotelowych. Stali w swych mundurach na chodnikach i rozmawiali, wymachując rękami. Poważni ludzie, którzy nie wyobrażali sobie, by iść do pracy w takich strojach, robili ponure uwagi, jak np.: „Po co te błazny tu sterczą?“

Dokładnie tak właśnie było naprawdę.

Oficerów faszystowskich porozmieszczano w hotelach. I tego właśnie dnia, gdy Steva przyjęto do „Geyser Hotel“, obdarzono tytułem piccola i ubrano w mundur, grupa tych faszystów weszła do hotelu, wszyscy w mundurach — jak Stev.

Stev stał w drzwiach hotelu w całym dostojeństwie swych galonów i patrzył na nich krytycznym okiem.

Klienci ci wprowadzili hotel w stan drżenia. Mówiąc do siebie krzyczeli, jakby byli głusi i wszystkie ich kończyny poruszały się, jakby w ustawicznym szale.

Kelnerzy szybko zaczęli spoglądać na nich z pewną pogardą, ponieważ hałasowali — gryząc, hałasowali —



ssąc między zębami i połykali noże, jakby chcieli przebić sobie języki. Kiedy brali cygara, nie wiedzieli, z której strony je nadgryzać i wielu się myliło. Kelnerzy zaczęli przypuszczać, że są to żebracy, których zebrano w rynsztokach i przebrano przed utopieniem ich w Atlantyku.

Goście jedli przy długim stole po środku sali, a hałas, jaki wszczynali, zagłuszał głosy innych klientów. Wchodzili do sali dwójkami i zajmo-

wali miejsca przy stole według pewnych przepisów pierwszeństwa, co powodowało, że śmieszność ich mundurów zwiększała się z jednego końca stołu do drugiego.

Ostatni wchodził niejaki Pittigrilli. Miał oczy czarne jak smoła, a trzymał się tak sztywno, iż zdawało się za każdym krokiem, że przewróci się do tyłu. Brakło mu tylko srebrnego papieru, by wyglądał jak prawdziwa choinka. Kiedy wkraczał na salę, ro-

dacy jego — trzaskając obcasami — zastygali nieruchomi jak manekiny, dopóki nie kazał im siadać. Stev uważał to za przekomiczne.

Kelnerzy uznali Pittigrillego za gospodarza i zaczęli podawać zupełną porcję, siedzącym po drugiej stronie stołu, by Pittigrillego obsłużyć na samym końcu. Tak samo roznosili mięso — najpierw tym, którzy siedzieli najdalej od Pittigrillego. Nie wiadomo czemu sposób ten wywołał wśród biesiadników zamieszanie. Kiedy kelnerzy zaczęli podawać trzecie danie w ten sam sposób, Pittigrilli wstał wraz ze swymi najbliższymi sąsiadami, wezwał do siebie zarządzającego hotelu i wygłosił do niego kazanie.

„Thank you, sir“ powiedział zarządzający z głębokim ukłonem.

Wtedy kazał sprowadzić dyrektora i nadal prawili kazanie, aż wreszcie siedli i zaczęli jeść.

Naturalnie przy następnym posiłku kelnerzy jak i poprzednio podali zupełną porcję, zaczynając od drugiego końca stołu, a kończąc na Pittigrillim. Wtedy Pittigrilli wstał z miejsca i rozkazał swym podwładnym opuścić salę. Oślupiali kelnerzy i goście patrzyli, jak faszyci ustawiają się dwójkami i oddalają się od dymiącej zupy.

Wieczorem konsul włoski przybył osobiście do hotelu i oznajmił zarządzającemu, że jeżeli nie będzie się podawać zupy, zaczawszy od Pittigrillego, a kończąc na gościu, siedzącym najdalej od niego, sprawa zostanie przekazana ministerstwu spraw zagranicznych.

„Thank you, sir“, powiedział zarządzający hotelu z głębokim ukłonem. I obiecał, że pomówi o tym z

kelnerami. Ale kelnerzy odpowiedzieli, że Pittigrilli płaci, a w hotelach panuje zwyczaj, że na końcu podaje się klientom, którzy płacą.

„Płaci Mussolini“ — odpowiedział ze złością konsul.

„Thank you, sir“ — odrzekł zarządzający hotelu z głębokim ukłonem.

„Ale — dodał — od czasu, gdy oni tu przebywają, nie udało nam się niestety, zatrzymać ani jednego angielskiego gościa. Anglicy nie znoszą ludzi, którzy hałasują przy jedzeniu“.

„To mnie nic nie obchodzi — powiedział konsul. — Kto znieważa Pittigrillego, znieważa Mussoliniego“.

„Thank you, sir“ — powiedział zarządzający hotelu z głębokim ukłonem.

Tak się skończyła rozmowa.

Nazajutrz Stev miał wolne popołudnie. Pogoda była piękna. Słońce padało na frontową ścianę hotelu i na chodnik. Stev stał u wejścia i nie mógł się zdecydować na zdjęcie swego munduru, bo słońce pięknie błyszczało na jego złotych guzikach, na długich złotych lampasach u jego spodni i na złoczonej czapce, która wyglądała jak rondel, przymocowany rzemykiem pod brodę.

Poza tym przyjemnie było stać u wejścia, jak istota w pewnym sensie wyższa, w mundurze, gdy tymczasem chłopcy w jego wieku przechodzili nic nie znaczący w roboczych drellichach lub w krótkich spodenkach. Przechodziły też dziewczęta.

Dwaj Amerykanie wyszli z hotelu i zapalili papierosy. Powiedzieli do Steva „hallo“ i poczęstowali go papierosem.

Nie! Nie ma mowy o tym, by się przebrać w cywilne ubranie. I to

zwłaszcza, kiedy ma się papierosa. Powiedział sobie, że gdyby jeszcze miał zapalke, nic by nie brakowało jego dostojenstw. Któż odważyłby się jeszcze zaśpiewać: „Stev jest największy niezgraba“... Nie. Będzie uosobieniem doskonałości na tym chodniku, on, który ma 14 lat, stoi na słońcu, jest panem swego życia, w mundurze, z papierosem.

Ktoś zbliżał się do hotelu, idąc chodnikiem. Szedł szybko i sztywnym krokiem. Był w mundurze, jak Stev, miał papierosa w ręku, jak Stev, a w drugiej ręce smukłą laseczkę. Był to Pittigrilli. Manifestacyjnie nie zwracał na nic uwagi poza samym sobą i swym mundurem. To też nie spojrzał nawet na Steva, który też był w mundurze.

„Hello, Pittigrilli“ — powiedział Stev w czysto amerykańskim stylu i przyjaźnie klepnął faszystę po ramieniu. Przecież obaj mieli mundury i Stev czuł niejasno, że obaj są wielkimi ludźmi, ozdobą ulicy i świata. „Ognia“ — powiedział, pokazując papierosa, który włożył do ust.

Stefan Jonsson nigdy nie byłby pomyślał, że człowiek może nagle wpaść w złość, kiedy wita go się przyjaźnie w pogodny ranek. W jednej chwili twarz faszysty oblał straszliwy wyraz zdumienia, strachu



i wściekłości. Tak, jakby morderca błysnął przed jego oczami wzniesionym do góry nożem.

Nie raczył odpowiedzieć, ale wyrwał papierosa z ust Steva i rzucił go na chodnik, a potem laska jego zaczęła skakać po policzkach chłopca aż trzeszczało.

Sen prysnął.

Trzeba powiedzieć w tym miejscu, że mało narodów znosiło ucisk i niesprawiedliwość z większą uprzejmością niż to czynili Islandczycy. W ubiegłych stuleciach i aż do naszych czasów odpowiadali na ucisk chęcią pojednania, nigdy nie usiłując się buntować. Żaden naród nie jest dal-

szy od idei rewolucji. Islandczycy jakby z pewnym uporem całują najbardziej siekący bicz i wierzą, że kat, który ich wieszał z najbardziej zimną krwią, był ich najwierniejszym sługą i dawał im najpewniejszą ochronę.

Ale jakkolwiek wydaje się to nieprawdopodobne, zdarza się czasem, że ten tak dobrze wychowany wyspiarski naród zapomina o wszystkim, czego go nauczono, zapomina o swym dobrym wychowaniu, o swym poddaniu i poszanowaniu dla kata i — zamiast najpierw zastanowić się i torturować swój mózg celem wykrycia, jakie szlachetne i bezinteresowne motywy mogą usprawiedliwiać ciosy, które mu się zadaje, odpowiada najzupełniej naturalnym

wybuchem, nawet zanadto naturalnym.

Tego dnia wybiła właśnie godzina stosunkowo rzadka, ale tym szczęśliwsza w życiu narodu. Zaledwie generał Pittigrilli dotknął Stefana Jonssona swą laseczką, ten uderzył głową w brzuch generała i opasał go rękami. Ten cios zaskoczył generała. Rzeczywiście nie leży w zwyczaju, by chłopcy hotelowi atakowali wielkich ludzi. W ten sposób rozpoczęła się walka między chłopcem, a generałem, która przeniosła się na środek ulicy. Tłum gapiów zgromadził się ze wszystkich stron, by cieszyć się tym widowiskiem. Jak długo trwała walka — nie ma to znaczenia dla naszej historii. Na koniec Stefan Jonsson rozciągnął na ziemi bohatera pustyni.

„Mamma mia“ — mrucał generał, tarzając się w kurzu z chłopcem, który go nie wypuszczał z rąk.

Ludzie spostrzegli wreszcie, że faszysta słabnie. Kilka współczujących dusz przybyło mu na ratunek, podniesiono go, otrzepano, kazano chłopcu wynosić się i zniknąć na jakiś czas. Bo Islandczycy stoją zawsze po stronie pokonanego. Gotowi są podnosić i otrzepywać, niewątpliwie dlatego, że według ich głębokiego przeświadczenia, ich sprawa jest wspólna ze wszystkimi, którzy przegrywają.

Zaledwie bohater pustyni, Pittigrilli został postawiony na nogi, wyswobodzony z uścisku Stefana Jonssona i otrzepany, stał się tak dzielny jak przedtem. Przemówił u wejścia do hotelu z taką siłą, że drzwi i okna ze wszystkich stron otworzyły się i ludzie zaczęli tłoczyć się, by nacieszyć się przedstawieniem.

Niektórzy myśleli nawet, że przybył Mussolini we własnej osobie.

Tylko dwaj przechodzący Anglicy włożyli ręce w kieszenie i znikli incognito w ukrytych drzwiach. Stefan Jonsson zniknął i nikt nie rozumiał, co ten człowiek mówi. Nadeszli ludzie z zimną wodą i zapalkami, myśląc że w ten czy inny sposób będą mogli okazać mu pomoc, ale na próżno.

Wieczorem powrócił konsul włoski i tym razem był jeszcze poważniejszy niż poprzednio. W Islandii znieważono Mussoliniego. Chwała Duce została stratomana na tej przekłętej skale wśród Oceanu, którą święta broń włoskich faszystów mogła w kilka minut pogрузić w wodzie, gdyby tylko zechcieli.

Sprawa będzie przedstawiona w ministerstwie spraw zagranicznych, ale poza tym prowadzić się będzie postępowanie na rzecz odszkodowania, nawet gdyby to miało kosztować króla Danii jego koronę.

„Thank you, sir“ — powiedział zarządzający hotelu z głębokim ukło-



nem. Kilku Anglików pośpiesznie opuściło hotel wraz z bagażami.

Rozpoczęły się rokowania.

Sztab główny nie upierał się przy ustąpieniu z tronu króla duńskiego, ale nalegał, aby w imieniu rządu złożone zostało publiczne przeproszenie za to co się wydarzyło — na ręce Mussoliniego. Kiedy jeden z dyplomatów zauważył, że Mussolini mógłby może nie zrozumieć takiego wystąpienia, Pittigrilli zażądał, aby przynajmniej dyrekcja hotelu przeprosiła go za zniewagę. Wszędzie szukano dyrektora. Ale wyjechał na wieś polować na dzikie kaczkę. Zresztą nie miał ochoty mieszać się do tej sprawy. Groom nie był jego pracownikiem, ale zarządzającego hotelu. Zarządzający hotelu był odpowiedzialny za swojego boya.

Pittigrilli zażądał wówczas, aby natychmiast wydalić chłopca ze służby.

„Thank you, sir“ — powiedział zarządzający hotelu z głębokim ukłonem.

Ale mały Stev pojechał do domu, gdyż był to jego wolny dzień. Nie miał pojęcia, że zaszło jakieś wydarzenie. Jakiś cudzoziemiec dał mu w twarz, odpowiedział mu na to i puś-

cił go kantem. Ten bałwan był w mundurze. I co z tego? Stev też był w mundurze. Nie mógł sobie wyobrazić, że chłopak mógł mieć do niego pretensję za to, że go rozłożył na łopatki. Często kładziono Steva na łopatki i nigdy nie miał tego nikomu za złe. Kiedy dwaj ludzie się biją, jest rzeczą naturalną, że jeden jest na wierzchu, a drugi pod spodem. Nie, nic się nie stało. Wieczorem o wszystkim już zapomniał.

Nazajutrz rano pogoda była piękna i faszyci odlecieli w swoich mundurach, by nigdy więcej nie powrócić do Islandii. Stefan Jonsson przyszedł do pracy i znowu włożył swój mundur ze złożoną czapką. W hotelu panował spokój. Nic się nie wydarzyło. Gdyby mu powiedziano, że faszystowska flota powietrzna poniosła poprzedniego dnia klęskę w Reykjavik, nic by z tego nie zrozumiał. Ale rozumiał za to co innego. Miał już dość tej dziewczyny, która podawała do stołu i nazywała się Gunna. Ta mała cholera nie miała najmniejszego szacunku dla młodego jegomościa ze złotymi guzikami, w złożonej czapce i nie pomijała żadnej sposobności, by, ilekroć przechodził, zaśpiewać tę idiotyczną piosenkę:

*„Ze wszystkich chłopców załogi
Stev jest największy niezgraba....“*



ilustr. Zuka



Muzycy radzieccy w Paryżu

ROGER BOUSSINOT

ÓSMEGO lipca br. na lotnisku w Le Bourget wysiadło z samolotu ośmioro obywateli radzieckich.

Publiczność francuska nie miała jeszcze możliwości wiedzieć, kim jest Nelly Szkolnikowa, czy też Rafał Sobolewski, Eugeniusz Malinin i Stanisław Neuhaus. Prasa zamieściła „wzmiankę” — tzn. parę zdawkowych, informacyjnych linijek (prze-

ważnie drobnym drukiem), zawiadamiających, że: „ośmioro muzyków rosyjskich przybyło do Paryża, aby wziąć udział w Konkursie im. Marguerite Long — Jacques Thibaud”.

Byłoby może do pewnego stopnia rzeczą uzasadnioną, by publiczność francuska знаła nazwiska Dawida Ojstracha i Lwa Oborina, ponieważ obydwaj występowali już w Paryżu, lecz koncert Ojstracha odbył się



Nelly SZKOLNIKOVA

w 1937 r., a Oborina — w 1950 r. Jakże to było dawno, jak gubiło się w czasie przedwojennym, lub w najkrytyczniejszym okresie „zimnej wojny“. Jeżeli muzyka jest sztuką dźwięków, to czyż „zimna wojna“ nie jest też (między innymi) sztuką — milczenia?

Cóż wreszcie mówić mogło publiczności francuskiej nazwisko Dymitra Kabalewskiego, radzieckiego kompozytora, którego utwory znane są jedynie nielicznym kołom melomanów, Dymitra Kabalewskiego, o którym wiedziano zaledwie to, że skomponował operę według „Colas Breugnon“ Romain Rollanda i koncert skrzypcowy, grany przez Ojstracha?

Ósmym przybyszem był znakomity pianista - akompaniator, Włodzimierz Jampolski.

Czy chcecie, by opowiedzieć wam na temat tego przybycia anegdotkę, która ukaże szczyt ignorancji publiczności francuskiej? „Wzmianka“, zamieszczona w dzienniku, szczycącym się milionowym nakładem, rozprzeczawanym przy wielkich okazjach, podawała, że owa ósemka muzyków radzieckich stanowiła osiem osób mających ubiegać się o Nagrodę Jacques Thibaud — Marguerite Long.

W dziesięć dni później tenże sam dziennik mówił oczywiście o Nelly Szkolnikowej, o Eugeniuszu Malinie, o Dawidzie Ojstrachu, Lwie Oborinie i Dymitrze Kabalewskim tak, jakby doprawdy (według popularnego powiedzenia francuskiego) i redaktorzy, i czytelnicy „nigdy nikogo poza nimi nie znali“.

A było tak dlatego, że od chwili ich przybycia sala Gaveau, w której odbywały się eliminacje Międzynarodowego Konkursu skrzypcowego i fortepianowego, rozbrzmiewała wyłącznie oklaskami i okrzykami uznania dla czworga uczniów Konserwatorium Moskiewskiego. Zaś Pałacowi Chaillot przypadły w udziale dwa najznaczniejsze wieczory muzyczne sezonu — recital Ojstracha i recital sonatowy Ojstracha i Oborina.

Przedstawiciele muzyki radzieckiej poznali francuskie upodobania muzyczne, a francuskiej publiczności objawił się jeden z najbardziej nie-nagannych artyzmów wykonawstwa muzycznego.

W spotkaniu tym przewagę miała muzyka, a wraz z nią owo najlepsze

zrozumienie intelektualne mogące powstać między dwoma wielkimi krajami: jest ono także rękojmią pokoju.

OPINIA MENUHINA

Przypomniano sobie wówczas, że Dawid Ojstrach był laureatem konkursu im. Wieniawskiego w Warszawie w tym samym roku, w którym francuska skrzypaczka - wirtuozka Ginette Neveu święciła triumfy w tym samym konkursie. Przypomniało sobie także, że Jehudi Menuhin powiedział: „**To on jest największy**”. Przypomniano to sobie tym bardziej, że wreszcie mieliśmy go całkowicie dla siebie, że od pierwszych taktów „Koncertu A-dur” Mozarta nikt nie mógłby utrzymywać, że Menuhin nie miał racji.

Lecz Dawid Ojstrach — to mistrz. Laureat Nagrody Stalinowskiej, profesor Konserwatorium Moskiewskiego. Przed nim zaś słyszeliśmy „Koncert” Czajkowskiego, wykonany przez uczennicę Szkolnikową na uro-

czystym wieczorze, na którym wręczono tej 24-letniej dziewczynie Pierwszą Nagrodę i Nagrodę im. Ginette Neveu. Wiele gazet pisało nazajutrz, że „jest coś genialnego” w tej studentce czwartego roku, co z pewnością odpowiada prawdzie. Jeden z obecnych nauczycieli Francuskiej Szkoły gry na skrzypcach, znający najlepszych wirtuozów naszego stulecia, mówił nam, podobnie jak Jacques Thibaud: „Ta dziewczyna sprawiła mi wzruszającą niespodziankę: gra Czajkowskiego zupełnie tak samo, jak grał go wielki Sarasate. Ten koncert, pełen potknięć pod smyczkiem wszystkich skrzypków, traci je w jej wykonaniu — co wskazuje na zadziwiającą kulturę muzyczną i mistrzostwo...”

„GARNERIUS DEL JESU” NA CAŁE ŻYCIE

Próżno byłoby odważyć w miligramach korzyści, odniesione z tego spotkania przez jednych czy przez drugich, przez nich — muzyków radzieckich, czy przez nas — publicz-

*Blanche TARJUS
(Francja) i Edward
STATKIEWICZ (Polska), 2
i 7 miejsce w kon-
kursie skrzypco-
wym.*





Dawid OISTRACH

ność francuską, przez postawionych oko w oko z sobą wirtuozów francuskich i radzieckich. Toteż wymienimy tylko niektóre uwydatniające się w rozmowach fakty.

Wiadomo na przykład, że we Francji rząd nie czyni bynajmniej sprawy stanu z nauczania w ogóle, a z nauczania muzyki w szczególności. Nie wiem dokładnie, ilu studentom francuskim przyznaje się stypendium, w każdym zaś razie nie znam dotychczas ani jednego, któremu najnaturalniej w świecie przyznano by oprócz stypendium skrzypce Stradivariusa lub „Garneriusa del Jesu“.

— Czy tylko na czas koncertu? Czy na czas trwania konkursu im. Jacques Thibaud? — spytała młodej studentki radzieckiej francuska rozmówczyni (także laureatka tego samego konkursu).

Zdziwienie, które odmalowało się na twarzy radzieckiej skrzypaczki, pokazało, jak bardzo poczuła się zakłopotana pytaniem: jakżeż można myśleć, że artyście powierza się instrument tylko na jeden koncert?

— Ależ te skrzypce są dla mnie — odrzekła — dla mnie na całe życie. Pochodzą ze zbiorów narodowych.

Oto z pewnością doskonale logiczne rozwiązanie. Starożytny instrument cierpi na tym, że całymi latami leży nieużywany w muzeum. Dlaczegoż więc w tych warunkach nie powierzyć go zasłużonemu artyście (zresztą stypendyście od... piątego roku życia)? Francuskie muzea posiadają w swych zbiorach takie sta-



Marguerite LONG i Jacques THIBAUD

rodawne instrumenty. Muzeum Konserwatorium Paryskiego posiada skrzypce Stradivarius — cudowny egzemplarz kunsztu lutniczego, który zaraz po Wyzwoleniu trzeba było oczyścić z toczącego go robactwa. Inne przechowywane są po całej Europie pod kloszem, często w specjalnych kasach pancernych. Oczywiście cuda te przedstawiają sobą znaczny kapitał.

Ponieważ byliśmy w Paryżu — zaczęliśmy mówić o Paryżu. Zatrąciliśmy w rozmowie o Paryż Honoriusza de Balzac i w ten sposób dalsza rozmowa potoczyła się o literaturze. Dowiedzieliśmy się, że o ile studentom Konserwatorium Paryskiego zaleca się uzupełnienie wykształcenia ogólnego na poziomie świadectwa ukończenia szkoły podstawowej, to studenci Konserwatorium Moskiewskiego obowiązani są do opanowania zasobu wiedzy, równoważnego dyplomowi szkoły wyższej. Studenci zaś, którzy szczególnie zamierzają poświęcić się nauczaniu muzyki, nie mogą spełnić tego zamiaru, jeżeli nie pozostaną w Konserwatorium o rok dłużej i nie przedstawia pracy dyplomowej.

Jak już mówiłem, co tu ważyć na miligramy: czy zdziwienie dowiadujących się o tym wirtuozów francuskich, czy zdumienie wirtuozów radzieckich, przeliczających na ruble cenę prywatnej lekcji z profesorem-mistrzem „świata zachodniego“? Jeżeli lekcja wypada po pięć lub sześć tysięcy franków za trzy kwadranse, liczba przyszłych wirtuozów, mających bronić barw Szkoły Francuskiej na konkursach międzynarodowych, staje się z musu smutnie ograniczona: naród nie jest tu niewyczerpaną skarbnicą talentów, na którą powinnyby się normalnie fi-
czyć...

W dzień odjazdu spytaliśmy ciemnowłosej i uśmiechniętej dziewczyny, która zdobywając Pierwszą Nagrodę wzbudziła entuzjazm muzyków francuskich, jakie ma plany na przyszłość. Koncerty? Nagrywanie płyt? Radio?

— Jestem tylko studentką czwartego roku — odparła. — Rok jeszcze będę się uczyć do ukończenia studiów.

A w najbliższej przyszłości, zaraz po powrocie do Moskwy, miała pojechać... na obóz letni na Uralu.

Najstawniejsze znakomitości muzyczne zasiadły w Jury Konkursu





Rozważania przy KUFLU PIWA

EMILE CAVENAILLE

PIWO jest par' excellence napojem spokojnego lata.

Wystarczy przypomnieć sobie tarasy wszystkich kawiarni świata. Z północy na południe, ze wschodu na zachód, zmienia się czasem łożo, otoczenie nie wszędzie jest jednakowe, szklanki i kufelki przybierają niezliczoną liczbę kształtów: lecz mniejsza o naczynie — wypełnia je zawsze piwo, jasne czy ciemne, spienione, błyszczące w słońcu, powlekające szkło mgiełką chłodnej świeżości.

Spójrzcie w lecie na piwoszków, rozpartych na krzesłach: ich ramiona, szyje, brzuchy — wszystko chciałoby się pozbyć krępującej koszuli. Błyszczą im oczy na widok przynieszonego kufła; piją delektując się, proszą o jeszcze i w miarę pochłanianego trunku — kroplisty pot pokrywa im twarze blaskiem drobnutkich kryształków. Nie dworujcie sobie z tych pocziwców, nie ośmieszajcie ich obrazu; są to na ogół spokojni obywatele. mili, pogodni, wolni od wojowniczego ducha. Mówię

to bez żadnej pychy zawodowej: piwosz nie jest zawadiaką.

Nie zamierzam tu omawiać dość skomplikowanej techniki przyrządzania naszego narodowego napoju; woląłem raczej streścić pokrótce jego dzieje i wymienić nieliczne wypadki występowania w literaturze francuskiej. Wino odznacza się oczywiście większym połotem: sławiono je wierszem i prozą poprzez wszystkie wieki. Mitologia, Pismo Święte, Dionizos ze swym piastunem Sylenem i orszakiem Bachantek, stary Noe po potopie — dość już, mógłbym tak wyliczać bez końca. Od wieków, od czasów, gdy człowiek jaskiniowy ociosywał kamień — aż do naszych stutysięcznych nakładów wydawniczych na wszystkich rodzajach papieru, poprzez papyrus i inkunabuły, nie było jaką częstką natchnień czerpano w winie lub w miłości, często zaś równocześnie w jednym i w drugim.

Piwo nie posiada tych pobudzających walorów; częsty użytek pi-

wa gasi polot, nadużywanie go — czyni ociężałym.

Znam jednego tylko bohatera piwa — imieniem Gambrinus, lub Gambrivius czy też Cambrinus. Legendę o nim opowiada cudownie Charles Deulin w swych „Opowieściach flamandzkich“, bardziej zresztą francuskich, niż flamandzkich.

Złotobrody i złotowłosy Cambrinus był terminatorem szklarskim w Fresnes nad Skaldą, pomiędzy Tournai a Valenciennes. Kochał piękną Flandrinę tak samo jasną i złotowłosą; lecz Flandrina wzbraniała się przyjąć go. Cambrinus zapragnął zubożyć się, by zdobyć swą ukochaną. Bywał kolejno śpiewakiem wędrownym, łucznikiem, żonglerem, snycerzem i we wszystkich tych profesjach powodziło mu się znakomicie. Choć mu tam nieco diabeł pomagał w przedsięwzięciach, Flandrina wciąż nim gardziła. Wówczas Cambrinus zaczął próbować wszystkich win świata; lecz znajdował w nich tylko miłość. Diabeł, który stanowczo ży-

czył mu jak najlepiej, zdradził mu tajemnicę wyrobu, a zwłaszcza popijania piwa i bohater nasz znalazł w nim wreszcie zapomnienie serdecznych cierpień.

Naraz Cambrinus stał się sławnym, został księciem Brabantu, hrabią Flandrii i panem licznych włości. Wynalazł klawiaturę do poruszania dzwonów i założył miasto Cambrai. Stopniowo oblicze jego sczerwieniało, wyrosło mu wielkie brzuszysko. zgrubiał śmiech; stał się brzuchatym, zaniedbanym, podchmielonym starcem, jakiego przedstawia na ogół symbolika pisarska. Podstarzała Flandrina, której serce zdobył nareszcie, zaczęła kręcić się koło niego; nie poznał jej i poczęstował kuflem piwa. A diabeł, który nie robi nic za darmo i który kupił jego gorącą duszę — marnie wyszedł na tym handlu; przyszedłszy po swą należność, zastał tylko beczkę piwa.

Nie wiem jak Niemcy opowiadają o przygodach roześmianego bożka, którego wizerunek ogląda się nad ol-





robowi piwa; w tym zapewne szukać należy najprostszego i najwłaściwszego wyjaśnienia. Gallowie nazywali piwo „cerevisia“; według ówczesnych pisarzy łacińskich był to ulubiony napitek ludów północnych. Za panowania rzymskiego wyrób piwa był w Galii bardzo znaczny. Zwiększył się jeszcze z chwilą, gdy Domitian zabronił, w następstwie klęski głodowej, uprawy winnej latorośli na wszystkich ziemiach mogących rodzić zboże. Jak widać, gospodarka kierowana istnieje nie od dzisiaj.

Statuty Królewskie Merowingów świadczą o zainteresowaniu tych królów produkcją piwa. Pełno w nich przepisów dotyczących wyrobu i sprzedaży piwa, zwłaszcza dla folwarków królewskich.

Nadeszła Wojna Stuletnia: w latach od 1415 do 1482 z braku ziarna zabroniono wyrobu piwa.

Później, wraz z ustrojem korporacyjnym przemysł ten rozwija się na nowo, ze zmiennym szczęściem, zależnie od epoki i miejscowości. Każda gmina, każde miasto, każde ksiąstewko rządzi się w swym maleńkim królestwie, wedle okoliczności, wedle swych interesów i praw.

Rewolucja Francuska obaliła od razu wszystkie dawne przywileje. Głosi się na nowo wolność zawodu. W latach 1791 do 1804 piwowarstwo nie podlega opłatom skarbowym. Trzynastcie lat raju bez chmurki, bez poborców, bez kontrolerów; była to z pewnością szczęśliwa trzynastka.

Później dzieje piwowarstwa są już tylko jednym ciągiem liczb przeraźliwie astronomicznych. Oszczędcę czytelnikowi częzgo wyliczania.

brzymimi szynkwasami piwiarni w Monachium, czy Dortmundzie, wiem za to, ile ta powiastka zawiera filozoficznego uroku.

Prawdziwe dzieje piwa są związane; trudno je dokładnie umiejscowić w czasie, jak zresztą wszystkie wynalazki ludzkie, których początek niknie w głębi wieków. Mówiąc o piwie, możemy powtórzyć banalny komunał: „Piwo znane jest od najdawniejszych czasów“. Wynaleziono je podobno w Egipcie, gdzie warzono je najpierw z pszenicy, a później z jęczmienia. Zwyczaj popijania piwa przeniósł się z Egiptu do Gresji, potem zaś do Rzymu i Galii.

Jak się odbyły te przenosiny z południa na północ? Nikt się już tego nie dowie; zdaje się jednak, że napój ten nie zyskał sobie na długo upodobania narodów śródziemnomorskich, pozyskał je zaś w wielkiej mierze u nas. Klimat umiarkowany, raczej chłodny, idealnie sprzyja wy-

Chcąc uwidocznic rolę piwa w literaturze pięknej, przewertowałem skrupulatnie własne wspomnienia oraz moc książek. Być może, że utwory niemieckie więcej mówią na ten temat; ponieważ znam je bardzo słabo, byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby któryś z niemieckich przyjaciół Pokoju zechciał oświecić mnie w tej dziedzinie. W każdym razie literatura francuska zachowuje na temat piwa pogardliwe milczenie. Obwieś Villon, bywalec szynkowni, pożałował dłań cenniejszego słówka. Rabelais nie zwraca nań żadnej uwagi. Ronsard wraz z całą Plejadą miał inne, bardziej dystygnowane kłopoty. Nawet dobroduszny La Fontaine, któ-

ry mówił o wszystkim, nie zdobył się na najmniejszą bajeczkę o piwie.

Trzeba było dopiero Courteline'a, by stworzyć postać naiwnego i wspaniałego Boubouroche'a, pocieszającego się w miłosnych strapieniach kufelkiem spienionego piwa.

Dwa są jeszcze utwory, które nie objawiają zresztą jednakowej sympatii dla naszego narodowego wytworu. Jeden z nich — to „Piwo“ Antoniego Clesse, uroczego piosenkarza, który żył w połowie ubiegłego wieku i cieszył się dość dobrą sławą w swych stronach. Oto dwie zwrotki „Piwa“:



*Pijmy do dna mili przyjaciele,
Pijąc zaś, śpiewajmy o piwie.
Pijmy do dna mili przyjaciele
I śpiewajmy o piwie z naszych stron.
Bo też ma ono flamandzkiego piwa
Wygląd powabny, blask i słodycz,
Nęci nas, wesółych Wallończyków,
A jest bratnio podobne do faro*).*

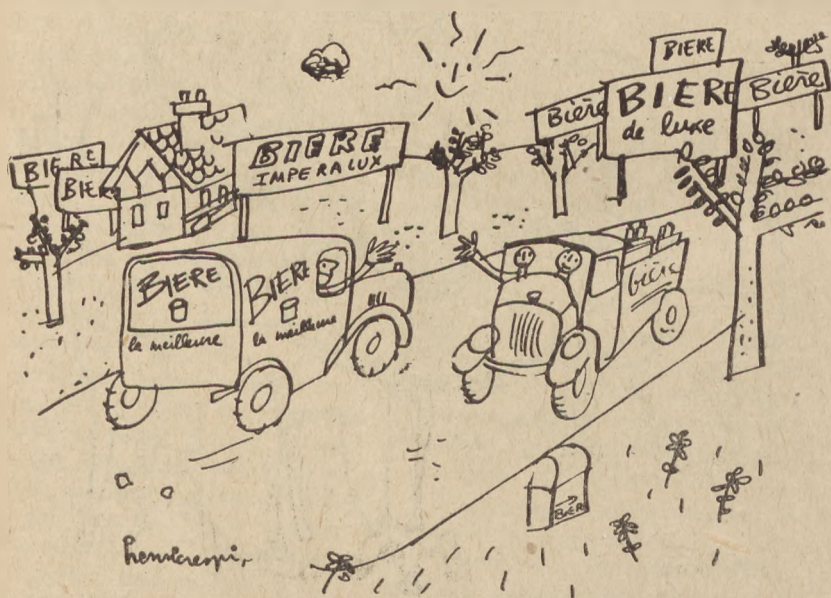
Drugi — to wierszyk Baudelaire'a, który w „Amoenitates Belgicae“ nie podziela z pewnością tego zapału: „Zdanie p. Hetzla o faro“:

*„Pije Pan faro? Hetzla zapytatem;
Na brodatym obliczu cień zgrozy uj-
rzałem;
Nie, nigdy! Faro, mówię bez urazy,
To piwo pite dwa razy“.*

*) Faro — gatunek piwa wyrabiany w Brukseli.

Wielki poeta miał bez mała słuszość co do faro, piosenkarz zaś nie był bez racji, bo piwo wytrzymało próbę. Najwięcej piwa na świecie wypijają Belgowie. Roczne spożycie sięga w Belgii 200 litrów na mieszkańca, licząc w tym kobiety, dzieci i starców.

Sześciuset właścicieli browarów w naszym kraju wypuszcza na rynek przeszło tysiąc gatunków piwa. Cóż za gratka dla wyobraźni te wszystkie nazwy, wielojęzyczne, czerpiące wielostronnie z historii, geografii, świata zwierzęcego, symboliki, z wszystkiego i z niczego, dodane oczywiście do nieodzownych wyrazów takich, jak: bier, ale, lub pils: Nerva, Celta Walonia, Belgica, Flandria, Alostia, Bavery, Coq, Fox, Duvel, Horse, Lion, Aigle, Stella, Phebus, Ekla, Sun, Atlas, Berg, Perle, Cristal, Saphir, Ru-



bis, Helles, Cavor, Trébon, Exquis, Union, Extra, Super, Supra, Perfect, Excelsior, Royal, King, Koenig, Imperial, Imperator, Lux... a nawet Benelux.

Podróżny, przebiegający samochodem drogi Belgii, zdumiewa się nad liczbą mijających go w obie strony ciężarówek z piwem; myślę, że nie przesadzę twierdząc, że jeden pojazd na cztery służy u nas do rozwożenia piwa. Moje rodzinne miasteczko posiada 11.000 mieszkańców i 109 piwiarni: ta szacowna proporcja mówi o całości. Dodajmy do tego, że reklama zagarnia wszędzie ściany, słupy, parkany, tablice, i że przyozdobione świecącymi szyldami, marmurami, wielobarwnymi neonami knajpki roją się zarówno w miastach, jak na wsi i przy szosach — a osądzimy natychmiast ważność dla kraju takiego przemysłu.

Żyją z niego nie tylko piwiarnie i ich personel; żyje też z niego gromada sprzedawców i wytwórców w pokrewnych gałęziach przemysłu. Co dziesiąty człowiek w Belgii czerpie

swe dochody w części, lub w przeważającej większości z piwa. Skarb państwa nie może się na to użalać, ponieważ niezależnie od koniunktury płynie do jego kas półtora miliarda rocznie tylko z różnych opłat skarbowych i podatków pośrednich. Ze względu na brak znajomości faktów i na dyskrecję nie wymienimy tu podatków nałożonych imiennie na poszczególnych wytwórców i handlarzy piwa, właścicieli knajp itd. W obliczu żądań państwa wszyscy oni narzekają, ale radzą sobie jakoś; czy nie jest to oznaką niezłego zdrowia?

Lecz szary człowiek, nasz klient, niepokoi się. Wzrasta bezrobocie, kryzys ogarnia nie produkujące dla wojny gałęzie przemysłu, stan niezbędny dla Belgii handlu z zagranicą jest niepomyślny. Przeciętny Belg, niespokojny o przyszłość, nie pije już tyle piwa ile zapragnie...

Dlatego też pewno ja, piwowar, jestem także, bardzo samolubnie, zwolennikiem Pokoju.

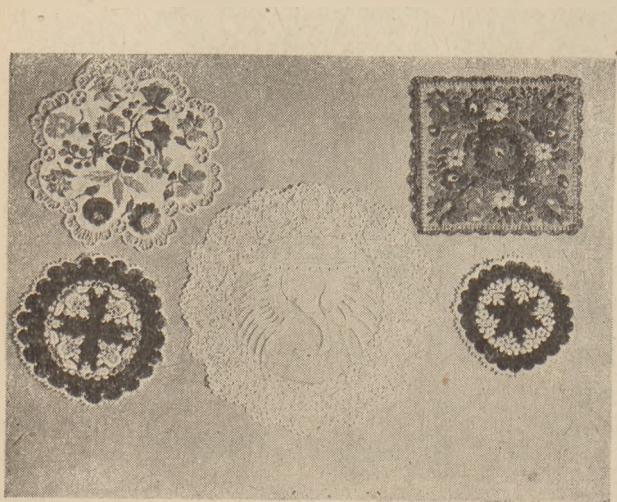


ilustr. Henri CRESPI

WĘGIERSKA SZTUKA LUDOWA



Serwetki... koronki... bluzki... samodziały...





lalki i zabawki





DZIEWCZYNA ZA KIEROWNICĄ

IVAN BOLDIZSAR

TEGO dnia miałem udać się do różnych lokali wyborczych w Budapeszcie i sprawdzić u głosujących i u obliczających głosy, czy wszystko dobrze idzie.

Zapewne po to, bym sobie nie uchodził nóg do kolan, oddano mi do dyspozycji samochód. Przy kierownicy siedziała młoda dziewczyna w mundurze kolejarza. Usadowiłem się przy niej i wtedy właśnie, kiedy się witałem

przedstawiałem, zdarzyła się rzecz nieoczekiwana. Dziewczyna nie wymruczała niezrozumiale swego nazwiska, jak się to zdarza przeważnie przy ceremonii przedstawiania. Nie powiedziała nawet „nazywam się Rozsi“

zgodnie z tradycją wielu młodych towarzyszek, koleżanek i „dam“.

— Rozsa Bogdany — powiedziała po prostu — i mój samochód, stary Fiat, mówiła dalej, uderzając lekko kierownicę, jakby klepała wiernego pieska.

Poprosiłem, aby mnie zawiozła na plac Madach. Kiedy puszczała motor w ruch, zapytałem:

— Czemu go pani także przedstawia?

— To zrozumiałe samo przez się! Nie ja tu jestem najważniejsza, ale samochód.

— Dlaczego?

Prowadziła pewną ręką. Na skrzyżowaniach patrzyła na lewo, na pra-

wo, nie zwalniała, ale zdejmowała nogę z akceleratora.

— Chcę powiedzieć, że bez Rozsi Bogdany moglibyście prawdopodobnie prowadzić tego starego Fiata, ale bez starego Fiata trudno by mi było wziąć was na plecy i zawieźć na plac Madach.

Spojrzałem na jej profil. Nozdrza jej drgały, albo może tak sobie uroiłem?

— Nie wiem, kto z was dwojga jest ważniejszy. W każdym razie samochód jest starszy od was.

— To bardzo możliwe. Przebył już milion kilometrów.

Pochyliłem się, aby spojrzeć na tablicę.

— Uwaga, towarzyszu, jeżeli gwałtownie zahamuję, złamiecie sobie nos! Zresztą na tablicy nie ma tej liczby.

— Więc skąd wiecie?

— Ktoregoś dnia powiedział mi o tym mechanik. Mówił nawet, że jest on więcej wart, niż nowe wozy, dlatego nie wierzę już tak zupełnie w ten milion kilometrów...

— Dlaczego?

Stałemśmy przed czerwonym światłem. Rozsi obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem.

— To samo przez się zrozumiałe! To co powiedział mechanik nie może być prawdą. Przecież to my produkujemy nowe samochody.

Wysiadłem na placu Madach i piętnaście minut spędziłem w lokalu wyborczym. Teraz w drogę do Budy.

— Ostatecznie, w jakim wieku może być ta landara? — zapytałem. — W Budapeszcie widziałem taki typ po raz pierwszy przed dwudziestu laty.

— A zatem pomyliliście się, jestem starsza o parę miesięcy.

O ile?

Tym razem roześmiała się. — Jeżeli chcecie wiedzieć dokładnie, to o dwadzieścia pięć miesięcy. Nie jestem już taka młoda!

Mówiła nie żartując, nie czekając na sprzeciw, jak to czynią młode dziewczęta. Była poważna, zdecydowana, jak mężczyzna pod czterdziestkę.

— W wieku dwudziestu dwu lat nie jesteście młoda?

— To zależy. Wszystko zależy od tego, kiedy zaczęło się żyć.

Zahamowała, aby ominąć ciężarówkę i jednocześnie powstrzymała pytanie, które cisnęło mi się na usta, po czym podjęła znowu:

— W takim razie ten łobuz mechanik powiedział być może prawdę. Ktoregoś wieczora Feri także powiedział...

Ciężarówka zakręciła.

— Feri to towarzyszu. Powiedział on wczoraj: „twój gruchot przebył już na pewno dwadzieścia pięć razy dokoła kuli ziemskiej. Uwaga panowie i panie, podróż dokoła świata — 40.000 kilometrów, to darmo, ładujcie się!” — powiedział. Uśmieiałam się aż miło.

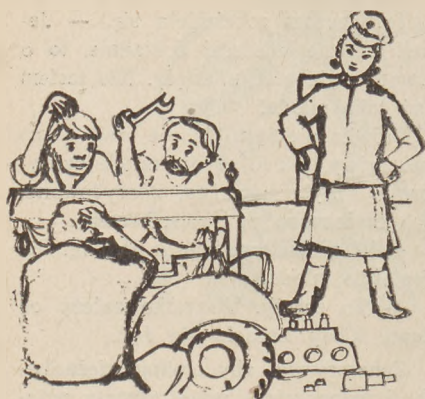
W Budapeszcie roi się wszędzie od świateł ostrzegawczych. Kiedy znowu zatrzymaliśmy się przed czerwonym światłem, dziewczyna dodała:

— Potem było mi smutno.

— Czemu? Czy dlatego, że samochód jest taki stary?

Z powodu głupoty jego kierowcy — roześmiała się z pewnym pomieszaniami. — Powinna być sama także wiedzieć, że równik ma 40.000 kilometrów długości. Uczyla się tego w zeszłym roku.

Znowu wszedłem do lokalu wyborczego. Wychodząc, kupiłem w cukierni ciastka. Kazałem zapakować dwa od-



dzielnie i dalem je dziewczynie. Po-
dziękowała mi, połknęła jedno, a dru-
gie odłożyła.

Motor z trudem nabierał rozruchu.

— Stary pan pokasłuje — powie-
działa dziewczyna.

— Będziemy jednak mogli dojechać
do końca?

— Musi się udać! Dbam o to prze-
cież. Denerwująca jest to, że mamy
za dużo złych szweców.

— Ale wy zabieracie ze sobą kole-
jarzy, powiedziałem, dając się przy-
jaźnie złapać w jej pułapkę.

— Właśnie! Często wyjeżdżamy na
provincję. Nieraz, kiedy jestem na in-
spekcji, dzwoni w nocy telefon: „To-
warzyszka Bogdany, w drogę!“. Po-
tem szef mnie pyła: „Nie jesteście
zmęczona?“ Wie dobrze, co mu odpo-
wiem i ja także wiem, dlaczego sta-
wia mi to pytanie. Ale mimo to odpo-
wiadam: „Chce mi się spać, towarzy-
szu Nyeki“.

— Bardzo jesteście senna?

— Stary, ale nie mój gruchot, tylko
szef, wie doskonale, że mu odpowiem:
„jak świstak w zimie“, ale nigdy nie
omieszka mnie zapytać. Potem dodaje:

„Dobra! Zatrzymajmy się w najbliż-
szej gospodzie“ i stajemy przed małą
kawiarenką, gdzie pijemy po „dużej
czarnej“.

— A co z tym mają wspólnego
szwecy?

— I na nich przyjdzie kolej. Spo-
tykam ich w warsztatach naprawczych.

— Zli mechanicy?

— Zrozumiałe samo przez się! Czę-
sto wyjeżdżamy w nocy, trzeba też
nieraz iść bardzo szybko. To pociąga
za sobą zawsze jakieś kłopoty.

Kiedyś na przykład w Szekszad na-
walił mi motor.

Prowadzę go do warsztatów. Czte-
rech mu się przygląda, po czym
wszyscy rzucają się na niego, jak
wściekle cielę do krowy. Całkowicie
demonstują motor, mimo że protestuję
jak nasza Julia, kiedy ją ścigał pan
rządca. Ale oni nadal rozkładają motor
na części i żartują, że kobieta stara
się pouczać ich w dziedzinie motorów.
Co prawda, to prawda. Nie znam się
na tym tak dobrze, jak stary kierowca.

— I co się wtedy stało z motorem?

— Szef wrócił koleją. Ja utknęłam
na trzy dni, zanim przybyli, by go na-
prawić. Bo jeżeli chodzi o rozłożenie go
na części — idzie im to doskonale,
ale potem!... Prawdę mówiąc, od tego
czasu serce mojego staruszka nie bije
już tak dobrze. Dobrze go wymęczyli.

Teraz jedziemy daleko — do Nagy-
kovacsi.

— To znaczy, że odwiedzimy teraz
drugą dzielnicę? Tego także się uczy-
lam.

— Gdzie? Czy tam, gdzie uczyliście
się o długości równika?

— O równiku mówiono nam w wie-
czorowej szkole technicznej w Nagy-

kovacci, kiedy uczyłam się terenoznawstwa dla uzyskania prawa jazdy.

Droga jest gładka, krajobraz coraz bardziej zielony i kuszący. Rozsa Bogdany naciska akcelerator. Wóz toczy się szybko. Niedługo jednak, może kilometr. Potem zwalnia do 40 km na godzinę.

— Nie spieszy się wam, prawda? Nie chciałabym bowiem jechać zbyt szybko. Mój staruszek wymaga ostrożnego traktowania. Na tych dwadzieścia pięć okrążeń dokoła świata, ze mną przebył już dwa! Mam już za sobą 80 tysięcy kilometrów. Jeszcze dwadzieścia tysięcy i będę stachanowcem.

Zwalniamy w miejscu, gdzie droga lekko zakręca i gdzie delikatny kolor topól prosi się o pędzel malarza. Moja nowa przyjaciółka nastawia ucha, pochyla ku drzewom głowę w czapce kolejarskiej. Zatrzymujemy się.

— Tylne prawe koło nie jest dostatecznie twarde. — Otworzyła już torbę i wyciągnęła pompkę. Wychodzę i chcę jej pomóc.

— Nie trzeba, dziękuję! Proszę raczej obejrzeć sobie w tym czasie krajobraz. O, proszę popatrzeć na tę zabawną skalę.

— To Skala Zakonnicy — mówię.

— Można było nadać jej zabawniejszą nazwę! Ale mimo wszystko proszę ją obejrzeć. Potrafię sama dać sobie radę!

Patrzę na skalę, ale jednocześnie, drugim okiem, na dziewczynę. Raz, dwa, trzy... już dwadzieścia razy poruszyła pompką. Przykro mi, że dziewczyna w wieku dwudziestu lat i dwudziestu pięciu miesięcy pracuje ze wszystkich sił, gdy tymczasem ja z rękami w kieszeniach podziwiam ska-

łę o mało zabawnej nazwie. Wiadomo, kobiety mają teraz te same prawa, ale gdyby mój kierowca był młodym mężczyzną, nie liczyłbym ruchów pompki.

— Poproszę na chwilę tę pompkę, towarzyszek Bogdany. — Przyznaję, że o mały włos byłbym ją nazwał Rozsika. Zdjęła swą kolejarską czapkę i granatową kurtkę. Teraz, walcząc przeciw ścieśnionemu powietrzu z ciężkim narzędziem w rękę, wydaje się dużym dzieckiem.

— Sama dam radę, dziękuję — odpowiedziała, nie przerywając pracy ani na chwilę.

— Będziecie bardzo zmęczona.

Tym razem zatrzymała się. — Jap! Zmęczona pracą? Widać, że niewiele kopaliście w swoim życiu!

Obcasem bucika uderzyła koło, które wydało niski ton, podobny do dźwięku bębna. Jest dostatecznie twarde. Wracamy na nasze miejsca.

— Czy sądzicie, że proszę moich pasażerów, aby reperowali zamiast mnie, kiedy muszę utknąć gdzieś w drodze — powiada — albo, że zwracam się do towarzysza Nyeki z prośbą: „Oto pompka, dmuchnijcie do środka czterdzieści razy!“ Któregoś dnia pod



Dombovar prześladował mnie pech. Ruszamy, pięćset metrów i klak! Kraksa. Mam dobry lewar, zapasowe koło. Towarzysz Nyeki nie skończył drugiego papierosa, kiedy musiałam wyprosić go z wozu. Jedziemy dwa kilometry. Klak! Zapasowe koło oddaje ducha. W takim wypadku mężczyzna wyniśła, ale ja nie lubię ordynarności nawet u mężczyzn. Nic nie powiedziałam, zdjęłam koło, wyjęłam oponę i napelniłam dętkę, by w niej znaleźć dziurę. I wiecie, dziurka była tak mała, że nie przeszłaby przez nią dwudniowa poczwarka gąsiennicy. Ale wystarczyło to, by zepsuć mi samochód. Naprawiłam dętkę, zalepiłam dziurę i wszystko doprowadziłam do porządku. Potem musiałam robić głębokie przysiady.

— Dlaczego?

— Feri wymyślił to, kiedy po raz pierwszy zobaczył jak pompuję. Jemu również nie pozwalano, żeby mi pomagał. Kiedy boli mnie w pasie od złytniego pochylania się, wtedy zginałam kolano. Pompowałam tysiąc pięćset razy.

— W jedno koło? Czy to trochę nie za wiele?

— Widzę, że się znacie na tym! Nie w jedno, w trzy. Bo potem, poza lewym przednim, wszystkie koła powieziały mi dobranoc. Gdybym się tyle nie nakopała w życiu, zламаłabym się na pół.

Wysiadłem w Nagykvacsi i wraz z ostatnim głosującym wszedłem do sali, ozdobionej sztandarami. W drodze powrotnej zapytałam dziewczynę, kiedy musiała tyle kopać.

Milczała przez chwilę. — Dobrze! Opowiem — zaczęła. Potem umilkła.

Wydawało mi się, że znowu bystro mi się przypatruje. — Opowiem, ale powiedzcie towarzysz, czy nigdy nie byliście czymś w rodzaju „pana”? — Bo wtedy nie ma sensu tego opowiadać, i tak nie zrozumiecie.

Staralem się ją przekonać, że nie byłam czymś w rodzaju „pana”.

— Ale jeżeli chodzi o kopanie, to nigdy nie kopaliście?

— Nie!

— Więc trudno wam będzie zrozumieć, ale posłuchajcie.

Kiedy miałam osiem lat byłam już sierotą. Całkowitą sierotą. Ojca mojego nie pamiętam. Kiedyś w dwudziestych latach wyjechał szukać szczęścia w Belgii. Bo nie mogło już być gorzej. Tam zdeptał go koń w kopalni, kiedy upadł, straciwszy przytomność na skutek zatrucia gazami.

Moja matka umarła na gruźlicę. My to nazywamy suchotami. Bardzo płakałam i pytałam moich ciotek, czemu nie zmoczyły jej, skoro choroba jej była sucha. Mój wuj zbił mnie wtedy mocno, mówiąc, że jestem niedobra.

Nie będę opisywać sierocińca. Czytałyście „Arvacske” Zygmunta Moricsa? Więc wiecie, co to jest. Miałam dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy dano mi łopatę. Pracowałam za czwartą część płacy robotnika dniówkowego. Potem bogaty chłop wziął mnie z łaski na służącą. Spałam w stajni.

Kiedy sekretarz organizacji partyjnej czytał mój życiorys, bo zgłosiłam się na kandydata, zatrzymał się i powiedział: „To musiało być najgorsze”. On również był z miasta. Wytlumaczyłam mu dokładnie, że stajnia to nic złego. Jest tam zawsze nieco cieplej, a zapach bydląt jest przyjemny.

Przybyliśmy do miejsca, gdzie droga obejmuje szerokim łukiem całą wielką łąkę Huvosvolgy. Powietrze przepelnione było muzyką.

— Może się zatrzymamy, będzie łatwiej rozmawiać.

— Będę wolniej prowadzić, proszę się nie obawiać, nie wywrócimy się.

Nie śmiałem się tłumaczyć. Zresztą nie było to potrzebne, dziewczyna ciągnęła dalej:

— Najgorsza nie była stajnia, ale próg.

Gospodarz nie pozwalał mi jadać przy stole, ani też w kuchni. Wolno mi było kłaść talerz jedynie na progu. Tylko tam mogłam jadać. Czy możecie sobie wyobrazić, że przez sześć długich lat jedynym pragnieniem mojego życia było zjeść raz jeden nie na progu, ale przy stole?

Gwałtownie zahamowała i stanęła. Wzruszenie jej było silniejsze niż gaz wybuchowy w jej motorze. Otworzyła drzwiczki i teraz je zamknęła. Chciała szukać schronienia w rzekomej wadzie wozu, ale jej charakter, który w ciągu tego ranka ukazał mi się opromieniony taką czystością, nie pozwolił jej nawet na tak niewinne oszustwo.

Usiadła z powrotem i widziałem, że głęboko oddycha. Potem szybkim gestem młodej dziewczyny, jakiego jeszcze u niej nie zaobserwowałem, wyprostowała się, otworzyła małe wsunięte w ściankę pudełko, wyjęła zeń drugie ciastko i wolno zaczęła jeść.

— Wszystko w porządku — powiedziałam, zwracając ku mnie całą twarz. Dotąd rozmawiałem z jej profilem, teraz nagle ujrzałem spojrzenie jej zielonych oczu. Wydało mi się wtedy, że już ją przedtem znałem.

Zwinęła papier i schowała go do małej szafeczki. Potem nagle ruszyła



z miejsca, tak szybko, jakby chciała nadrobić czas, stracony na postój.

— Kiedy miałam szesnaście lat, uciekłam od kulaków. Poszłam do Pecs i wstąpiłam jako służąca do bogatego sukiennika. Początkowo czułam się szczęśliwa. Dali mi mały pokój. Nie pachniał tak przyjemnie, jak stajnia, ale był w nim stół. Jadłam przy stole... Przy stole... — Przez chwilę ujrzałem jej oczy.

— Powiedzcie towarzyszku, czy wasi rodzice mieli służącą? Czekala z wyłączeniem na zaprzeczenie. — Czy wasza matka sama gotowała?

— Tak.

— I sama prowadziła gospodarstwo?

— Tak, sama.

Poczułem znowu na sobie jej przenikliwe spojrzenie. Nie powinienem był utyć, myślałem, gdybym był chudszy, miałbym większy kredyt.

— I prawda, nie pozwalacie jeszcze i teraz, aby inni czyścili Wam buty, prawda? Prawda, także teraz nie? U sukiennika było ich sześcioro i każde brudziło dwie pary butów dziennie.

O piątej rano zaczynałam czyścić buty, usuwać błoto, smarować je najpierw białą pastą, dobrze ją rozkładając, potem pastą czarną, lub brązową. zależnie od koloru buta, potem pieściłam je miękką szmatką, potem tarłam miękką szczotką. Niech ich wszyscy diabli, ich, ich obuwie i ich szczotki!

Poza tym sprzątałam, prałam i nawet pomagałam babce o nosie czarownicy w gotowaniu. I byłam tak głupia, że byłabym tam dotąd służyła, gdyby nie upaństwowiono sklepu mojego pracodawcy. Sami przez się zrozumiałe, że politycznie byłam całkowicie nieuświadomiona.

Przybyliśmy właśnie na ulicę Hada-prod w alejach Vörös Hadsereg. Skręciła na mały mostek, który prowadzi na plac Pasaret.

— Krócej byłoby jechać prosto.

— Tak, ale pozwólcie, że przejdziemy tamtędy. Na początku alei Pasaret stoi mała kawiarenka w głębi ogrodu. Ludzie starsi uważają, że jest to „elegancki” lokal. Zatrzymaliśmy się.

— Nie spieszycie się bardzo, prawda? Bo chcę was zaprosić na „podwójną” kawę w tej gospodzie...

Sprzeciwiałem się — Wy, mnie zapraszacie? To niemożliwe.

— Dlaczego? A kupować mi ciastka to możliwe? Wstałam o piątej rano. Nie żeby czyścić buty, ale aby głosować wtedy, kiedy zechcę. Chce mi się spać, kawa dobrze mi zrobi.

W czasie picia kawy, poprosiłem ją o dokończenie historii swego życia.

— Resztę już znacie, już o tym mówiłam. Lub też zapomnieliście, że się uczyłam o długości równika.

Piliśmy kawę. Nigdy jeszcze nie zwracałem uwagi na wejście do tej małej „eleganckiej” kawiarenki. Czy ma ona próg? Próg był. Wchodząc, nie mogłem się powstrzymać, by go nie stuknąć końcem buta. Dziewczyna zauważyła mój ruch.

— Jeżeli chcecie wiedzieć, jak dalej biegnie moje życie, proszę przyjść na Politechnikę w Budapeszcie w ostatnim roku drugiego planu pięcioletniego, kiedy rozdawać będą dyplomy inżynierom - mechanikom. Przyjdziecie?

— Na pewno!

Raz jeszcze zobaczyłem jej oczy, bo obróciła się ku mnie z uśmiechem.



Nasi rybacy nie wypływają na ślepo

WLADIMIR LIDIN



UDAŁO mi się ziścić prawie całkowicie marzenia mojej młodości, wywołane zapewne przez lekturę „Pracowników morza” Wiktora Hugo: towarzyszyłem rybakom pływającym po Morzu Kaspijskim—tym światowym rezerwacie najrzadszych gatunków ryb —i odwiedzałem niejednokrotnie osady rybackie Dolnej Wołgi i jej delty. Dzieliłem ciężki trud rybaków Północy, którzy walczą z surowymi warunkami panującymi na Morzu Białym, odwiedzałem rybaków na wybrzeżu murmańskim, którzy, z ojca na syna, poszukują i ścigają ryby, jak inni poszukują złota, pływałem po zatoce Półtra Wielkiego na Dalekim Wschodzie. Na południowym wybrzeżu Krymu, koło Foros, rybacy zaprosili mnie na swój posiłek; poznałem wiatry Morza Azowskiego, które, zależnie od wysokości na której wieją, popychają wodę w tym lub innym kierunku; poznałem wreszcie pra-

cę rybaków na wielkiej rzece Amurze, którzy łowią tysiące i tysiące lososi w okresie tarła.



PAMIĘTAM rybaków bretońskich, wzdłuż skalistego wybrzeża Finistère. Bywałem również w miasteczkach Saint-Guénolé, Quimper'le lub Douarnenez, a także w domach rybaków włoskich koło Sorrento i na Capri. Los rybaka na morzu jest indywidualny. I brudny żagiel bretońskiego rybaka przypominał mi zawsze, że od wyniku połowu zależy jutro marynarza, los całej jego rodziny.

Na morzach radzieckich marynarze są zgrupowani w spółdzielniach rozporządzających doskonale wyposażonymi kutrami: np. na wybrzeżu Morza Białego, wzdłuż którego łowili niegdyś samotni rybacy, w kruchej łódeczce, znajdując się dzisiaj spółdzielnie rybackie dysponujące materiałem pływającym

państwowych stacji kutrów motorowych; mieszkaniec Wybrzeża, niegdyś prosty rybak, stał się obecnie mechanikiem, szyprem.

Nie mam zamiaru opisywać techniki i metod połowów. Opowiem tylko o pracy radzieckich rybaków, którzy przeszli z prastarych metod, gdy oczekiwano biernie na pojawienie się ryby, na metody aktywnych, metodycznych poszukiwań na najodleglejszych ławicach morza.

Półów na Woldze, przeprowadzany przez świetnie wyposażoną flotyllę, jest zaiste wspaniałym widokiem jeśli chodzi o wykorzystanie urządzeń technicznych. We wszystkich bazach rybackich odbywa się mechaniczne sortowanie ryby, rybacy wrzucają swą zdobycz do „prorezów“, rodzaj długich łodzi ze szparami, a holowniki odwożą je w długich szeregach do baz przemysłu rybnego. Na morzu rybacy przeładowują swą zdobycz na statki-bazy, które przewożą je bezpośrednio do prawdziwych pływających fabryk. Podczas wiosennej migracji widzi się na Woldze płynące w górę rzeki ławice wobły, śledzi, leszczy, sandaczy i tzw. ryby czerwonej — jesiotrów, bielug, białych łososi. Pośpiech, z jakim płynie śledź jest tak wielki, ryba posuwa się tak szybko ku miejscom tarła, że jeszcze przed 70 laty uważano śledzia za rybę opętaną i nie chciało jej jeść. Jednakże około 1890 r. z połowów tej ryby powstały olbrzymie fortuny i przemysłowcy rybni znad Wołgi należeli do najbogatszych ludzi carskiej Rosji.

Ciekawą jest rzeczą wspominać tę epokę dzisiaj, gdy nad Morzem Kaspijskim widzi się samoloty, biorące udział w poszukiwaniu ławic ryb, gdzie praw-

dziwe wyprawy poławiają rybę anszua przy świetle elektrycznym, gdy statki posiadające radio, biblioteki, świetlice, sale kinowe, sklepy i kioski stoją do dyspozycji rybaków. Jeden z tych statków, nazwany słusznie „Kulturnik“, został niedawno spuszczony na wodę na Morzu Arańskim, by służyć spółdzielniom rybackim.



BY zdać sobie sprawę z tego jak ciekawą jest praca rybaków z Morza Kaspijskiego, trzeba wziąć udział w połowie ryb o czerwonym mięsie. Morze to, jedyne na świecie, zawiera bardzo stare gatunki ryb chrząstkowatych: bielugę, jesiotra pospolitego, jesiotra gwiaździstego czyli siewriugę itp. Na grzbietach ich widać kolce, które odziedziczyły po swych opancerzonych przodkach, po których nastąpiły później ryby o szkielecie kostnym, bardziej ruchliwe i szybciej się rozwijające. Dopiero wówczas, gdy widzi się kaspijskich rybaków zdejmujących z haczyków ciężkie bielugi, opróżniających zgrabnie specjalny woreczek, w którym ryba przechowuje cenny kawior, można zrozumieć swoiste cechy połowów w tych okolicach.

Miałem sposobność widzieć w dolnym biegu Amuru wiosenne migracje ryb łososiowatych. Pośpiech „het“ i „gorbuszy“ był tak wielki, iż zdawało się, że rzeka wrze; samce wyskakiwały dosłownie ponad zwierciadło wody i rzucały się głupio na tyki wetknięte w dno rzeki. Podobnie, jak na Woldze, pokonując szybki prąd, stosując się do odwiecznych praw migracji, ryby wpływają do spokojnych dopływów Amuru, gdzie pozbywają się mleczu i zapładniają ikrę. Odwiedziłem te okolice w okresie, gdy powstawały pierwsze spół-

dzielnie rybackie... Brzegi rzeki zamieszkuje mały naród Nanańców, który już wymierał w 1917 r. Są to, od odwiecznych czasów, rybacy i myśliwi. Dawniej los ich zależał całkowicie od wyników połowów; mogli istnieć tylko dzięki rybom złowionym w lecie i zachowanym częściowo na ciężki okres zimowy; jeże-li lato było niepomysłne, oznaczało to głód i często śmierć.

Spędziłem jakiś czas w nanajskich wioskach Naihin i Belgo, których mieszkańcy, niegdyś biedni rybacy, zaczęli odkrywać nowe życie: powstawały pierwsze spółdzielnie rybackie. Tam gdzie były niegdyś nędzne chatki, o oknach bez szyb, zaciągniętych naoliwionym papierem, widzi się dziś szkoły, klub, bibliotekę i szpital, świadczące dowodnie o zmianach, jakie zaszły w życiu rybaków nad Amurem.

W początkach września zaczynają się przygotowania do migracji jesiennej. Pierwszymi rybami są „kety“. W oddali, w górskich strumieniach łosie torują sobie przejście dla pozostawienia ikry. Ale rybacy wiedzą dobrze, że nie są to te najlepsze. Zużywają siły na pokonanie prądu, chudną. W Amurze, gdzie łowi się je na wielką skalę, znajduje się ryby o wiele lepsze i tłustej-sze. Rybacy rosyjscy, nanajscy i nił-wescy (inna narodowość zamieszkująca brzegi Amuru) zarzucają setki sie-ci, a złowione ryby wysyła się natych-miast do solenia w okręgowych fabry-kach konserw.

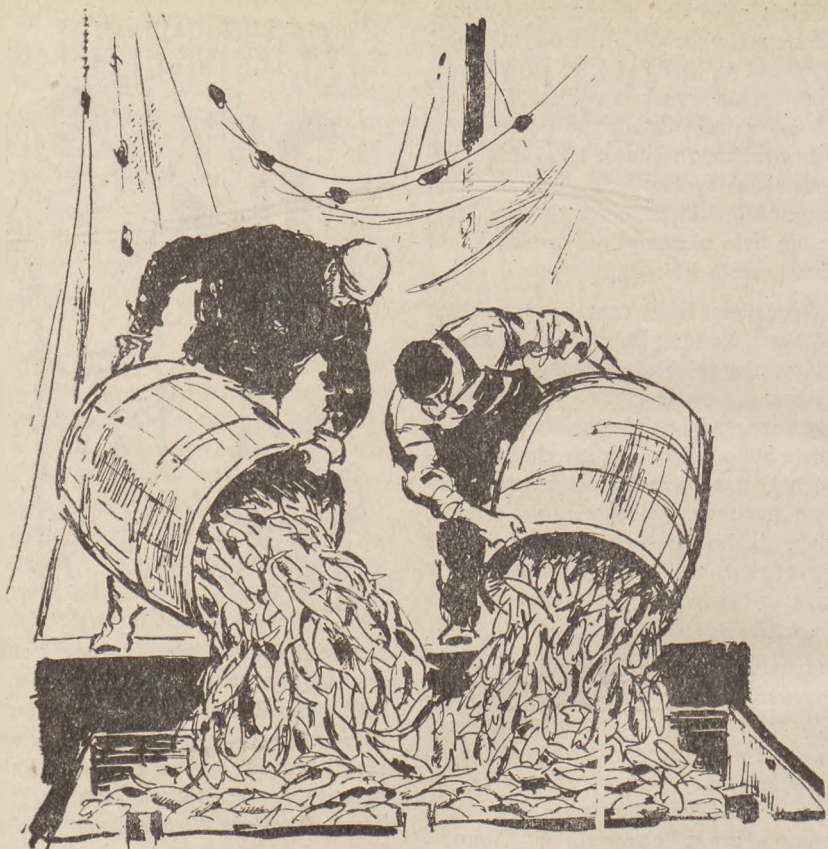
Na wyspach zatoki Piotra Wielkiego, koło Władywostoku, na Kamczatce i na całym wybrzeżu Morza Ochockiego bu-duje się obecnie tyle baz rybackich i fa-bryk konserw, że piloci muszą co roku poprawiać swoje mapy; zjawiają się no-



we światła, które mogą zmienić punkty orientacyjne na wybrzeżu. Na morzach Dalekiego Wschodu rybacy wyruszają daleko na połów nie tylko ryb, lecz rów-nież i krabów oraz wielorybów. Praw-dziwe pływające fabryki wypływają na długie tygodnie. W fabrykach tych od-bywa się zarówno połów krabów, jak też cała przeróbka techniczna, aż do pu-szkowania konserw. Nasi rybacy na Da-lekim Wschodzie, podobnie jak na Mo-rzu Białym, poszukują aktywnie ryb i krabów, znają drogi ich migracji, po-sługują się najnowocześniejszymi stat-kami, nowym sprzętem, sieciami kapro-nowymi (nylon radziecki) i wciągiera-mi z kłapami.



DAWNO już temu — w piękną księ-życową noc — wracałem z rybaka-mi z wyspy Popowa na Dalekim Wschó-



dzie. Miejscami widać było na morzu srebrzyste odblaski ławic śledzi.

— **Zmieniły się czasy** — powiedział stary rybak, autor wielu książek o rybach, znany na całym Dalekim Wschodzie Trofim Borysow. — **Teraz rybacy nie wyruszają na ślepo; wiedzą dokładnie, gdzie znajdą rybę. Zmienne koleje połowów wyglądają całkiem inaczej...**

Miał rację. Wszystko się zmieniło, i praca, i sprzęt, i metody połowów, i samo życie rybaka. Niedawno powróciła z Antarktydy do Odessy flotylla

wielorybnicza „Sława”. Flotylla ta, podobnie, jak flotylla Dalekiego Wschodu „Aleuty”, znana jest w całym Związku Radzieckim dzięki kolorowemu filmowi wyświetlanemu tej zimy, który odławia wszystkie przygody jej długiego rejsu. Kilka szczegółów z codziennego życia marynarzy, którzy wzięli udział w wyprawie, może posłużyć za ilustrację zmian, jakie zaszły w tym życiu. Biblioteka flotylli „Sława” liczy 24 tysiące tomów; w każdą podróż zabiera dla własnej sali kinowej 100 filmów długo-

metrażowych i 20 dokumentalnych. Dwa razy na tydzień wychodzi pismo. „Raz-dziecki łowca wielorybów.“

Zwykłym towarzyszem rybaka na morzu była od wieków samotność. Na wy-brzeżu murmańskim, w bazach rybac-kich wysp Kildin i Gawriłowa widzia-łem groby wielu rybaków, którzy zginęli na morzu. Ileż istnień ocaliły za na-szych czasów specjalne samoloty i ra-dzieckie łamacze lodów? Ilu marynarzy, którym zdarzyła się awaria na pełnym morzu, lub których uniósł lodowa ła-wica, zawdzięcza im życie?

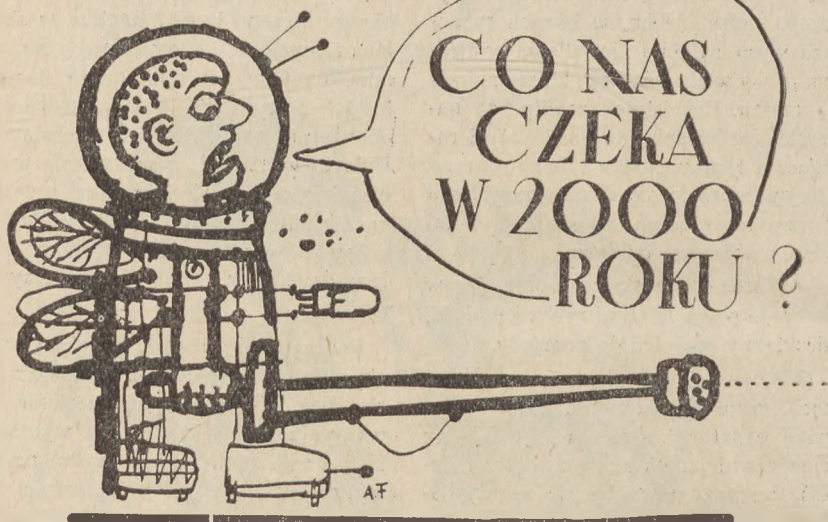
— Teraz czuję się na morzu, jak w domu — powiedział mi rybak kaspijski, nieskłonny przecież do przesady.

Gdy chce się napisać książkę o ryba-kach, czuje się skłonność do romanty-cznej egzaltacji. Praca ich jest jedną z najdawniejszych znanych przez ludz-kość, wymaga odwagi w walce z żyw'o-tami, żelaznej woli i szybkiej decyzji. Rybacy radzieccy łączą z tymi zaleta-mi opanowanie zasad naukowych; są oni kapitanami statków, mechanikami, radiotelegrafistami. Przypominam sobie spotkanie z rybakami Mezenu. Byli to krepí marynarze, z brodami po pas. Obli-

czali szybkość statku rzucając do wody wióry i przepowiadali pogodę przy po-mocy własnych metod, zdobytych w cią-gu długich lat żeglugi. I gdy czytam dziś, że spółdzielnia „Wyzwolenie“ w okręgu Mezenu liczy 7 kapitanów stat-ków i ponad 10 dyplomowanych kapita-mów, przypominam sobie moich starych brodatych rybaków, którzy prawdopo-dobnie nie potrafiliby użyć sekstansu. Było to w 1930 r., a wydaje się prze-cież tak odległe. Rybacy nasi przeszli bardzo długą drogę, na której końcu dobry połów nie jest już fata-morganą, lecz konkretną, codzienną rzeczywi-istością.

Pokazywałem naszym rybakom zdję-cia z Francji, żaglowce bretońskie z ich cienkimi, niebieskawymi sieciami do połowu sardynek na dzikim wybrzeżu Finistère. Zadali mi moc pytań na te-mat metod używanych na Atlantyku, ży-cia rybaków francuskich itd. W pyta-niach tych przebijało to poczucie bra-terstwa i sympatii, które łączy wielką rodzinę rybaków, bez względu na sze-rokość, pod którą pływają, bez względu na to, jaka prowadzi ich gwiazda, Krzyż Południa czy nasza Gwiazda Polarna.





A. J. ROCKETSMITH

OD początku XX wieku, a zwłaszcza od II wojny światowej pojawiło się mnóstwo mniej lub więcej naukowych prac o treści wybiegającej w przyszłość. Tyczy się to wszystkich dziedzin: kina, teatru, radia, telewizji, comicsów. Nowoczesna „nauka o przyszłości” rozwinęła się najbardziej w Stanach Zjednoczonych. Jej zwycięski pochód osiągnął najprzód Anglię, a następnie Europę.

Ten rodzaj naukowych dociekań sięga najodleglejszej starożytności (Platon, Lucjan z Samosaty). Dzi-

waczne połączenie wiedzy i fantazji napotykamy nawet w okresie klasycznym (More, Artus, Campanella, Cyrano, Vairasse, Foigny, itd...) i w XVIII wieku. W bliższych nam czasach popularyzowali ją Verne, Wells, Renard, Huxley, Sheriff.

1643 — 1953! Ponad trzy wieki powieści wybiegających swą treścią w przyszłość! Ale jaka różnica między dawnymi a obecnymi dziełami, Różnica w ilości i — przede wszystkim — w jakości. Z jednej strony widzimy wiarę i zaufanie do człowieka i przyszłości; z drugiej zaś, w więk-

szości wypadków, (specjalnie dotyczy to dzieł przetłumaczonych na język francuski) — najczarniejszy i niczym nieusprawiedliwiony pesymizm. Z jednej strony pokój i postęp; z drugiej wojna i zniszczenie. Z jednej strony potępienie niesprawiedliwości; z drugiej oczernianie cywilizacji.

Nie może być tu mowy o głębszej analizie dzisiejszej literatury przewidującej przyszłość. Nie wystarczyłoby tu kilka dzieł. Omówię więc kilka zasadniczych tematów poruszanych w nowych książkach, wybranych trochę na chybił trafił.

* * *

Chodzi tu o twory wyobraźni oparte na danych naukowych. Nie musi się to dotyczyć koniecznie świata gwiazd i planet. Większość jednak tematów tkwi w przestrzeni wszechświata: powodem tego są ostatnie osiągnięcia astronomii i fizyki jądrowej (na skutek roli, jaką może ona odegrać w napędzie rakiet i badaniach wszechświata).

Literatura opisywała często spotkanie człowieka z innymi formami inteligencji na gwiazdnych mgławicach. Lecz większość autorów stosujących tę „wiedzę-fikcję“ znajdowała tu, z trudnym do zrozumienia brakiem wyobraźni, jedynie pretekst do opisywania walk i aktów przemocy, wojen, mało w zasadzie różniących się od toczących się na naszej planecie. Pociągał ich nawet nieraz sadyzm i zepsucie.

Opisują niejednokrotnie zniszczoną planetę radioaktywną, na której życie powróciło do okresu jaskiniowego („**Nowy, wspaniały świat**“ Aldo Huxleya lub „**1984 r.**“ George’a Orwell). Czy robią to może chcąc

ostrzec ludzkość przed niebezpieczeństwem bomby atomowej? Bynajmniej. Ich przewidywania są po prostu pretekstem do potępienia **postępu i zmechanizowanej cywilizacji**, do wychwalania **powrotu do natury...** Jeden z najwybitniejszych zaoceanicznych twórców w tej dziedzinie, Ray Bradbury, wręcz pogardza wiedzą. Przypisuje mu się następujące powiedzenie, użyte w przedmowie do „**The Martian Chronicles**“: „Nie lubię tego, co wiedza robi obecnie na świecie; sądzę, że należy unikać wiedzy“. Wychwala się poziom literacki jego dzieł, lecz on odrzuca z pogardą to, co nazywa wulgarną i materialistyczną stroną nowoczesnej kultury. Najczęściej zapatruje się pesymistycznie na dążenia człowieka. Osnowa „**Kronik z Marsa**“ jest następująca: po rozgromieniu obumierającej cywilizacji na Marsie, ludzie powracają na Ziemię, gdzie szaleje wojna, która zniszczy wreszcie naszą planetę. Ostatnie opowiadanie z tego zbioru, „The million picnic“ opisuje historię rodziny, której udało się umknąć z Ziemi i która oczekuje przybycia innej rodziny, by dać nową szansę naszej rasie. Ojciec, były gubernator jednego ze stanów w Ameryce, mówi np. takie rzeczy: życie na ziemi nie miało nigdy żadnych bardzo wzniosłych celów; albo: wiedza rozwijała się zbyt szybko, wyprzedzając nas, wskutek czego ludzie zatracili się w dzikości mechaniki, itp...

Ten sam pesymizm spotykamy u pisarzy katolickich, jak C. S. Lewis i Karol Williams. W „**Out of the Silent Planet**“ („**Milczenie Ziemi**“) Lewis stwierdza, że na planecie Mars rządzi duch, wysłany przez Boga; władca Marsa mówi nam, że duch,

któremu powierzono Ziemię, był zły i chciał zabić inne planety. Lewą ręką ugodził Księżyc i omal że nie spowodował zlodowacenia Marsa. Po zwyciężeniu walcze został zesłany na Ziemię i nie mógł już nawiązać łączności z duchami innych planet. Ziemia stała się planetą milczenia i miała nią pozostać wiecznie — rodzaj utraczonego raju. Ponadto powieść opisuje uczonych ziemskich jako ludzi złych i samolubnych, przekonanych o wyższości białego człowieka.

W innej powieści tego rodzaju („Świat istot A“ napisanej przez A. E. Van Vogta) w 2560 r. świat jest zjednoczony pod władzą jednego Prezydenta (który dziwnie przypomina prezydenta Stanów Zjednoczonych). Ale ponad Prezydentem jest Maszyna do Myślenia. Awanturnicy, kandydaci na dyktatorów, dążąc do absolutnej władzy psują Maszynę. Dowiadujemy się od Vogta, że w 2560 roku dolar jest walutą wszechświata i że nawet w stolicy „bandy i zgraje, mordercy i złodzieje“ wychodzą masowo w nocy na ulice. Prezydent, podobnie jak carowie, posiada Pałac Zimowy i Pałac Letni. W rezultacie historia jest stale ta sama; im więcej się zmienia, tym bardziej pozostaje tym samym.

W czasach tych elita wybrana drogą konkursu, zostaje wysłana na Wenus, gdzie żyje swobodnie bez rządu i kontroli. Mówiąc o Wenus kobieta z 2560 r. woła: przeraża mnie brak policji. Wreszcie banda gangsterów rusza do ataku: bohater powieści, kierowany mózgiem wynalazcy Maszyny, zabija herszta bandy i ratuje ludzkość. Umierając, wynalazca Maszyny zwierza się bohaterowi:

„Tylko maszyna mogła kontrolować niezdyscyplinowane hordy, które żyły na Ziemi“. Ładna perspektywa na przyszłość, nieprawdaż?

Liczne powieści tego typu są osnute na kanwie trzeciej wojny światowej. Tyczy się to np. powieści „Wojna z niewidzialnymi“ („Sinister Barrier“) Erika Franca Russella. Jaki jest powód tej wojny, jak i wszystkich innych? To Vitony, niewidoczne istoty, które żywią się wydzielinami nerwów ludzkich. Otóż, podczas wojen, walk społecznych, kryzysów gospodarczych ludzie wydzielają ogromną ilość energii nerwowej. Vitony wywołują trzecią wojnę pomiędzy Azjatami a USA. I autor stwierdza uczenie: człowiek nie jest nigdy i nigdy nie był panem swego losu, nie panował nigdy nad swoją duszą. Trzecia wojna światowa jest również wątkiem „Zabójstwa Stanów Zjednoczonych“ Willa Jenkinsa, powieści mającej usprawiedliwić wojnę w Korei, ponieważ autor umieszcza w niej niektóre wypadki z tej wojny, zaledwie trochę zmienione.

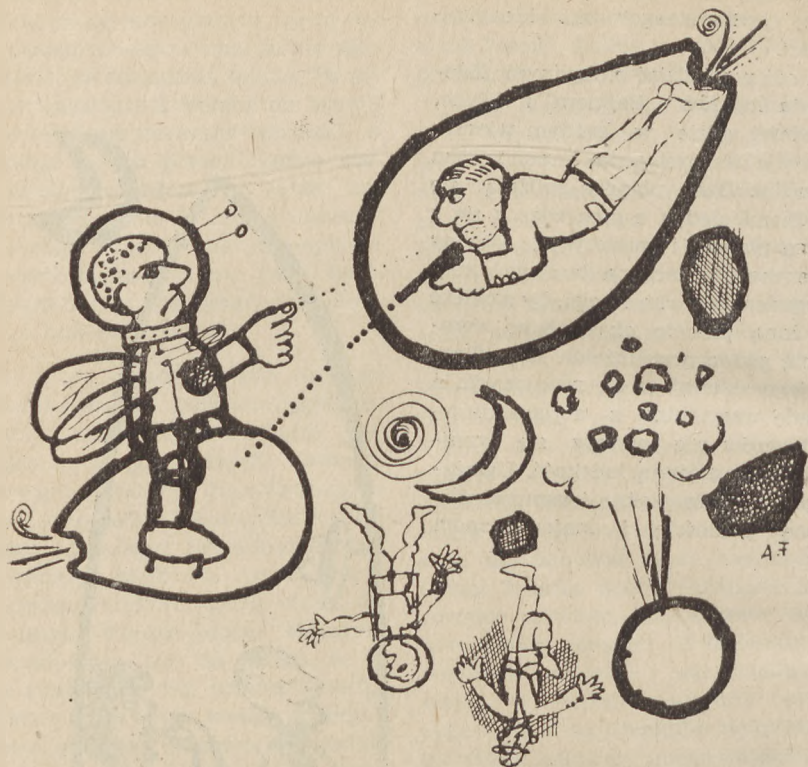
Marzenie o panowaniu nad światem służy za pretekst do opisywania gwałtów w wielu drugorzędnych książkach tego typu, jak np. „Płomień Kosmiczny“ (V. Statten), „Ryccerze Przestrzeni“ (J. Vandel) itp.

Z „Faunem Przestrzeni“ („The voyage of the space Beagle“) Van Vogta powracamy do tematu wieczności natury człowieka. Przytoczę tu reklamę francuskiego wydawcy: „Co znajdzie człowiek za Mleczną Drogą? Jakie trudne do wyobrażenia istoty? Jakie siły i kultury nie do pojęcia? Lecz znajdzie również wśród wspaniałej plejady gwiazd małego,

zwykłego, „starego człowieka“, bardziej „połamanego“ niż kiedykolwiek“.

A cóż powiedzieć o ohydny **„Zderzeniu światów“** Balmera i Wylie, powieści, gdzie w każdym wierszu przebija faszystowska i rasistowska filozofia. Dwie planety zbliżają się do Ziemi. Jedna z nich zderzy się z naszą planetą i zniszczy ją. Uczony amerykański zaczyna budować międzygwiazdną Arkę Noego, by zawieść na inną planetę okazy istot ziemskich, godne przedłużenia rasy. Grupa jego składająca się z uczonych, a przede wszystkim z arystokratów-milionerów nie troszczy się bynajmniej o zagrożoną ludzkość. Uważają przygodę za piękną i usprawiedliwioną podłością i materializmem





mas. Bóg chciał ukarać nieusprawiedliwioną dumę ludzkości. Jeden z „wybranych“ oświadcza, że demokracja jest szaleństwem i że widzi z radością zagładę świata. W dalszym ciągu tej amerykańskiej powieści grupa ta spotyka na nowej planecie grupę Azjatów, którzy również skonstruowali rakietę. Wybuch wojna, zawsze nieunikniona wojna.

Można by dowolnie mnożyć przykłady. Ale powstaje pytanie: skąd pochodzi ta orgia wojen, zniszczeń, egoistycznych instynktów, walk? Skąd się bierze ten przygnębiający

pesymizm? Czy nowoczesne przewidywania wiedzy usprawiedliwiają takie tematy? Zdaje się, że nie. Arthur C. Clarke, członek Brytyjskiego Towarzystwa Astronomicznego, sam autor kilku prac z tej dziedziny, uważa, że hipoteza wojen międzyplanetarnych jest nieprawdopodobna: wprost przeciwnie, jego zdaniem podróże międzygwiazdne przyczynią się do rozkwitu sztuk pięknych i nauki, osłabią antagonizmy naszego świata.

Pod tym względem dzisiejsze powieści fantastyczne wydają się nie-

zbyt naukowe. Są po prostu odzwierciedleniem politycznych i społecznych antagonizmów. Próbują przedstawić wojnę jako nieuniknioną, a nawet potrzebną i dobroczynną. Życie jest wielką walką, w której człowiek z góry przegrywa. Tak jakby niektóre z tych powieści stanowiły ostatnią ucieczkę dla pisarzy, którzy pozostali w tyle i których prześcignięto.

Przeciwieństwem ponurych perspektyw, przedstawianych przez takich autorów, jest duch dawnych pisarzy, którzy wykorzystywali metodę przepowiadania przyszłości dla krytyki instytucji z ich czasów i wypowiadali, posługując się fikcją, tzw. „niebezpieczne prawdy“. Ernest Tisserand mówił o Cyrano de Bergerac: „Jest to pierwszorzędnny pisarz, jasnowidz, prorok, najswobodniejszy ze wszystkich wolnych umysłów“. Podobnie Duńczyk Ludwik Holberg stwarza w swym „**Podziemnym Świecie**“ prawdziwie krytyczny obraz Europy XVIII wieku.

Jednakże wśród współczesnych powieści fantastycznych znajdują się

również takie, z których humor i nadzieja nie zostały wygnane. Nie mówiąc już o ślicznym „**Rękopisie Hopkinsa**“ Sheriffa, który wydano niedawno ponownie, należy przytoczyć autorów, przewidujących rozwiązania obecnych trudności i głoszących współzycie, a nawet połączenie się w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa. („**The fairy chessmen**“ Lewisa Padgette, „**L'oeil geant**“ Ehalidge'a, „**Honeymoon in Hell**“ F. Browna itp.). Liczne powieści opisują uczonych, walczących z powodzeniem przeciwko wstecznym i plutokratycznym oligarchiom, nad którymi odnoszą zwycięstwo. („**Mars Child**“ C. Judda, „**Seetee Ship**“ W. Stewarda). Trzeba jednak przyznać, że rzadko tłumaczy się powieści tego rodzaju na język francuski.

Mimo wszystko nie zgadzam się z tym, że powieść fantastyczna jest ucieczką dla zrozpaczonych. Trzeba mieć nadzieję, że stanie się ona wkrótce posłańcem pokoju, głosząc zaufanie do człowieka i jego przyszłości.



Ilustr. André FRANÇOIS

MASZYNA POMAGA MÓZGOWI



NIEDAWNO pewien 40-letni Holender, Vim Klein, współzawodnicząc z maszyną do liczenia najnowszego typu pobił ją w szybkości ku wielkiemu zdumieniu obecnych przy próbie. Potrafił on mianowicie pomnożyć dwie liczby trzycyfrowe w czasie 9-krotnie krótszym aniżeli maszyna.

Klein, który mnoży w głowie dwie dziesięciocyfrowe liczby w niespełna minutę, robi to prawdopodobnie równie szybko, jeżeli nie szybciej od jakiegokolwiek, znanego dotychczas, rachmistrza-fenomena. Dowiódł w każdym razie, że liczy szybciej aniżeli jakakolwiek z używanych obecnie maszyn. Tym bardziej zresztą, że przy posługiwaniu się maszyną, ope-

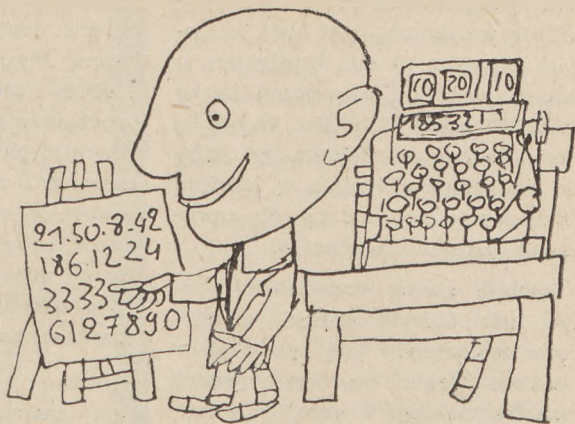
racje konieczne do zadania pytania i otrzymania odpowiedzi pociągają za sobą poważną stratę czasu.

Jedynie tylko mózg elektronowy może działać sprawniej niż mózg Kleina. W rzeczywistości w długim i skomplikowanym rachunku, w którym trudność leży w samej operacji liczenia, a nie w odczytaniu wyniku, mózg elektronowy może działać tysiąc razy prędzej od mózgu Kleina.

Klein oświadczył, że w zakresie czystego rachunku, zna na pamięć tabliczkę mnożenia do 100 włącznie, kwadraty do tysiąca, drugie potęgi do liczby 32 włącznie, trzecie potęgi do 20 włącznie, wiele potęg innych liczb i logarytmy do 150.

Niedawno, podczas publicznego po-

kazu w Nowym Jorku, młoda 20-letnia Indianka, Szakuntala Devi wykonywała, bez najmniejszego błędu i wahania, obliczenia czwartego, piątego i szóstego pierwiastka liczb aż do 10-cyfrowych; obliczała również, w rekordowym czasie, kwadraty liczb podanych jej przez publiczność.



Czym wytłumaczyć te uderzające zdolności matematyczne? Zdaje się, że polegają one na niezwyklej pamięci. Czy zachodzi tu więc wypadek specjalnego uzdolnienia przy ogólnej sprawności umysłowej? Czy zależy ono czy też nie od inteligencji? Do jakiego stopnia zdolność ta może być rozwinięta drogą treningu? Czy jest to zjawisko przemijające czy trwałe?

Ciekawy jest wypadek George'a Parker Biddera, który urodził się w Anglii w 1805 r. Już w wieku lat czterech dokonywał on nadzwyczajnych obliczeń. Jedynych lekcji, z których korzystał, udzielał mu brat, który nauczył go początkowo liczyć do 10, następnie do 100. Ojciec woził go po całej Anglii, gdzie występował ze swymi niezwyklejmi zdolnościami; czytać nauczył się dopiero mając 10 lat.

W wieku 11 lat odpowiadał w ciągu niespełna minuty na następujące pytanie: „Podziel 468.592.409.688 przez 9.076”; (odpowiedź: 51.629.838). Mając lat 13, znajdował natychmiast „liczbę, której sześćian mniej 19 i pomnożony przez jej sześćian równa się sześćianowi 6”; (odpowiedź: 3).

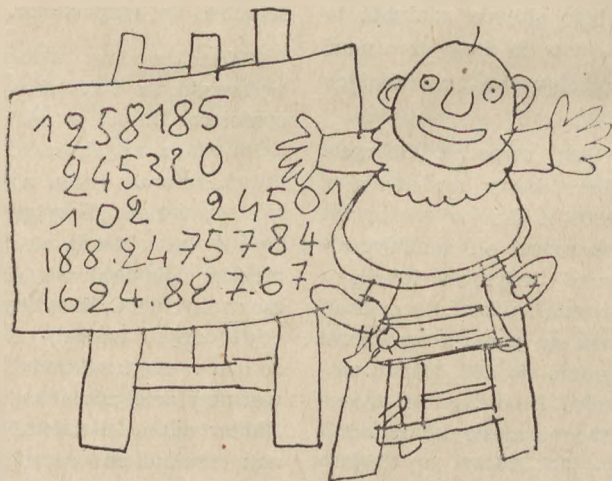
Bidder uzyskał następnie wyższe wykształcenie i został wybitnym inżynierem. Umarł w wieku 73 lat, w pełni władz umysłowych. Na dwa dni przed śmiercią jeden z jego przyjaciół zapytał go: „Przyjawszy że szybkość światła równa się 306.000 kilometrów na sekundę i że długość czerwonych fal świetlnych wynosi 36.918 drgań na cal, ile fal trafia do oka w ciągu sekundy?” Zanim nawet przyjaciel zdołał zapisać pytanie, Bidder odpowiedział: „Nie trudź się nad szukaniem rozwiązania, ilość drgań wynosi 444.433.651.200.000”.

Innym wielkim rachmistrzem był Johann Martin Zacharias Dase. Urodził się w Hamburgu w 1824 r. i umarł w wieku 37 lat. Mnożył on w pamięci w ciągu 54 sekund liczbę 79.532.853 przez 93.758.479. W odróżnieniu jednak od Biddera był jedynie maszyną do liczenia w ludzkim ciele, zupełnie niezdolną do zrozumienia podstaw matematyki.

Istnieje szereg przykładów młodych ludzi, których zdolności rachunkowe zmniejszyły się poważnie z wiekiem. Takim np. jest wypadek syna francuskiego drwala, który mając 14 lat (było to w 1840 r.) został przyjęty z entuzjazmem do Akademii Nauk. Zdolności jego zmniejszały się następnie i umarł zapomniany mając 35 lat.

W 1950 r. zmarł w wieku 83 lat, Jakub Inaudi, Włoch, który jeździł po świecie popisując się swymi zdolnościami błyskawicznego rachmistrza. Wobec trzech maszyn do liczenia, uruchomionych równocześnie i rozwiązujących trzy różne zadania arytmetyczne, udawało mu się zawsze znaleźć rozwiązanie wszystkich trzech zadań zanim maszyny stanęły. Inaudi miał zresztą tylko niewielkie wykształcenie i pamięć zawodzącą często w innych dziedzinach.

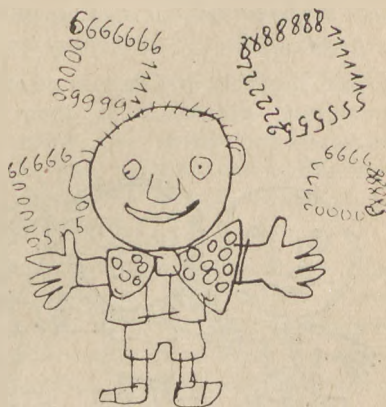
Indianin, Srinavasa Ramunajan, który zmarł w wieku 37 lat w 1920 r., był jednym z najwybitniejszych rachmistrzów pamięciowych. Był ubogi i nieznany i został przypadkowo odkryty w 1912 r. Słynny matematyk angielski G. H. Hardy powiedział



Badanie tych ludzi o wyjątkowych zdolnościach jest bardzo ważne, gdyż pozwala nam poznać fizyczne podstawy umysłu, o których wiemy jeszcze tak niewiele. Postęp w tej dziedzinie osiągniemy nie tylko w oparciu o badania fizjologa lub psychologa, lecz również o badania inżyniera. Niczego jednak nie należy oczekiwać od człowieka o cudownej pamięci, jeśli chodzi o przyszłość ludzkości. Jest on wyjątkiem, kaprysem natury. Przyszłość ludzkości związana jest z rozwojem maszyn. Będziemy musieli uwolnić mózg z niewoli, powierzając maszynom odpowiedzialność za odkrycie ewentualnych związków istniejących między olbrzymim nagromadzeniem faktów w naszych czasach.

Słusznie stwierdził dr. W. Grey Walter, jeden z najwybitniejszych specjalistów angielskich w dziedzinie elektroencefalografii: „Niezmierna

nim: „Zasób jego wiedzy był równie zadziwiający, jak jej głębia. Człowiek ten mógł rozwiązywać zadania ze skomplikowanym mnożeniem w niespotykanym nigdy dotychczas stopniu. Jego znajomość ułamków ciągłych była pod względem formalnym wyższa od posiadanej przez jakiegokolwiek matematyka na świecie, ale miał on słabe tylko pojęcie np. o funkcji złożonej. Jego pojęcie o tym, czym jest dowód matematyczny, było niezmiernie ograniczone. Wszystkie rozwiązania, nowe czy stare, słuszne czy błędne, do jakich doszedł, wynikały z mieszanki rozumowania, intuicji i wnioskowania, których nie był w stanie logicznie wytłumaczyć”.

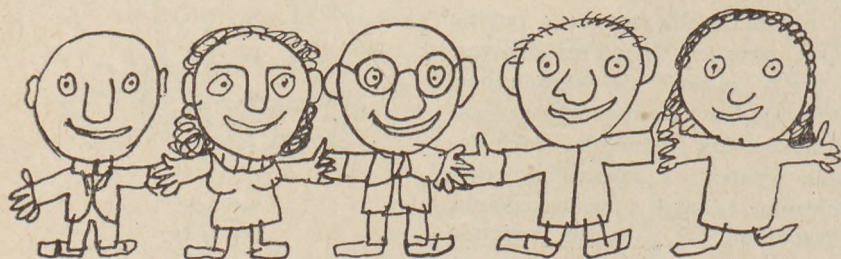


specjalizacja i zróżniczkowanie, tak charakterystyczne dla naszej epoki, są nowością w sprawach ludzkich. Jeżeli nie znajdzie się na nie lekarstwa, mogą stać się katastrofą... Dla wielu pokoleń biblioteki rozwiązały zagadnienie wynikające z uciążliwego ręcznego przepisywania. Drukarnia odpowiedziała równie skutecznie na odrodzenie się zainteresowań intelektualnych. W każdym wypadku, gdy zjawiała się paląca potrzeba, mózg ludzki wynajdywał lekarstwo, mechanizm zastępczy, który pozwalał mu zachować nietkniętą swą niewyspecjalizowaną zdolność rozumowania“.

Dzisiaj „zwykła biblioteka faktów

i opinii nie wystarczyłaby do opanowania i zastosowania dynamicznych sił zawartych w badaniach naukowych. Maszyny, które szczękają w naszych laboratoriach, są pierwszą formą przedłużonego życia żywego mózgu“.

W maszynach do liczenia odtwarzamy mózg ludzki. Im więcej będziemy ich budować, tym będą one lepsze i tym lepiej zrozumiemy istotę tego mózgu. Istnieje bowiem bezpośredni związek między maszyną, która może z łatwością rozwiązać w kilku minutach trudne zadanie, i fenomenem umysłowym, który może dokonać tego samego.





LEKARSTWA przyjaciele czy wrogowie?

NIC łatwiejszego, jak nabyć w aptece lekarstwo, które pomogło komuś z naszych przyjaciół.

W aptekach bowiem można kupić różne lekarstwa, tylko nieliczne są zastrzeżone i mogą być wydawane wyłącznie za receptą lekarza.

„Mam silny ból głowy — zażyję pastylkę aspiryny“. Wkrótce ból ustaje. Jednak jeden z sąsiadów dostał silnych bólów żołądka po zażyciu aspiryny.

Przy bólu zębów lub przy objawach grypy używam proszków z pyramidonem, lecz w godzinę po zażyciu dostaję nagle ataku astmy.

Ktoś inny, chcąc się pozbyć skutków dyzenterii, zażywa lekarstwo z arszenikiem i dostaje nagle krwotoku lub temperatury 40 stopni. Badanie krwi wykazuje znaczne zmniejszenie ilości wielojądrowych białych ciałek krwi.

Zachorujecie na wyprysk skóry (egzemę). Pierwszym pytaniem lekarza skórnika (dermatologa) będzie prośba o wyliczenie lekarstw zażywanych w ostatnim czasie. Nagłe zatrzymanie moczu u dziecka nasuwa myśl lekarzowi (pediatrze) o zapale-

niu nerek spowodowanym podawaniem sulfamidów.

W ten sposób obok w ścisłym tego słowa znaczeniu nieuniknionych chorób powstają zaburzenia w ustroju na skutek zażycia różnych silnie działających lekarstw. Stwarzają one mylny obraz chorobowy. Chociaż od dawna było wiadomo, że jod lub salicylan sodu zażywane w dużych dawkach lub przez dłuższy czas wywołują szum w uszach, bóle głowy, zaburzenia w trawieniu lub w czynności nerek itd. — to obecnie można twierdzić, że mimo przedsięwziętych wszelkich ostrożności niewiele jest lekarstw, które nie spowodowałyby czasem zgonu.

Niebezpieczeństwo używania kokainy znane jest doskonale wszystkim lekarzom. Ale i novokaina, środek o trzymywany syntetycznie, bardzo często używany, może być również przyczyną śmierci.

I dlatego w rzeczywistości nie tyle należy obawiać się lekarstw silnie trujących, ale i tych łatwo dostępnych w życiu codziennym, które, zażyte w minimalnej ilości są zdolne wywołać nieraz niespodziewane następstwa.

Jakież więc są objawy tych następstw? Dwa zasadnicze. Zatrucie prawdziwe i uczulenie. **Zatrucie prawdziwe** jest rzadkim zjawiskiem. Wywołuje ono mniej lub więcej ciężkie zmiany w organizmie ludzkim. Spośród najczęstszych zmian należy podkreślić przede wszystkim zmiany w nerkach: nerki są szczególnie wrażliwe na sulfamidy, które powodują tworzenie się osadu w kanalikach nerkowych. Zmiany w nerkach są wywoływane również przetworami rtęci. Występuje wówczas krwimocz wskutek zapalenia nerek.

Zmiany w wątrobie przejawiają się najczęściej w postaci żółtaczki. Towarzyszy jej nieraz krwawienie przewodu pokarmowego, innym razem dołączają się zaburzenia nerkowe.

Ta ostatnia forma bywa zazwyczaj śmiertelna. Taką postać żółtaczki toksycznej wywołuje chloroform. Nie tylko arsen, rtęć, lecz i wiele innych różnych środków chemicznych mogą spowodować zmiany w miąższu wątrobianym.

Szpik kostny oraz węzły chłonne są

bardzo wrażliwe na zatrucie lekarswami. Następstwem takiego zatrucia może być anemia, nierzadko nawet ciężka.

Układ nerwowy rzadziej jest wystawiony na szkodliwe działanie leków farmaceutycznych wywołujących zatrucie. W początkowych okresach stosowania sulfamidów do kanału rdzeniowego obserwowano uszkodzenia rdzenia i ewentualne porażenia.

Uczulenie jest zjawiskiem nieprzewidzianym, niezależnym ani od ilości leku, ani od czasu stosowania go. Jest ono wyrazem reakcji natychmiastowej, lub nieraz po kilku dniach, na działanie tego lub innego leku. Zjawisko to zbliżone jest do pojęcia anafilaksji lub alergii. I tak, chory po pierwszym zastrzyku arszeniku pada nieraz na ziemię z gwałtownymi objawami drgawek pochodzenia nerwowego, które mogą zagrażać jego życiu. Inny znowu po pierwszym zastrzyku soli złota odczuwa ogólne swędzenie skóry. Jeszcze inny po zażyciu środka przeciwgorączkowego ma obrzęk twarzy itd. Wymienione wyżej objawy nie zawsze są łatwe do właściwego za-



kwalifikowania z czym mamy do czynienia: z zatruciem czy też z uczuleniem. I choć dyskusja na ten temat nie jest przedmiotem niniejszego artykułu — to jednak niech nam będzie wolno poradzić czytelnikom, ażeby przy najmniejszym niedomaganiu chorego, które wystąpi po zażyciu jakiegokolwiek leku, zasięgnąć porady lekarza, czy lek ten używać nadal czy też go odstawić. Np. wszystkim chorym, którzy używają soli żółta z powodu zmian reumatycznych, zaleca się zwrócenie uwagi na możliwość wystąpienia swędzenia skóry lub wyprysków. Zaleca się również okresowe badanie moczu, co jest konieczne w czasie kuracji tym lekiem.

Używanie innych lekarstw wymaga zawsze badania krwi w stałych odstępach czasu. Dzięki tym ostrożnościom zmniejszamy i często unikamy występowania niepożądanych zaburzeń. A iluż chorych leczy się według własnej metody popełniając błędy i nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństw, na jakie wystawiają swe zdrowie!

CZY ANTYBIOTYKI SĄ NIEBEZPIECZNE?

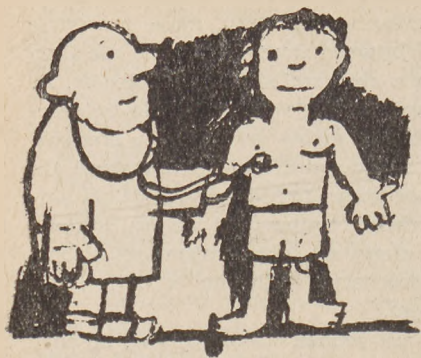
Opinia publiczna jest zaciekawiona, czy stosowanie antybiotyków jest niebezpieczne, czy występuje stan przyzwyczajenia do nich i wreszcie czy można różne antybiotyki stosować jednocześnie? Odpowiedzi na powyższe pytanie nie są zgodne. Lekarze sprzed ery antybiotyków są raczej zdania, iż należy je stosować z wielką ostrożnością i to tylko w bardzo poważnych przypadkach. Natomiast młodzi praktycy, których wychowano

w świadomości niezaprzeczonego działania tego leku, mają tendencję do łatwego stosowania ich i nie liczą się z obawami starszych kolegów. Ze swej strony jesteśmy zdania, że obecnie, gdy mamy wybór kilku środków — sprawą uczciwości jest wybrać dla chorego środek taki, który działa najszybciej i najpewniej pod warunkiem, że chory nie jest narażony na niebezpieczeństwo związane z tym leczeniem.

Jest jednak rzeczą pewną, że choć organizm chorego nie przyzwyczaja się do antybiotyków, to jednak drobnoustroje, przeciwko którym się je stosuje, nieraz są odporne na ten lek. Dlatego należałoby zbadać zawnazu, czy zarazek nie jest odporny na stosowany antybiotyk. Wreszcie nie należy nie doceniać powikłań, jakie mogą wystąpić w czasie stosowania antybiotyków: różne wypryski skórne wywołane penicyliną, poważne zaburzenia przewodzenia pokarmowego połączone z uszkodzeniem błony śluzowej, a wywołane aureomycyną, zawroty głowy i głuchota przy krótszym lub dłuższym stosowaniu streptomycyny.

Łączenie różnych antybiotyków nie powinno odbywać się przypadkowo. Doszliśmy już do tego, że niektóre połączenia są znacznie skuteczniejsze w działaniu leczniczym. Otóż połączenie penicyliny ze streptomycyną, a aureomycyny z terramycyną daje wyraźnie pozytywne rezultaty. Inne natomiast połączenia obniżają wartość ich działania. Takie są zasady teoretyczne.

Sądzymy jednak, że przy łagodnej chorobie nie należy stosować mechanicznie antybiotyków. Jeżeli bowiem sam chory na tym nie ucierpi, to mo-



że to zaszkodzić jego otoczeniu. Ktoś bowiem z otoczenia, będąc zarażony bakteriami już uodpornionymi, będzie ciężiej przechodził chorobę i jego schorzenie będzie trudniejsze do pokonania.

Niektórzy uważają, że nadużycie mycoterapii jest niezmiernie niebezpieczne, gdyż wywołuje ona ciężkie zmiany w cieczach ustrojowych i zmniejsza swoistą odporność na zakażenia. Musimy jednak stwierdzić, że hipotezy te nie wydają się nam dostatecznie uzasadnione i nie są dostatecznie oparte na faktach, by liczyć się z nimi.

KORZYŚCI I NIEBEZPIECZEŃSTWA LECZENIA HORMONAMI

Wszyscy ludzie używali, używają lub będą używać hormonów w tabletkach, zastrzykach lub czopkach. Nie mamy najmniejszego zamiaru umniejszać ich skuteczności, która jest niewątpliwa. Ile kobiet dzięki właściwemu leczeniu przez ginekologa lub endokrynologa powróciło do normalne-

go życia! Ilu nadmiernie otyłych lub cierpiących na zaburzenia tarczycy, nadnercza lub gruczołów płciowych zawdzięcza hormonoterapii normalną egzystencję.

Wielu też reumatyków dzięki leczeniu kortyzonem powróciło do normalnej pracy.

Lecz ponieważ wszystko ma swe dobre i złe strony — to nietrudno jest przytoczyć i nieszczęśliwe przypadki, które zostały spowodowane nadmierną lub źle stosowaną hormonoterapią.

Nie wspominam o zdolności wywoływania raka przez pewne hormony żeńskie, która wydaje mi się mocno przesadzoną. Ież wypadków nadmiernej otyłości wywołało niewczesne leczenie hormonami płciowymi. Ież raz brzydki zarost zniszczył urok pięknych kobiet wskutek długo stosowanych zastrzyków hormonów męskich. A cóż powiedzieć o okresach menstruacyjnych przedłużających się w nieskończoność, które kobiety usiłują zachować, by mieć złudzenie młodości. Wszystkie te, maści z hormonami, witaminami i nie wiadomo jeszcze jakimi składnikami, które w najlepszym wypadku wzbogacają jedynie fabrykantów — mogą również wywołać przykre egzemy. Gdy wspomnieliśmy o witaminach, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że hyperwitaminoza nie jest pustym słowem i że jest ona nadzwyczaj niebezpieczna z powodu nadużywania witaminy D zbyt często dla błahych powodów, np. jakoby odwapnienia organizmu.

Ale wróćmy do hormonów. Dwa nowe hormony wywołały przewrót w leczeniu pewnych schorzeń często

poważnych, a nawet beznadziejnych: kortyzon i ACTH. Jeden z nich, kortyzon, wydzielany przez nadnercze, kieruje przemianą cukrów i białek oraz reguluje częściowo obronną reakcję na stany zapalne ustroju. Inny, ACTH, jest pochodzenia przysadkowego i pobudza wydzielanie nadnercza. Jeżeli nawet wszystkie nadzieje wywołane przez odkrycie tych hormonów nie ziściły się, to jednak skuteczność ich jest bardzo duża i często niezmiernie ważna.

Niebezpieczeństwo ich niewłaściwego stosowania jest również bardzo duże. Przytoczymy choćby tylko: obrzęk mózgu, obrzęk płuc, obrzęki stóp, zaostrzenie się niektórych chorób zakaźnych dotąd będących w stanie uśpienia (specjalnie gruźlicy), wywoływanie chorób umysłowych, nadczynność nadnercza, czasowa cukrzyca, lub wzmoczenie istniejącej już cukrzyicy mogącej doprowadzić do śpiączki, zakrzepów żył itp. Proste tylko wyliczenie tych powikłań pozwala na zrozumienie koniecznej ostrożności, jaką należy zachować przy stosowaniu tych leków.

Wydaje się nam, że niebezpieczeństwo grozi tutaj nie ze strony chore-

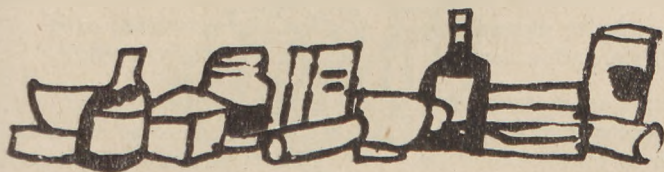
go, lecz lekarza przyzwyczajonego do zapisywania hormonów zazwyczaj banalnych. Lekarz musi sobie zdawać sprawę z grożącego niebezpieczeństwa przy stosowaniu kortyzonu lub ACTH.

Oczywiście, że lekarz musi mieć prawo zapisywania środków leczniczych, jakie uważa za wskazane. Należy jednak zwrócić uwagę na duże niebezpieczeństwo, jakie pociąga za sobą dążenie do stosowania zawsze ostatnich osiągnięć lecznictwa. Wydaje się nam logiczne, że przed wypuszczeniem na rynek nowego środka lekarskiego należy zwrócić uwagę całego świata lekarskiego na niebezpieczeństwo, które może on za sobą pociągnąć. Byłoby również wskazane przestrzec chorych przed pierwszymi oznakami zatrucia lub uczulenia organizmu drogą wzmianek zamieszczonych w prospektach lekarstw.

Na zakończenie niniejszego artykułu, celowo skróconego i niepełnego, niech nam będzie wolno zwrócić uwagę Czytelników na fakt, który uważamy za zasadniczy, że tylko lekarz może przewidzieć wypadki i że naprawdę lepiej iść za jego radą, aniżeli za radą kolegi biurowego lub kupca ze sklepiu.

DR THONON

Ilust. Moreu



MIKOŁAJ WAPCAROW

Na ostatniej sesji w Budapeszcie Światowa Rada Pokoju przyznała Honorową Nagrodę Pokoju poecie i bohaterowi narodowemu Bułgarii, poległemu w walce z hitleryzmem Nikole Jonko Wapcarowowi (1909 — 1942). Wiersz poniższy wyjęty jest z przygotowanego przez wydawnictwo „Książka i Wiedza” wyboru wierszy Wapcarowa.

LIST

Adres:

Senora

Francesca

Labore

Yuesca.

Matko!

Fernandeza zabito!

Fernandez

zakopany w ziemi!

Fernandeza

już nie ma!

Fernandez

leży niemy

pod murami

Madrytu.

Taki był dobry dla mnie,

dłaczego mi go zabili?

Po jego śmierci nagle

może ten bój się przesili.

Ja tylko tobie, matko,

zwinąć swój smutek mogę,

ty wiesz, że lzy nierzadko

na wojenną padają drogę.

Zapatrzyś się w czyjeś oczy,

chcesz pociechę w nich znaleźć,

lecz ich spojrzenie się mroczy

i lżę wytacza z nich żalność.

To może brat dogorywa,
to może kochany padł,
to może pocisk porywa,
uśmiech młodzieńczy lat.

A może na chłopca i ona
jak ja oczekuje samotna,
ale kogo w wilgotne ramiona
ziemia chwyci, tego nie odda...

Matko, nie szukaj w nim winy,
że stanął do walki krwawej,
to raczej my, się mylimy,
on bił się o dobrą sprawę.

On jeden prawdę zobaczył.
Godną ludzkich zamierzeń:
lepiej umierać w walce,
niż dalej żyć jak zwierzę.

My mogliśmy jeść do syta,
nam obojgu chleba nie brakło,
lecz dla przyszłego syna
czy starczyłoby, matko?

Patrzę na obraz wojny,
nie mogę go objąć rozumem:
ruszają na siebie zbrojni —
czy głód tylko rządzi tym tłumem?

Dziś kładliśmy stą do trumien,
których zgniotła schronu powała,
tego zamknąć w słowa nie umiem,
com na własne oczy widziała.

Jakiż podziw to budzi,
jakże dziwne to mi się zdało,
że cto na tych ludzi
jakby nowe światło spływało.

I ujrzałam stojąc przy grobie
jak poprzez trumien deski
ręce wyciągnięte ku sobie
połączył uścisk braterski.

Oto łączą się w śmierci,
we wspólne ciało jednoczą,
radość szczęśliwej śmierci
w ich oku płomieniem migocze.

I pojęłam: to było potrzebne,
aby odszedł w wojenną burzę.
Został miły, gdzie szafice bitewne,
już go więcej nie ujrzę.

Fernandeza już nie ma, matko,
Matko, Fernandeza zabito.
Fernandeza w ziemi zakopano.
Opłakuj młodość nieprzeżyłą.

Ale przed ojcem — ni słowa,
smutek zeżre to wątle życie,
dla niego usmiech zaczął —
zapłacz gdzieś skrycie.

Jeżeli o czymś się dowie,
jeśli zadrży przecuciem nękania,
powiedz, że sprzyja nam zdrowie
i że dziecka się spodziewamy.

„Dolores” — powiedz czule —
„dziecięcych bajek się uczy
i z mężem cię zapytuje
czy wnuczka ma być, czy wnuczek?”

Gdybym o czym innym pisała,
byłby smutek znów matko moja,
Córka cię twoja pozdrawia --
Dolores Maria Goya.

Przełożył

ANDRZEJ WIRTH



„Dzieci Hiroszimy”

FRED GARHIAT

TRZEBA było czekać aż do 1951 r., aby publiczność europejska zaznajomiła się z kinematografią japońską. Widzieliśmy przed wojną, że produkcja kinematograficznych „studiów” japońskich dorównuje produkcji Hollywood; wiedzieliśmy, że nagrane w nich filmy wysławiają bohaterstwo „ludzi - torped”, rzeźników japońskiego imperializmu, lub też, że są przeróbkami romansów zachodnich na wzór nadto słynnej „Symfonii Pastoralnej” Gide’a, o której wszyscy mówili, ale której nikt nie oglądał. Festiwale w Cannes i w Wenecji pozwoliły nam poznać, w przeciągu ostatnich trzech lat, jakiś dziesiątek filmów japońskich, z których większość to przeróbki bohaterskich baśni i awanturniczych przygód takich np.: „*Rashomon*” A. Kurosawy, 1950, „*Romans Genji*” K. Yoshimary, 1951, „*O’Haru, piękna niewiasta*” K. Mizoguchi, 1952 i „*Legenda Wielkiego Buddy*” T. Kinugasa.

Dowiedzieliśmy się tedy, że scenarzyści tego kraju celują w sztuce pięknego, obrazowego opowiadania różnych historii i że umieją wzbudzić

zainteresowanie widzów dla romantycznych przygód przypominających zarówno rycerskie poematy średnio-wieczne, jak i literaturę dworską czy też ludowe legendy różnych narodów. Jednakże w naśladowującym Pirandella „*Rashomon*” obok opowiadania utrzymanego w technicznym stylu „Hollywood” i obok muzyki aż nadto przypominającej Wagnera i Ravela, spotkaliśmy się z uprzedzeniem do heroizmu i ze zdrową reakcją w stosunku do wojennych cnót Samurajów, co radowało oczy. Kurosawa „rozłożył” swojego bohatera, który zamiast być jednym z ludzi drogich panu Montherlant, stał się człowiekiem podłym i tchórzliwym.

Obok owych baśni i owych legend były jeszcze filmy japońskie, które poruszały zagadnienia współczesne. Nie mówiąc o filmie „*Pijany Anioł*” którego nie widzieliśmy w Europie, należy wspomnieć o najnowszych: „*Matka podczas burzy*” K. Sahaki (1951), „*Fale*” N. Nakamury i „*Ludzie dzisiaj*” M. Shibuya (1952). Ten ostatni film był wyświetlany w Cannes i mimo swoich wad i pewnego melodramatycznego nastroju jest czymś w rodzaju bardzo interesującego „Przewodnika po dzisiejszej Japonii”.

Oglądamy w tym filmie różne środowiska i zaznajamiamy się z różnymi warstwami społeczeństwa, co oczywiście musi być interesujące dla ludzi ciekawych tego, jak przedstawia się życie japońskie w 1953 r. Wszystkie te filmy o tematyce współczesnej są wykonane bardzo starannie i świadczą o wielkiej żywotności twórczej autorów. Oprócz tego wszystkie te dzieła, nawet najokropniejsze melodramaty, przepojone są godną uwagi szlachetnością i podniosłością uczuć.

Jednakże największym i najpiękniejszym dziełem powojennej kinematografii japońskiej jest z pewnością film pt.: „*Dzieci Hiroszimy*” przez Kaneto - Szindo (1952). Film ten, który zasługiwał na pierwszą nagrodę, lub na nagrodę za najlepszą reżyserię — to wielka rewelacja festiwalu w Cannes.

Szindo jest bardzo znanym scenarzystą w Japonii, on to jest autorem przeróbki „*Genji*”, którą wystawił Yosimura. Razem z Yosimurą, Szindo założył spółdzielnię filmową „*Kindai Eiga Kyokai*”, co mu pozwoliło wyprodukować swój pierwszy film: „*Gembaku Noko*” — „*Dzieci Hiroszimy*”.

Oto streszczenie tego filmu:

Takako jest młodą nauczycielką, która w 1952 r. mieszka na jednej z wysp morza wewnętrznego Japonii i pracuje w jednej ze szkół. Nadchodzą wakacje. Takako odsyła dzieci do domów, a sama chce się udać do Hiroszimy, gdzie przebywała w chwili wybuchu bomby atomowej i gdzie nie była ani razu od czasu katastrofy.

Po przybyciu do leżącego w gruzach miasta udaje się przede wszystkim na grób swoich rodziców; później zaś przypomina sobie straszliwy sierpniowy dzień, w którym o godzinie 8.20 rano, pod koniec alarmu lotniczego, gdy już ludzie opuszczali schrony, samolot amerykański rzucił fatalną bombę.

Oto stopnie schodów tego, co było ongiś bankiem: na białych kamieniach stopni cięń człowieka, którego zmiotł wybuch, ten wybuch co spowodował natychmiastową śmierć 100.000 osób i pociągnął za sobą śmierć dalszych 140.000. Takako stwierdza, że z całego ogródka dziecięcego, którym opieko-

wała się ongiś, pozostało przy życiu tylko troje dzieci. Pierwszy z tych trojga został czyśćcielem butów na ulicy. Matka jego pracuje przy jakiejś budowie, ojciec zmarł wskutek schorzeń wywołanych przez wybuch. Drugie dziecko — dziewczynka — została przygarnięta przez ewangelickie siostry i jest umierająca. Trzecie dziecko — chłopiec — stracił oboje rodziców, ale mieszka z bratem i siostrzyczką, kulawą na skutek wybuchu.

Przy wejściu na most Takako spotyka niewidomego żebraka o twarzy zoranej przez straszliwe blizny, z ranami na żywcem popalonym ciele. Nauczycielka poznaje w tym nędzarzu dawnego sługę swej rodziny. Żebrak z wielką godnością unika z początku spotkania z Takako. W końcu jednak prowadzi ją ze sobą do nędznej dzielnicy, w której mieszka razem z wnuczką Taro. Wielkie przywiązanie wnuczka jest jedyną pociechą kaleki. Stara sąsiadka, mieszkająca w rozwalonej chatce, od czasu do czasu pomaga niewidomemu w zajęciach gospodarskich. Takako postanawia wyrwać małego Taro z tej nędzy i zabrać go ze sobą na wyspę, ale dziecko czepia się dziadka jak bluszcz i nie chce go opuścić. Ażeby nie stwarzać chłopcu żadnych przeszkód, niewidomy decyduje się na samobójstwo. Po posiłku spożytym wspólnie z wnukiem dziadek przykłada ogień do chaty i sam sobie zadaje śmierć. Takako opuszcza więc razem z dzieckiem piekło Hiroszimy.

* * *

Cała ludność spalonego miasta z entuzjazmem pomagała autorowi przy realizacji filmu. Trzecia część tejże ludności oklaskiwała później sam film po wykonaniu.

Niezapomniane są sceny początkowe: dzieci gimnastykujące się przy dźwięku gwizdka, ślub kulawej dziewczynki (ta scena zawiera w sobie jakąś nieopisaną szlachetność) i wreszcie finał, w którym hałas motoru z samolotu budzi niepokój wśród starszych i beztróską radość dziecka.

Najtrudniejszą sceną do zrealizowania jest oczywiście wybuch bomby. Na leżało za wszelką cenę uniknąć groteski, której, w swoich rekonstrukcjach, nie uniknął nawet C. B. de Mille. Oto jak Szindo wziął się do rzeczy: Widzimy z początku jak ludzie opuszczają schrony przy końcu alarmu. Jest godzina 8.15 rano i każdy idzie do pracy. Później spostrzegamy budzik, a miarowe tik - tak budzika stanie się jedynym dźwiękiem, który usłyszymy w następstwie. W miarę jak to „tik-tak“ się wzmacnia, widzimy jak ludzie oddają się swoim codziennym sprawom, jak pies biegnie przez ulicę, na której życie toczy się normalnie, jak samolot szybuje po niebie, jak dziecko spokoj-

nie raczkuje itd. I naraz — straszliwa eksplozja. Styl widowiska się zmienia. Zaczyna się coś w rodzaju requiem. Na ekranie nagie ciała mężczyzn i rozczochranych kobiet, po ciałach cieknie krew. Mężczyźni i kobiety mrą na ulicach.

Film „Dzieci Hiroszimy“, na który podobno bardzo silny wpływ wywarły obrazy malowane przez naocznych świadków Hiroszimy¹⁾, przypomina swoim dramatycznym napięciem wielkich klasyków kinematografii radzieckiej i dorównuje prawdzie ludzkiej, wyrażonej w „Ostatnim Etapie“.

Oby film ten, tak wielki i tak piękny, którego pewni trwożliwi ludzie nie chcieli nagrodzić, mógł być nareszcie oglądany przez wszystkich.

1) Widzieliśmy tylko kilka reprodukcji tych fresków. Jest więc rzeczą tym bardziej godną ubolewania, że nie pozwolono pokazać podczas Festiwalu w Cannes krótkometrażówki pod tytułem: „Malarze bomby atomowej“ wykonanej według tych obrazów. Zakaz ten nie został cofnięty pomimo wielokrotnych próśb krytyków filmowych wszystkich krajów.



Na budowach coraz więcej maszyn

JAN DĄBROWSKI

CZERWIEC, lipiec, sierpień... o tej porze największy ruch na budowach. O tej porze razniej migają kielnie, szybciej wyrastają czerwone mury. O tej porze, dawniej w latach, które odgrodziła od nas wojna i Wielka Przemiana, zwykle trwał strajk budowlanych. O tej porze ci, którzy mieli właśnie swój sezon — nie robili nic i to nie robili nie z własnej woli. Wydziwiali nad tym zapatrzeni w wygiwaną na wszystkich tony „mocarstwowość” i „solidarność” wszystkich Polaków — inteligenci: „Przecież sezon budowlany trwa tylko około ośmiu miesięcy, dlaczego właśnie wtedy strajk?”

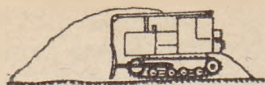
A kiedy miał być właśnie ten strajk, jak nie wtedy, gdy panom przedsiębiorcom budowlanym trzeba było szybko wznosić mury budynków, które fundowało im sanacyjne państwo — zwalniając od podatku sumy zarobione w handlu i przemyśle, a inwestowane w budownictwie, a na dodatek dając... staletnie niemal (na 99 lat) pożyczki w wysokości $\frac{3}{4}$ kosztorysu. Wtedy tylko, i jedynie wtedy można było pokazać owym panom twardą robociarską solidarność, można było opuścić ręce, skazać siebie i rodzinę na kilkanaście, czy kilkadziesiąt dni głodu, aby wycisnąć z kas panów przedsiębiorców

kilkugroszową podwyżkę do płac sięgających „aż”... złotówki za godzinę.

Kilkugroszową podwyżkę. Bowiem o tak niewielkie sumy chodziło. O 10 do 20 groszy podwyżki za godzinę pracy murarza, o 8 groszy „koźlarza”. Mniej więcej tyle chcieli dostać „gracownicy”. 7 groszy — to była stawka walki wszelkiej „pomocy”: młodych chłopaków, którzy na budowy rzuciła rezygnacja po daremnym obszukaniu wszelkich miejsc, gdzie mogliby pracować w wyuczonym fachu, dziewcząt — „czarnoszyjek”, wiecznie brudnych nosicieli trąg z wapnem, kopaczy, zbieranych po podwórkach Urzędów Pośrednictwa Pracy, nie uważanych za ludzi, ot za żywe narzędzie składające się z pary rąk, grzbietu i własnej łopaty.

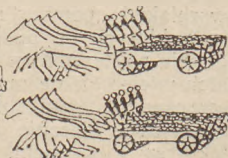
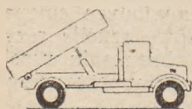
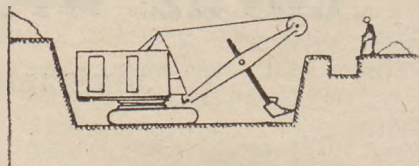
8 groszy więcej chciał dostać za godzinę „koźlarz”. Za godzinę nieustannego krążenia w górę i w dół po sztagach — pochylniach z desek, nabijanych listwami — po chybottliwych rusztowaniach, po skąpo ułożonych pomościach („drzewo przecież, panie dziejcie drogie”), 8 groszy za godzinę ciągłego ryzykowania, że obsunie się noga, że grzbiet nie uchwyci bystrym gibnięciem równowagi ciała, ciągniętego w dół ładunkiem około 80 kilogramów cegieł, ułożonych na „kozie” niezdolnie gniotącej ramiona.

A dzisiaj w letnie miesiące zwawiej rosną mury, razniej migają kielnie, żywiej kręą się koło swej pracy zbrojarze i betoniarze.

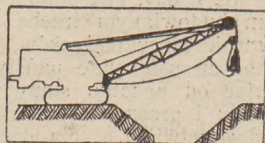
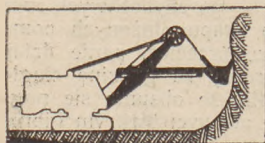


- 1 spycharka (buldożer) zastępuje pracę 80 ludzi.

1 koparka łyżkowa o pojemności łyżki 0,5 m sześć. może zastąpić pracę 40 — 60 robotników, uzbrojonych w łopaty.



1 samochód-wywrotka obsługiwany przez 1 kierowcę — to na budowie tyle co 10 wozów, 10 koni i 10 woźniców.



Uniwersalna koparka radziecka E-505 może pracować jako koparka łyżkowa przedsiębierna (na lewo) koparka łyżkowa dosiębierna (po środku) oraz — po zmianie wysięgnika — jako koparka włókowa, używana przy większych głębokościach wykopu.

A reszta? A owa „pomoc”?.. Koźlarze, gracownicy, „czarnoszyki”?.. Jakże im się dzisiaj powodzi w państwie, które na budowlach zawiesiło sztandar sprawiedliwości społecznej? Chyba przecież i dla nich nadszedł złoty czas „wiecznego sezonu”. Przecie dawniej na rusztowaniach wszystkich budów w Polsce trudziło się zaledwie około 40 tysięcy budowlanych. I to niepełny rok. A dzisiaj armia budowlanych złożona z 400 tysięcy ludzi przez cały rok szturmuje swą pracą wysokość.

Nie ma jednak w tej armii „koźlarzy”, rzadko ujrzy się już „gracowników”, znikły gdzieś „czarnoszyki”. Kobięte dziś łatwiej zobaczyć z kielnią niż z tragami, łatwiej usłyszeć jej wesołą piosenkę dobiegającą z budki windy, niż ujrzeć ponury tandem dwóch wyczerpanych postaci, przypiętych do rączek tragi.

Wraz z czerwonym sztandarem sprawiedliwości społecznej na budowy Polski Ludowej wkroczyła maszyna. Maszyna odjęła budowlanym owe najcięższe prace, które najbardziej wyczerpywały siły, najmniej wypełniały kieszenie — w dnie wypłat, najwięcej dostarczały klientów do szpitali i rubryki „wypadki przy pracy”.



Zaczyna się budowa domu. Wytyczono teren, oznaczono miejsce, zesłali się technicy i majstrowie. Tylko ruszać robotę. Ale na miejscu budowy nie zjawia się tłum kopaczy, armia chłopskich furmanek, wywożących po garści ziemię z wykopu pod fundamenty. Najpierw równa ziemię spycharką. Jej praca — to praca mniej więcej 80 ludzi. Grunt wyrównany. Plac budowy gotów. Dalejże w głąb, ryc wykop pod fundament.

A na placu budowy znowu pusto. Nikt nie zwozi dziesiątków taczek, sepek łopat. Na placu zjawia się koparka, kierowca w czapce na bakier gwizduje wesołą piosenkę i... naciska na dźwignię. Łyżkę za łyżką wybiera ziemię, łyżkę za łyżką sypie w skrzynię samochodu. Od czasu do czasu zakrzyknie coś do 3 szoferów wywrotek, od czasu do czasu pogrymasi, że nie

dość szybko podjeżdżają, że musi na nich czekać, że normy nie wyrobi...

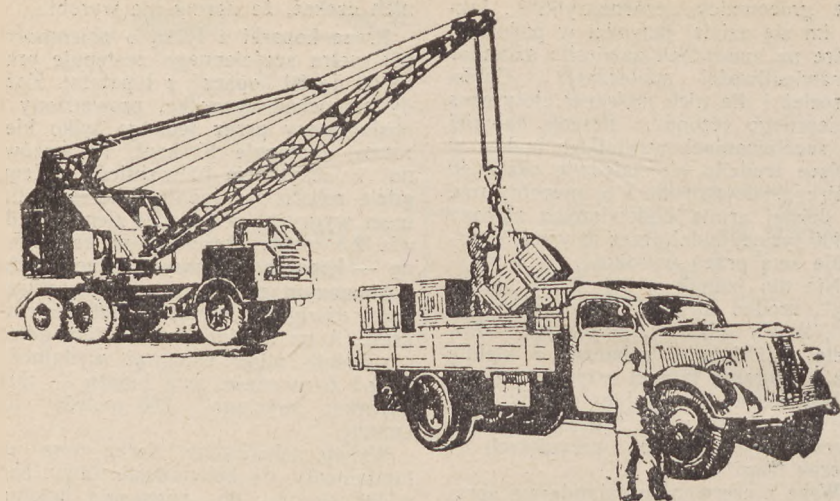
Praca koparki z łyżką o pojemności pół metra sześciennego zastępuje pracę 60 do 80 kopaczy z łopatami. Każdego samochód-wywrotek, prowadzony i obsługiwany przez jednego tylko kierowcę, zastępuje 10 koni, 10 wozów, no i oczywiście 10 woźniców. Tam, gdzie robotnik z łopatą, kilofem i łomem wygryzał w twardej ziemi zaledwie 2,5 metra sześciennego na zmianę — koparka miarowym ruchem łyżki dyktowanym przez operatora posłusznymi dźwigami, wyrabuje 120 metrów sześć. A na lekkim gruncie, tam gdzie i robotnik mógł osiągnąć wydajność ponad 6 m sześć. swą łopatą — tam koparka „wyciąga” 280 metrów na zmianę.

Wykop zakończony. Teraz pora na fundamenty, na betonowanie ławy. Nie widać skrzyń do mieszania betonu, znowu gdzieś sobie spokojnie odpoczywają starodawne gracie. Betoniarka wykonuje prace szybkiej. Miarowy ruch obrotowy bębna, do którego mechanicznie podaje się cement, żwir, piasek, dokład z rurociągu, a nie z wiader noszonych z daleka leje się woda — przynosi budowie do 20 metrów sześciennych betonu na godzinę. Trzy, cztery minuty pracy wystarczą, aby składniki betonu były doskonale wymieszane.

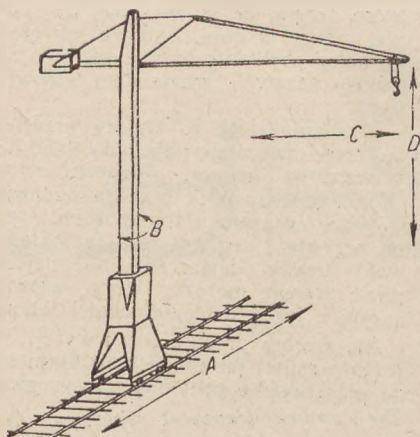
Teraz zaczynają rosnąć mury. Betonowe ławy, czerwone ceglane mury, które skryją się w wykopie, by później rosnąć w górę. Budowa jak głodny kolos pochłania to wszystko, co się zwykło nazywać „materiałem budowlanym”.

Pochłania? Ale to znaczy przecież że trzeba owe materiały budowlane dostarczyć na budowę. I znowu cyfry: Oło 70% wszystkich prac na budowie, to prace związane z transportem. Trzeba przywieźć cegły, trzeba je rozładować, trzeba dostarczyć na miejsce, gdzie pracuje murarz, który właśnie uczyni z luźnych bloków cegieł ścianę.

Ale murarz pracuje coraz wyżej. A więc transport już nie tylko odbywa się na płaszczyźnie poziomej, ale w górę. Tak zwany transport pionowy. Ow



Zuraw samochodowy jest nieocenioną maszyną na budowach, ułatwia zwłaszcza wyładunek materiałów ze środków transportu.



Schemat żurawia wieżowego. Strzałki wskazują ruchy, jakie może wykonywać, dając pojęcie o zasięgu jego pracy. A — poruszanie się wzdłuż ściany murowanej; B — ruch obrotowy wieży wraz z wysięgnikiem, C — zbliżanie i oddalanie wózka z przyczepem żurawia od wieży. D — podnoszenie i opuszczanie ciężaru.

transport pionowy dawniej — to właśnie owe „czarnoszyjki” i „koźlarze”. Ow transport dzisiaj...? Zaraz o tym pomówimy.

Żeby wybudować budynek długi — 50 metrów, szeroki 20, wysoki 15, trzeba wywieźć z miejsca budowy, z wykupu ziemię, trzeba przywieźć materiały. Razem trzeba wywieźć i przywieźć 7.800 ton materiału. To 2.600 kursów samochodu trzytónowego. A potem większość materiału należy dostarczyć na piętra, coraz wyższe piętra, w miarę jak rośnie budowa.

Spójrzmy na nasze budowy. W dziedzinie tego, co nazywamy transportem poziomym coraz rzadziej widzimy już turmanki, zapomnieliśmy niemal o taczakach. Tragi, w których robotnicy wynosili ziemię przeszły do muzeum pamiętek zawodowych.

Tam gdzie buduje się większy obiekt, transport poziomy załatwia się najtańszym sposobem, kolejką roboczą. Wagoniki na szynach, ciągnięte przez parowozik, lub holowane przez traktor — to bezspornie najlepszy sposób rozwiązania transportowego. Często widzimy już takie kolejki, nie tylko tam, gdzie powstają wielkie obiekty przemysłowe, ale i tam, gdzie buduje się osiedla mieszkaniowe, gdzie po jednym domu powstawać będzie zaraz obok następny, gdzie ukończenie jednej budowl, to zaledwie sprawa przedłużenia toru o kilkanaście czy kilkadziesiąt metrów. Wagoniki, które wyladowują się przez przechylenie nadwozia, tak zwane koleby, stosuje się o takiej pojemności, aby odpowiadały pojemności innego sprzętu. Np. przy koparkach o pojemności łyżki 0,5 m sześć. dobrym wyzyskaniem sprzętu będzie stosowanie koleb o pojemności 2 — 3 metry sześć. Bo przecież np. przy łyżce pojemności 0,75 metra dwumetrowe wagoniki byłyby źle wyzyskane. Dwie łyżki za mało... trzy za dużo.

A tam, gdzie budowa jest mniejsza, gdzie kolejka nie opłaci trudu i kosztów budowy, tam wszędzie w transporcie poziomym królują dzisiaj samochód lub ciągnik, tam wszędzie docierają

dzisiaj samochody — wywrotki i samowyladowywacze, przyczepy do ciągników.

A więc mamy już — na miejscu materiału — cegłę, wapno, kamień, beton — przywieziony w wannach — wywrotkach, lub w obracających się podczas jazdy gruszkowatych zasobnikach. Teraz trzeba dostarczyć go na miejsce użycia. Podczas budowy parteru — to sprawa łatwa. Ale inaczej, gdy budowa zaczyna wyrastać. Tu już wchodzimy w dziedzinę tak zwanego transportu pionowego.

Gdy podejrzamy do jakiegoś budującego się osiedla, to najpospolitszym widokiem, jaki spotykamy, jest cały las wysokich drewnianych wież zbitych z belek. To wieże szybowych wind budowlanych. Takimi wieżami jeżyły się i jeżą do dziś dnia tereny miasta Nowa Huta, takie wieże wyrastają lasem wszędzie tam, gdzie powstają nowe skupiska ludzkie, wyczarowywane przez socjalizm i upartą pracą ludzką, pracą świadomych budowniczych jutra, realizatorów Planu Sześcioletniego.

Najprostsza winda budowlana jednak, to winda masztowa. Maszt jej wydłuża się w miarę rośnięcia budowy, jest mocowany na murze i służy za prowadnicę dla szali, czyli platformy windy. Na platformę tę można postawić zasobnik z ceglami, pojemnik z wapnem czy betonem. Nośność wind masztowych wynosi zwykle od 500 do 700 kilogramów. Szybkość jazdy pozwala w ciągu pół minuty dostarczyć ładunek na 4 piętro. Winda taka zastępuje pracę około 50 „koźlarzy”, kosztuje zaś niezwykle tanio. Porusza ją silnik elektryczny mocy 5 kilowatów.

A przecież kiedyś nie opłacało się przedsiębiorcom nawet instalować wind, których koszt dzisiaj nie przewyższa 7 tysięcy złotych, woleli eksplloatować niehumanitarny trud koźlarzy.

Tam, gdzie ładunki są większe, gdzie budowle mają większą kubaturę, używa się wind szybowych, właśnie tych, których wieże wznoszą się tak powszechnie dzisiaj nad Polską.

Ale, gdy rozpoczęło coraz to więcej nowych budów, gdy budowy stały

się jeszcze większe, miejsce windy począł coraz częściej zajmować żuraw. Żuraw ma tę wyższość nad windą, że nie musi stać w jednym miejscu, może się poruszać wzdłuż budowanej ściany. Jego wysięgnik posiada poza tym znacznie większe pole działania. Może podać materiał w każde miejsce, znajdujące się w promieniu jego działania.

W budownictwie używa się żurawi różnych typów i różnej nośności. Popularne są już na naszych budowach żurawie samochodowe samojezdne. Są one zmontowane na platformie samochodu ciężarowego. Napęd mechanizmu udźwigowego otrzymują od silnika samochodowego. Nośność ich waha się od 3 do 7 ton. Podczas podnoszenia ciężaru samochód unosi się nieco i opiera na czterech śrubach, wspierających się o ziemię, ponieważ gumy nie wytrzymałyby ciężaru. Takie żurawie są bardzo cenne na budowach, są bowiem ruchliwe, nadają się do wyładunku materiałów z wagonów, pomocy przy niskich montażach, transporcie sprzętu itd.

W ostatnich czasach na niektórych większych budowach pojawiły się samochodowe podnośniki radzieckie. Mają one niewielki zasięg pionowy, ale za to są nieporównane tam, gdzie trzeba dostarczać materiały ze składów na miejsce budowy, na stanowiska robotnicze. Posiadają one rodzaj widel, na których można ustawić ciężar, nadają się specjalnie do wyładunków kolejowych.

Większe budowle, gdzie materiały przybywają na miejsce w dużych wymiarach i o dużej wadze, jak np. elementy prefabrykowane, wymagają już silniejszych i bardziej wydajnych dźwigów. Służą w takich wypadkach dźwigi na gąsienicach, zmontowane na podwoziu silnych traktorów dieslowskich, najczęściej typu „Staliniec“ o mocy 80 KM. Niektóre nowoczesne koparki są tak skonstruowane, że w razie potrzeby zdejmują się ramię z tyżką, lub wysięgnik koparki włókowej i zamiast niego zamontowuje się wysięgnik dźwigu. Taki dźwig otrzymuje napęd od silnika poruszającego również mechanizm gąsienicowy pojazdu. Na wielu

budowach w Polsce pracują takie koparki radzieckie, typu E-505.

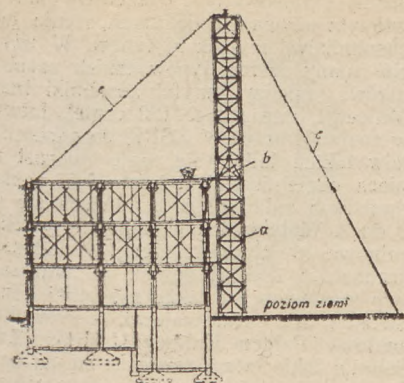
Przy jeszcze większych budowach stosowane są dźwigi wieżowe. Są one montowane na podwoziu zaopatrzonemu w koła kolejowe. Ustawia się je na szynach, ułożonych wzdłuż frontu robot na budowli. Dźwigi wieżowe są bardzo praktyczne, bowiem mogą się wzdłuż np. budowanej ściany poruszać na takim dystansie, na jakim ułożone są ich szyny. Oprócz tego wysięgnik ich może obracać się dokoła wieży, obejmując promieniem działania 20 do 45 metrów. Żurawie takie, jak i wszystkie inne mogą przenosić elementy różnego kształtu i wielkości, czego nie można osiągnąć przy windach.

Oczywiste jest, że operator żurawia wieżowego musi być wysokokwalifikowanym pracownikiem. Montaż żurawi dźwigowych trwa również dłużej. Ale jednak opłacają się, gdyż korzyści z ich stosowania na budowach są naprawdę olbrzymie.

W porównaniu do innych dźwigów, jak portowe, kolejowe itd. dźwig budowlany musi być jak najlżejszy, musi łatwo się rozmontowywać i montować. Te cechy uwzględniono w konstrukcji. Nasze fabryki budują już seryjnie takie żurawie i dźwigi, oparte przeważnie na wzorach radzieckich, wypróbowanych w ciągu wielu lat na budowach ZSRR.

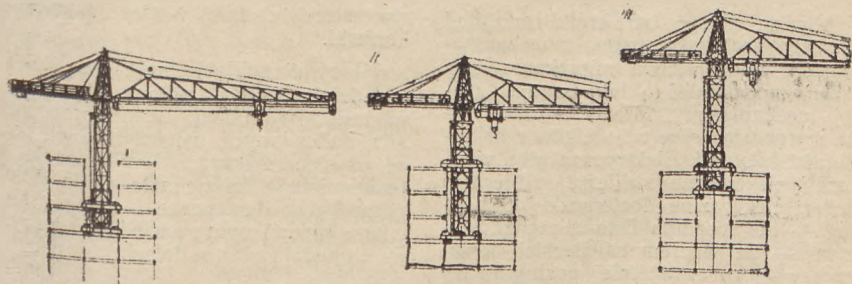
Niekiedy stosuje się żurawie stałe, tak zwane „derricki“, utrzymywane w równowadze przez system lin napinających. Używane są one jednak raczej przy budownictwie przemysłowym, przy budowie mostów, konstrukcji stalowych itd. Udźwig ich sięga 60 ton.

Na budowie Pałacu Kultury i Nauki ujrzelśmy pierwszy raz w Polsce żurawie samopodnoszące się, zbudowane przez grupę inżynierów radzieckich pod kierunkiem inż. Szczypakina. Żurawie takie mocowane są na szczycie konstrukcji stalowej przy pomocy specjalnych urządzeń. Gdy konstrukcja dokoła wyrośnie do poziomu wysięgnika żurawia, podnosi się znowu na najwyższy jej punkt tak zwany „jarzmo“, mocuje się je, po czym linami przyciepionymi do owego jarzma, żuraw sam.



Popularna na naszych budowach winda szybowa.

a — szyp windy, zbudowany z belek drewnianych, b — szala windy, c — liny naciągające, które pomagają do utrzymania windy w równowadze podczas pracy.



Trzy fazy podnoszenia się żurawia samopodnoszącego się typu UBK-1001 konstrukcji grupy inżynierów radzieckich z inż. Szczypakinem na czele. Żurawie takie pracują na budowie Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. I — żuraw w położeniu roboczym, II — jarzmo przenoszone na nowy najwyższy punkt konstrukcji, III — żuraw podciągnięty przy pomocy wielokrążków do wysokości jarzma, rozpoczyna pracę na nowym poziomie.

przy pomocy własnej wyciągarki, podnoś się na nowy poziom pracy. Odbywa się to szybko i składnie. Po ukończeniu budowy żuraw rozmontowuje się kolejno i opuszcza przez „szyb“ utworzony w konstrukcji właśnie tam, którędy szła droga żurawia do góry.

Mówiąc o mechanizacji budownictwa i transportu, trzeba wspomnieć o przenośnikach taśmowych, które przy niższych budowach również oddają wielkie usługi, natomiast jeszcze cenniejsze są tam, gdzie przesyła się duże ilości kruszywa.

Mówiliśmy już o betoniarkach. Podobnych maszyn używa się do przygotowywania wszelkich zapraw. Zarówno zapraw murarskich, jak i zaprawy tynkarskiej.

Prace tynkarzy, które wydawały się najtrudniejsze do zmechanizowania, zmechanizowano dawno. Służą do tego mechaniczne tynkownice, które rurami tłoczą na wyższe piętra zaprawę tynkarską, po czym rozkładają ją na ścianie. Poruszane są sprężonym powietrzem. Ostatnio nasi konstruktorzy zbudowali pompę do tynkowania bez spawarki. Tynkownice radzieckie, coraz szerzej rozpowszechniają się na naszych budowach, zwłaszcza w Warszawie, wobec dużego natężenia robót budowlanych, chętnie są używane.

Aby zakończyć ten krótki przegląd naszego socjalistycznego, zmechanizowanego budownictwa mieszkaniowego, trzeba wspomnieć o tak zwanej „małej mechanizacji“. Młotki pneumatyczne wyręczają pracę robotników z oskardami i kilofami. Elektryczne piły, wiertarki, elektryczne siekiery, szlifierki i heble, elektryczne docieraczki do podłóg — oto niepełna lista narzędzi, którymi — za wzorem radzieckich towarzyszy — coraz chętniej posługują się robotnicy polscy.

Nadmienić należy jeszcze, że przy używaniu maszyn budowlanych, a zwłaszcza maszyn transportowych dużej nośności, wygodniej jest używać coraz większych elementów budowlanych. Dlatego też coraz szerzej stosuje się prefabrykację części budynków;

ponieważ jednak cegła jest nadal najbardziej stosowanym elementem budowlanym używa się do przenoszenia jej zasobników, czyli konterenów. W użyciu mamy szereg typów takich zasobników, między innymi zasobniki inż. Malcewa, mieszczące 120 cegieł, łatwe w rozkładaniu. W ZSRR do zasobników takich ładuje się cegłę wprost z pieca cegielni. Dzięki temu ilość rozładunków i załadunków zmniejsza się z 9 do 3. Wpływa to na całkowite wyeliminowanie tłuczenia cegły podczas transportu i przeładunku. W Warszawie stosowane są także zasobniki konstrukcji inż. Karawajewa, kierownika budowy Pałacu Kultury i Nauki. Zasobniki takie łatwo zawiesza się na haku żurawia, łatwo ustawia na platformie windy. Jeden ruch wystarczy, aby je rozebrać i otrzymać na żądanym miejscu stos 120 cegieł.

Tak wyglądają dzisiaj polskie budowle coraz powszechniej. Tak powoli wspaniałe maszyny budowlane wyparły z budów kopaczy, furki, łaczki, gracowników z ich gracami, koźlarzy i wszelkie inne grupy robotników, spełniających dawniej na budowie rolę zwierząt jucznych. Tak budownictwo socjalistyczne, nie tylko osiąga coraz większą wydajność pracy, ale jednocześnie zdejmując z bark człowieka coraz więcej ciężkiej i nieproduktywnej harówki.

Olbrzymie* zagłębienie budowlane, jakim jest dzisiaj Polska Ludowa, teren pracy udziesięciokrotniejszej armii pracowników budowlanych, ustokrotniło ich pracę użyciem maszyn. Mechanizacja w budownictwie będzie szła coraz dalej, potrzeby bowiem nasze i żądania stawiane budowlanym są wielkie, a wszyscy pamiętają słowa Bolesława Bieruta:

„Trzeba pobudzić inicjatywę w zakresie mechanizacji, trzeba szybko urzeczywistniać wszystkie słuszne projekty w tym zakresie, trzeba w nowej sytuacji pracować po nowemu i pamiętać, że bez forsowania mechanizacji niemożliwe jest urzeczywistnienie naszych wielkich zadań“.



KWITNĄCY SAD Z.S.R.R.

KRZYSZTOF ZAREWICZ

ZAMKNIĘTY od północy olbrzymią ścianą Wielkiego Kaukazu, a od południa pasmem Gór Armenijskich ciągnie się obszerny, zielony wąwóz-dolina. To Gruzja. Gdy mówi się o tej republice radzieckiej, jednej z najpiękniejszych, bardzo często dodaje się przymiotnik: „słoneczna”. Tak — prawdziwa jest nazwa „słoneczna Gruzja”. Zimy prawie tu nie ma. Śnieg, rzadki gość z północy, nie zdąży upaść na ziemię — topnieje w powietrzu. W grudniu kwitną tu fiołki, w styczniu — róże, w początku marca rozkwitają drzewa migdałowe. Słońce zalewa coraz gorętszymi promieniami bujną roślinność subtropikalnego klimatu.

Piękna jest Gruzja, kraina niebotycznych skalistych wierchów pokrytych wiecznym śniegiem, kraina gęstych lasów, kwitnących dolin i łąk alpejskich. Palmy rosną tu nad brzegami rwących rzek wpływających z

górskich lodowców, obok nagich skał leży urodzajna ziemia. W jednym miejscu przestrzenie spalone słońcem, w innym — wilgotne dżungle. Elektryczne pociągi przecinają trakty zbudowane 2 tysiące lat temu. W pobliżu feudalnych zamków pracują elektrownie, huczą silniki traktorów. Gruzja zachwyca wspaniałymi zabytkami 25-wiekowej kultury: przecież o Gruzinach mówią już klinowe napisy starożytnego Asyrii, w Gruzi istniała wysoka kultura już wówczas, gdy zachodnią Europę zamieszkiwały dzikie plemiona barbarzyńców. Ale przede wszystkim Gruzja zachwyca najwspanialszym, teraźniejszym życiem wolnego socjalistycznego narodu.

„Kto chce zobaczyć życie Gruzi, musi wspiąć się na niedostępny szczyt Suramu, na który nawet orły rzadko wzlatają” — głosi stare powiedzenie gruzińskie. Stworzył je lud, który żył, pracował w pocie czoła na bogatej

ziemi i nie korzystał z jej hojnych darów, lud, który żył pod słońcem południa i nie znał jasnych, ciepłych dni.

Dziś nie trzeba wspinać się na żadne szczyty górskie, aby ujrzeć życie wyzwolonej spod ucisku obszarników i kapitalistów Gruzji, gdyż ożywczy

nach obywateli socjalistycznej republiki radzieckiej.

Patosem pokojowej, twórczej pracy wypełnione jest życie pracującej Gruzji. Hutnicy Rustawi górniczy w kopalniach rudy manganowej w Cziaturze, budowniczy Samgori, melioratorzy Kolchidy, górnicy kopalni węgla w Tkwarceli, Tkibuli i Achałciche, budowniczy maszyn i włókniarze Tbilisi, budowniczy samochodów Kutaisi z każdym dniem osiągają wciąż nowe i nowe zwycięstwa w pracy. Do ich sukcesów dołączają się zwycięstwa rolników i pasterzy, hodowców herbaty, winogron, tytoniu.

Przyroda kraju przeobrażona wola i pracą ludzi radzieckich obdarza ich szczodrymi płonami. Szeroko rozlało się stworzone przez ludzi „Morze Tbiliskie”. Napełniły się wodą kanały pierwszej części samgorskiego systemu nawadniającego imienia Stalina. W bezpłodnym ongiś Stepie Samgorskim, rozpościerającym się na dziesiątki tysięcy hektarów, zazielenią się wkrótce pola, zakwitną sady i plantacje, zaszumią lasy eukaliptusów. A na drugim krańcu republiki, w pobliżu Morza Czarnego, trwa zacięta walka o osuszenie niziny kolchidzkiej, o przekształcenie tysięcy hektarów urodzajnej ziemi w plantacje cytryn, mandarynek, herbaty, drzew tungowych i eukaliptusowych, bambusów.

W odległości 30 km od stolicy kraju, w cichej dolinie Kury, gdzie jeszcze tak niedawno na malej, zapadłej stacyjce zatrzymywał się zaledwie na minutę jeden pociąg na dobę, obecnie tętni życiem nowe miasto — Rustawi. Wyrosło nowe, piękne, socjalistyczne miasto hutników i pracowników wielkich Zakaukaskich Zakładów Metalur-



Agrotechnik M. Benidze i przodowniczka pracy K. Czichladze na plantacji herbaty jednego z kolchozów rejonu chattubskiego.

strumień szczęśliwego życia wytryska wszędzie: i w starodawnym Tbilisi, które obchodziło niedawno 1.500 rocznicę swego istnienia, i w miastach Rustawi czy Tkwarceli, których niedawno nie było w ogóle na mapie, i w każdej gruzińskiej wiosce, w każdym domu zamieszkałym przez wol-



Uprawę herbaty w sowchozie czachwińskim im. Lenina.

gicznych m. Stalina. Młodzi gruzińscy hutnicy, którzy jeszcze niedawno jako podręczni czy pomocnicy uczyli się nowego zawodu u słynnych hutników wielkopieczowych i martenowców Uralu czy Ukrainy — obecnie śmiało współzawodniczą z byłymi nauczycielami, dając z dnia na dzień coraz więcej szybkościowych wytopów wysokiej jakościowej stali.

Nową, przodującą techniką szczyści

się szeroko rozwinęły przemysł lekki i spożywczy. Znane są gruzińskie tkalniny — przemysł kraju produkuje ich z roku na rok coraz więcej. Miliony metrów materiału rocznie produkować będzie uruchomiony niedawno w Gori wielki kombinat włókienniczy. W Gruzji pracuje przeszło 50 wytwórni herbaty, w ciągu najbliższych lat zostanie zbudowane jeszcze 26 dużych fabryk. Stale zwiększa się liczba wy-

twórni win, fabryk koniaku, przetworów owocowych.

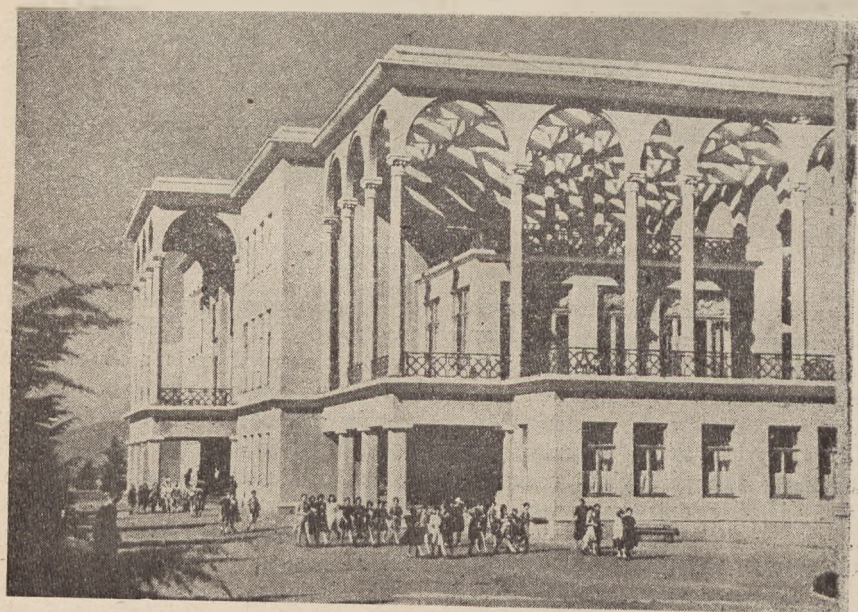
Nie do poznania zmieniło się życie gruzińskiej wsi. Chłopi gruzińscy, którzy przez całe wieki uprawiali jedynie kukurydzę, dziś w kolchozach hodują nieznane tu dawniej rośliny subtropikalne. Pociągi, statki, samoloty wiozą z Gruzji do najdalszych zakątków Związku Radzieckiego pyszną gruzińską herbatę, cytryny, mandarynki. Już za kilka lat gruzińscy hodowcy osiągną rocznie zbiór 1 miliarda sztuk owoców cytrusowych.

Huczą na polach i na plantacjach silniki traktorów i najprzeróżniejszych maszyn. W kraju, gdzie przed Rewo-

lucją jedna prymitywna socha przypadała na trzy zagrody chłopskie, dziś maszyny orzą ziemię, zbierają zboże, ścinają delikatne listki z herbacianych krzewów.

Wysokie zapory przegrodziły drogę rwącemu, górskiemu rzekom, w niezliczonych miejscach Gruzji zawirowały wielkie i małe — kolchozowe turbiny elektrowni wodnych. Jeżeli wieczorem przejdzie ktoś przez Przełęcz Gomborską, stanie zdumiony: ujrzy morze ognia. Przybyszowi z daleka może się wydać, że w Dolinie Ałazańskiej wyrosło wielkie miasto. W rzeczywistości jest to jednak rozpościerający się na dziesiątki kilometrów łańcuch wsi kol-

Tbilisi. Główny gmach w Parku Kultury i Wypoczynku im. Stalina.



chozowych. Elektryczność nie tylko o-
świetla domy, ale porusza maszyny
na polach, młóci zboże, wydusza sok
z winogron, doi krowy, strzyże owce.

Trzy dziesięciolecia władzy radziec-
kiej zmieniły oblicze Gruzji bardziej
niż dwa i pół tysiąca lat historii tego
kraju. Powstał kraj rozwiniętego prze-
mysłu i przodującego, socjalistycznego
rolnictwa, powstał kraj wysokiej kul-
tury. Nie ma dziś w Gruzji rodziny,
w której nie byłoby człowieka z wyż-
szym wykształceniem. Gruzja, kraj

który dał ludzkości słynnego poe-
tę średniowiecza — Szota Rustaweli,
kraj w którym urodził się Włodzimierz
Majakowski, ma dziś bardzo wielu
słynnych uczonych, pisarzy, poetów,
słynnych wynalazców i nowatorów,
członków Akademii Nauk, laureatów
Nagród Stalinowskich.

Gruzja, tak jak inne republiki ra-
dzieckie, wyrosła dziś w kraj, który po-
zostawił daleko w tyle poza sobą wiele
przodujących ongiś krajów kapita-
listycznej Europy, Ameryki i Azji.



PRZEZ JEDNOŚĆ NIEMIEC DO POKOJU W EUROPIE

HENRYK KASSJANOWICZ

NOTA rządu ZSRR do rządów trzech mocarstw zachodnich w sprawie Niemiec z dnia 15 sierpnia br. postawiła jeszcze raz z całą powagą ten zasadniczy problem naszych czasów, problem o żywotnym znaczeniu nie tylko dla narodu niemieckiego, ale dla wszystkich narodów Europy: droga porozumienia i współpracy, droga przywrócenia narodowi niemieckiemu należnych mu praw w suwerennym, demokratycznym zjednoczonym państwie, a pokoju i bezpieczeństwa Europy, czy też droga odbudowy militarnych agresywnych Niemiec — śmiertelnego wroga narodów, zarzewia nowej wojny. Słowem, rozwiązanie zagadnienia Niemiec w duchu Poczdamu, w oparciu o słuszny i sprawiedliwy traktat pokojowy, o zasady, o które od ośmiu lat konsekwentnie walczy Związek Radziecki, czy też amerykańska polityka przyłączania Niemiec zachodnich do agresywnego paktu atlantyckiego, „armii europejskiej“, podsycania rewizjonistycznych planów Adenauera.

Nie ulega wątpliwości, że z wyjątkiem garstki ludzi zaprzeczających wo-

jennym planom monopolistów z Wall Street i kliki samych zainteresowanych tj. reżimu bońskiego oraz odciętych od stryczka przez anglosaskich protektorów hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, szerokie masy narodów Europy, nie wyłączając olbrzymiej części narodu niemieckiego, wypowiadają się za drogą proponowaną przez Związek Radziecki. Ale tę drogę przez swe plany remilitaryzacji Niemiec zachodnich i włączenia ich do „armii europejskiej“, przez układy z Bonn i Paryża pragną zamknąć przed narodami rządu mocarstw zachodnich. Zrozumiałe jest więc, jak gorącym poparciem cieszą się nowe propozycje radzieckie, które tę drogę porozumienia szeroko otwierają, przedstawiając konkretne środki uregulowania problemu niemieckiego zgodnie z interesami pokoju w Europie, zgodnie z interesami samego narodu niemieckiego.

Taki jest też cel nowej inicjatywy rządu ZSRR — położenie kresu remilitaryzacji Niemiec zachodnich, zapobieżenie przekształceniu ich w bazę wypadową odwetowców, przywrócenie natomiast rozdartemu narodowi

niemieckiemu jedności i należnego miejsca wśród pokój miłujących narodów, a sprzed oczu narodów Europy usunięcia raz na zawsze groźnego widma wojny. Dlatego to piętnując politykę rządów mocarstw zachodnich i ostrzegając, że włączenie Niemiec zachodnich do „armii europejskiej“ i bloku północno-atlantyckiego będzie oznaczało, iż nie można już będzie traktować Niemiec zachodnich jako państwa miłującego pokój, a co za tym idzie — zjednoczyć Niemiec zachodnich i wschodnich w jednolite państwo — nota radziecka wraca do tych zasad, które jedynie zabezpieczyć mogą pokojowe uregulowanie problemu niemieckiego — do swych propozycji z 10 marca ubiegłego roku.

Jak wiadomo, propozycje te, które obecnie rząd ZSRR dołącza do noty, pozostawione zostały przez rządy mocarstw zachodnich bez odpowiedzi. Zamiast niej zaś „wyrzekając się swych uroczystych zobowiązań międzynarodowych, stawiających sobie za cel popieranie odbudowy Niemiec jako miłującego pokój i demokratycznego państwa“ narzuciły one Niemcom zachodnim dnia 26 maja ub. r. haniebny układ boński przekształcający je w amerykańską bazę wojskową, a następnie w dzień później w Paryżu, agresywny układ o „armii europejskiej“. Tymczasem właśnie dziś po półtora roku od zgłoszenia propozycji radzieckich nie ma człowieka, który by z czystym sumieniem zaprzeczyć mógł ich słuszności. Dla nikogo bowiem nie ulega wątpliwości w świetle tego co się dzieje w Niemczech zachodnich, w świetle obłędnej

rewizjonistycznej kampanii Adenauera, że jedyna droga do trwałego pokoju wiedzie tylko poprzez zjednoczenie Niemiec i przywrócenie im suwerennego bytu, tylko bowiem w ten sposób naród niemiecki będzie mógł stać się gospodarzem we własnym kraju.

A przecież jest to zarazem droga Poczdamu. Wystarczy tu też przypomnieć kilka punktów radzieckich propozycji zasad traktatu pokojowego, jak np. wycofanie wszystkich wojsk okupacyjnych w ciągu roku od chwili wejścia w życie traktatu, zapewnienie nieskrępowanej działalności demokratycznym partiom i organizacjom, zobowiązanie Niemiec do nieuczestniczenia w żadnych agresywnych sojuszach wojskowych, czy wreszcie stanowcze stwierdzenie, iż terytorium Niemiec określają granice ustalone w Poczdamie, aby zrozumieć, że mimo upływu od podpisania układów poczdamskich 8 lat „podstawowe cele układów — współuczestniczenie w utworzeniu miłujących pokój i demokratycznych Niemiec wyrażają nadal interesy wszystkich narodów europejskich, nie wyłączając narodu niemieckiego“.

Dziś w świetle wydarzeń międzynarodowych propozycje radzieckie sprzed półtora roku nie tylko nie utraciły nic ze swej aktualności, ale przeciwnie — stały się jeszcze bardziej uzasadnione i słuszne. Tylko tą drogą zapewnić można narodowi niemieckiemu należne mu prawo do posiadania niepodległego zjednoczonego państwa, a narodom Europy trwały pokój i bezpieczeństwo. Tak jak wówczas więc, tak jeszcze bardziej

nizii, walka o taki traktat z Niemcami jest sprawą wszystkich miłujących pokój narodów. A droga ku temu wiodąca?

Zrozumiałe, że droga ta podobnie jak zasady traktatu uwzględnić musi prawo krajów zainteresowanych do współuczestniczenia w uregulowaniu zagadnienia niemieckiego, jak i prawo samego narodu niemieckiego do wzięcia współudziału w pracach nad traktatem. Podobnie też i tutaj znaleźć musi wyraz zasada, iż sprawy zjednoczenia Niemiec i sposób wyłonienia ogólnoniemieckiego rządu nie mogą być decydowane bez współudziału przedstawicieli całego narodu.

Ale temu pragnie za wszelką cenę zapobiec obecna polityka rządów Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, które boją się w istocie wolnych wyborów w Niemczech i z tych względów chciałyby oddać przeprowadzenie wyborów w Niemczech w ręce obcych „kontrolerów”. Do tego też zmierzają osławione propozycje trzech mocarstw dążące — pod pretekstem zbadania, czy w Niemczech istnieją warunki do przeprowadzenia wyborów — do odsunięcia narodu niemieckiego od decyzji w jego wewnętrznych sprawach. W istocie cała obecna polityka mocarstw zachodnich „wymierzona jest zarówno przeciwko rozwiązaniu kwestii traktatu pokojowego, jak i przeciwko zjednoczeniu Niemiec na zasadach pokojowych i demokratycznych, przeciwko utworzeniu ogólnoniemieckiego rządu demokratycznego”. Nie trudno się domyśleć, że robią one to w tym celu, aby za parawanem rzymskich rozmów o zjednoczeniu kon-

tynuować przy pomocy Adenauera politykę remilitaryzacji Niemiec zachodnich.

Dlatego to, aby położyć kres tej polityce, rząd ZSRR w nocy swej stwierdzając, że żadne wymówki nie mogą w oczach miłujących pokój narodów usprawiedliwić dalszej zwłoki w rozwiązaniu zagadnienia niemieckiego, wysuwa szereg propozycji, zmierzających do tego celu. I podobnie też jak zasady traktatu pokojowego, propozycje te cechuje ta sama troska o poszanowanie praw narodu niemieckiego, a zarazem o zabezpieczenie pokoju w Europie. Odnosi się to więc zarówno do radzieckiej propozycji zwołania w ciągu najbliższych 6 miesięcy konferencji wszystkich państw zainteresowanych problemem niemieckim, jak i sposobu zagwarantowania narodowi niemieckiemu odpowiedniego udziału we wszystkich stadiach przygotowań traktatu oraz w samej konferencji pokojowej.

Na tę propozycję, rządy mocarstw zachodnich dotychczas wykrętnie argumentowały, iż nie może być mowy o udziale przedstawicieli Niemiec w pracach nad traktatem, skoro nie zostały przeprowadzone wybory i nie ma rządu ogólnoniemieckiego. Dlatego też rząd radziecki, pragnąc położyć kres wszelkiej jałowej dyskusji, proponuje, aby wyłoniony został już obecnie tymczasowy rząd ogólnoniemiecki, powołany do życia w drodze bezpośredniego porozumienia między Niemcami wschodnimi i zachodnimi. A zadania tego rządu?

Oprócz takich spraw jak niedopuszczenie do wciągania Niemiec do koalicji i sojuszków wojskowych, jak



SPRAWA
JEDNOŚCI
NIEMIEC

JANTAR.

troska o zapewnienie nieskrępowanej działalności partiom i organizacjom demokratycznym oraz niedopuszczenie do istnienia organizacji faszystowskich i militarystycznych, głównym zadaniem rządu tymczasowego byłoby przeprowadzenie wyborów. Ale — wbrew propozycjom amerykańskim — wybory winny się odbyć bez ingerencji obcych mocarstw, bez nacisku wielkich monarchii, na zasadzie opracowanego przez rząd tymczasowy projektu ordynacji wyborczej zapewniającego demokratyczny charakter wyborów. Tylko bowiem w ten sposób naród niemiecki będzie mógł dać swobodnie wyraz swej woli.

Wreszcie jeszcze jedna charakterystyczna cecha propozycji radzieckich, jaskrawo kontrastująca z polityką mocarstw zachodnich wobec Niemiec. Otóż rządy te, narzucając Niemcom zachodnim układy z Bonn i Paryża, zwiększyły znacznie koszty finansowe ponoszone na utrzymanie wojsk okupacyjnych z tym, że obecnie koszty te nazywają się „wkładem Niemiec zachodnich w obronę Europy“.

Rzecz jasna, że koszty te całym ciężarem spadają na barki szerokich mas. Dlatego to rząd radziecki wychodząc z założenia, że Niemcy wykonały już znaczną część swych zobowiązań finansowych i gospodarczych powstałych w wyniku wojny oraz z uwagi na ciężką sytuację gospodarczą Niemiec, zaproponował m. in., aby od 1 stycznia 1954 r. Niemcy zostały całkowicie zwolnione od spłaty odszkodowań oraz aby sumy wydatkowane na utrzymanie wojsk okupa-

cyjnych nie przekraczały 5 proc. rocznych dochodów NRD i republiki bońskiej, a w każdym razie nie przewyższały sum wydatkowanych na ten cel przed utworzeniem bloku północno-atlantycznego. Również w tej propozycji odzwierciedla się szczerza troska rządu radzieckiego o ulżenie do- li ludności niemieckiej.

Tak oto wyglądają nowe radzieckie propozycje, propozycje odpowiadające pragnieniom i dążeniom patriotów niemieckich, ale jednocześnie przez swój głęboki pokojowy i demokratyczny charakter zgodne z najwyżwotniejszymi interesami narodów Europy. Nie ma bowiem człowieka we Francji, Anglii, we Włoszech, który by coraz lepiej nie rozumiał, że tylko poprzez utworzenie takich Niemiec utrwalony może być pokój w Europie. Również naród polski, dla którego propozycje te oznaczają położenie kresu odradzaniu militaryzmu, hitleryzmu i antypolskiego rewizjonizmu, jak najgoręcej popiera nową inicjatywę rządu ZSRR.

„...nie po to miliony synów i córek naszego narodu przelewały krew w wojnie z militarystycznymi Niemcami — powiedział w swym przemówieniu premier ZSRR Malenkov — by wskrzeszono to niezmiernie niebezpieczne ognisko wojny w Europie“.

Nie chcą swej krwi przelewać w nowej wojnie również pozostałe narody Europy, toteż nie ma kraju, w którym by propozycje radzieckie nie zostały gorąco poparte i powitane jako nowy ważki krok w walce ludzkości o pokój. Narody wybierają drogę pokoju.

FAKTY

Komentarze



DROGA DO POKOJU

JEDNYM z najbardziej doniosłych wydarzeń obecnego lata była odbyta w dniach od 5 do 8 sierpnia piąta sesja Rady Najwyższej ZSRR. Sesja ta zatwierdziła budżet państwowy ZSRR na rok 1953. „Podstawowym zadaniem budżetu państwowego ZSRR na rok 1953 — oświadczył w uzasadnieniu budżetu minister finansów Zwieriew — jest zapewnienie niezbędnych środków wykonania wielkiego programu rozwoju gospodarki narodowej oraz dalszego podniesienia materialnego i kulturalnego poziomu życia narodu, programu nakreślonego na ten rok przez rząd radziecki zgodnie z historycznymi uchwałami XIX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego“.

Wyniki dwóch i pół lat wykonania piętego 5-letniego planu rozwoju Związku Radzieckiego świadczą o osiągniętych przez naród radziecki sukcesach w rozwoju przemysłu, rolnictwa, transportu, o dalszym podniesieniu dobrobytu narodu, ochrony zdrowia i kultury. Budżet państwowy ZSRR na rok 1953 zatwierdzony został w wysokości 543,3 miliarda rubli dochodów i 530,5 miliarda ru-

bli wydatków. Budżet ten, podobnie jak poprzednie budżety państwowe ZSRR, nie tylko nie wykazuje żadnego deficytu, lecz odwrotnie — przewiduje nadwyżkę dochodów nad wydatkami w wysokości 12,8 miliardów rubli.

Gdy porównać ten budżet z budżetem amerykańskim, którego deficyt sięga zawrotnej sumy 10 miliardów dolarów, lub z budżetem francuskim, którego deficyt dojdzie do rekordowej cyfry 900 miliardów franków, to w całej rozciągłości potwierdza się i w tym wypadku wyższość państwa socjalistycznego nad państwem kapitalistycznym. Budżet radziecki jest również, w przeciwieństwie do budżetów kapitalistycznych, budżetem twórczej pracy pokojowej, a nie budżetem przygotowywania wojny. Podczas gdy w Stanach Zjednoczonych wydatki na zbrojenia i przygotowywanie wojny wynoszą ponad 70% budżetu, we Francji zaś wydatki na te same cele wraz z kosztami na prowadzenie „brudnej“ wojny w Indochinach obciążają budżet francuski w wysokości przeszło 40%, obecny budżet państwowy ZSRR przewiduje na zbrojenia tylko 110 miliardów 200 milionów rubli, czyli

20,8% budżetu. Podkreślić należy, że w budżecie zeszłorocznym wydatki na zbrojenia były wyższe, bo wynosiły 23,6%. Związek Radziecki jest więc jedynym z wielkich mocarstw, które nie tylko nie zwiększyło, ale zmniejszyło wydatki na zbrojenia. Odwrotnie, na gospodarkę narodową budżet państwowy ZSRR przezna-



cza przeszło 36% wszystkich wydatków budżetowych, a na oświatę, ochronę zdrowia, cele socjalno - kulturalne, emerytury — przeszło 24,4%.

Jak stwierdził przewodniczący rady ministrów ZSRR Malenkov, „**budżet państwowy odzwierciedla troskę państwa radzieckiego o nieustanne podnoszenie materialnego i kulturalnego poziomu życia mas pracujących**“.

Punktem kulminacyjnym obrad było przemówienie premiera G. M. Malenkowa. Malenkov dał niezwykle jasny i wnikliwy obraz osiągnięć i celów potężnego Związku Radzieckiego, a także bardzo pełną i wyrazistą analizę sytuacji międzynarodowej.

W pierwszej części swojego przemówienia premier Malenkov omówił sprawy wewnętrzne ZSRR. Dowiedzieliśmy się, że o ile w roku gospodarczym 1924 — 25 wytapiano w

ZSRR jedynie niecałe dwa miliony ton stali, wydobywano zaledwie 16,5 miliona ton węgla, a elektrownie produkowały niespełna 3 miliardy kilowatów energii elektrycznej, to w roku 1953 produkcja stali wyniesie ponad 38 milionów ton, węgla wydobydzie się przeszło 320 milionów ton, a produkcja energii elektrycznej wyniesie 133 miliardy kilowatów. W ciągu 28 lat produkcja przemysłowa ZSRR wzrosła 29 razy. Historia gospodarki światowej nie zna podobnie imponującego rozwoju. Nawet najbardziej rekordowe cyfry wzrostu produkcji w Stanach Zjednoczonych nie dorównywały temu rozwojowi. Od śmierci twórcy Partii Komunistycznej i Państwa Radzieckiego Lenina, ZSRR, krocząc wytkniętą przez niego drogą, pod kierownictwem KPZR, osiągnął imponujące rezultaty.

Olbrzymie sukcesy w rozwoju przemysłu ciężkiego stworzyły korzystne warunki dla wzmoczenia produkcji artykułów masowego spożycia, stworzyły warunki dla rozwoju rolnictwa, które zaopatruje ludność w żywność, a przemysłowi dostarcza potrzebnych surowców. Toteż z pełnym uzasadnieniem mógł Malenkov stwierdzić: „**Istniejący w naszym kraju ustrój socjalistyczny ma ogromne możliwości nowego, jeszcze potężniejszego rozwoju naszej ekonomiki i rozkwitu naszej kultury, dalszego podnoszenia dobrobytu narodu. Wykorzystamy wszystkie te możliwości, aby zapewnić dalszy wszechstronny postęp społeczeństwa radzieckiego i jego stopniowe przejście do komunizmu**“.

W drugiej części swojego przemó-

wienia Malenkov mówił o polityce zagranicznej Państwa Radzieckiego na tle sytuacji międzynarodowej. Po podkreśleniu rozejmu w Korei i udaremnienia prowokacji berlińskiej jako dwóch doniosłych zwycięstw sprawy pokoju, Malenkov dokonał przeglądu stosunków Związku Radzieckiego z otaczającymi ZSRR sąsiadami i z innymi państwami globu ziemskiego. Premier rządu radzieckiego nakreślił następnie drogi wiodące do pokoju, podkreślając, że „dla rządu radzieckiego, dla nas wszystkich ludzi radzieckich—sprawa utrwalenia pokoju i zapewnienie narodom bezpieczeństwa nie jest kwestią taktyki i manewrów dyplomatycznych. Jest to nasza linia generalna w dziedzinie polityki zagranicznej“.

Malenkov potwierdził raz jeszcze, co już powiedział 15 marca na poprzedniej sesji Rady Najwyższej, że „w chwili obecnej nie ma takiej spornej lub nierozwiązanej kwestii, której nie można byłoby rozwiązać w drodze pokojowej na podstawie wzajemnego porozumienia stron zainteresowanych“. „Dotyczy to również tych spornych kwestii, które istnieją między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim — oświadczył Malenkov. Byliśmy i jesteśmy za pokojowym współistnieniem dwóch ustrojów. Uważamy, że nie ma obiektywnych podstaw do konfliktu między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim“.

Ale Malenkov przestrzegał przed upacznym tłumaczeniem radzieckiego dążenia do utrwalenia pokoju jako objawu słabości. Premier radziecki, polemizując z „wybitnymi“, ale „nie

dalekowzrocznymi“ politykami amerykańskimi, którzy interpretują pokojową politykę ZSRR jako przejaw słabości, przypomniał: „świat nie zdążył jeszcze zapomnieć, że nie kto inny jak Hitler, opierając się właśnie na niemądrych rachubach, że Związek Radziecki jest rzekomo kolosem na glinianych nogach, puścił się na zbrodniczą awanturę“ przeciwko Związkowi Radzieckiemu, co doprowadziło do całkowitego załamania się faszystwu w Niemczech. „Przekonywające fakty — podkreślił Malenkov — zadają kłam paplaninie o słabości ZSRR“. Takim faktem jest podana przez premiera radzieckiego wiadomość, że Stany Zjednoczone nie posiadają monopolu nie tylko w dziedzinie bomby atomowej, ale również w dziedzinie produkcji bomby wodnorodowej. Również dowodem siły, a nie słabości ZSRR było zdemaskowanie i unieszkodliwienie w porę Berii.



W trzeciej, ostatniej części swojego przemówienia Malenkov zanalizował ideologiczne fundamenty, na których opiera się Państwo Radzieckie.

„Państwo jest silne świadomością mas. Jest ono silne wówczas, gdy masy wszystko wiedzą, o wszystkim mogą mieć sąd i na wszystko decydują się świadomie“ — zacytował Malenkov słowa wielkiego nauczyciela i twórcy Partii oraz Państwa Radzieckiego, Lenina, stwierdzając.

ze „w odróżnieniu od wszystkich burżuazyjnych partii i państw, które maskują swe rzeczywiste cele i politykę, cele i polityka Partii Komunistycznej i Państwa Radzieckiego są jasne i widoczne dla całego narodu“. Mówiąc o pracy Partii nad podniesieniem politycznego i kulturalnego poziomu mas, Malenkov stwierdził, że „Partia Komunistyczna i rząd radziecki wiedzą, dokąd i jak mają prowadzić naród, kierują się bowiem naukową teorią rozwoju społecznego, marksizmem - leninizmem“. Podkreślając, że „wraz ze Związkiem Radzieckim rośnie i krzepnie cały miłujący pokój obóz demokratyczny“, Malenkov stwierdził, że „nie można zmusić 800 milionów ludzi, stanowiących wielką rodzinę narodów krajów obozu demokratycznego, do wyrzeczenia się wywalczonych krwią i potem historycznych zdobyczy, do wyrzeczenia się własnej władzy ludowej i do przywrócenia władzy wyzyskiwaczy“. „Dla całego świata jest jasne, że siłom agresywnym nie uda się zawrócić wstecz biegu historii“ — stwierdził Malenkov. I dlatego „polityka pokojowego współistnienia dwóch systemów jest obowiązkiem nie tylko krajów obozu demokratycznego, lecz także obowiązkiem wszystkich krajów. Albowiem inna droga — wskazał Malenkov — to droga beznadziejnych awantur i nieuniknionych klęsk“.

Przemówienie Malenkowa skupiło na sobie uwagę całego świata, albowiem nie było to tylko wspaniałe exposé wielkiego męża stanu. Było to określenie drogi, która wiedzie do pokoju, do postępu, do szczęścia ludzkości. Był to drogowskaz dla wszyst-

kich uczciwych i postępowych ludzi. Jedynie krocząc po drodze wytkniętej przez Malenkowa, umęczona ludzkość może osiągnąć prawdziwy, trwały pokój.

W SPRAWIE ROKOWAŃ MIĘDZY MOCARSTWAMI

MIĘDZY trzema mocarstwami zachodnimi a Związkiem Radzieckim toczy się obecnie dyskusja dyplomatyczna co do przesłanek, na których odbyć mogłyby się rokowania między mocarstwami.

Z jednej strony trzy mocarstwa zachodnie wystąpiły z propozycją konferencji ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw, ale w myśl wskazań konferencji waszyngtońskiej stanęły w swoich notach do rządu radzieckiego na stanowisku ograniczenia porządku dziennego takiej konferencji jedynie do sprawy wyborów w Niemczech i warunków utworzenia rządu ogólnoniemieckiego oraz sprawy traktatu z Austrią, pomijając natomiast milczeniem najważniejsze dla narodu niemieckiego sprawy zjednoczenia Niemiec i zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami. Z drugiej zaś strony rząd radziecki wysunął w swojej nocie z czwartego sierpnia szeroką platformę rokowań, wypowiadając się „za rozpatrzeniem na konferencji ministrów spraw zagranicznych kwestii posunięć sprzyjających ogólnemu osłabieniu napięcia w stosunkach międzynarodowych, łącznie ze sprawą redukcji zbrojeń i niedopuszczenia istnienia obcych baz wojennych na terytorium innych państw“, a także za omówieniem na

konferencji całokształtu zagadnienia Niemiec, łącznie z kwestią zjednoczenia Niemiec i zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami.

Miedzy pierwszą platformą rokoowań a drugą jest ta zasadnicza różnica, że rząd radziecki pragnie rokowań po to, aby naprawdę doprowadzić do odprężenia międzynarodowego, zaś — jak słusznie stwierdził artykuł wstępny „Prawdy“ z 23 lipca — mocarstwa zachodnie chcą wykorzystać konferencję czterech mocarstw „w celach nie mających nic wspólnego z interesami utrwalenia pokoju, nie mających nic wspólnego z zadaniami złagodzenia napięcia w stosunkach międzynarodowych“. Przeciwnie, nawet burżuazyjna prasa zachodnio - europejska oceniła zgodę sekretarza stanu Dullesa na spotkanie czterech ministrów spraw zagranicznych jako posunięcie taktyczne, jako manewr dyplomatyczny.

Jeżeli mimo takiego nieszczerzego podejścia rządu Stanów Zjednoczonych do sprawy konferencji mocarstw, Związek Radziecki wyraża zgodę na udział w proponowanej przez mocarstwa zachodnie konferencji, to czyni to przede wszystkim w przeświadczeniu, że nie należy odrzucać żadnej okazji do rozmów międzynarodowych, mogących rozładować napięcie istniejące między mocarstwami. Fakt, że rząd radziecki nie akceptuje bez zastrzeżeń porządku dziennego, wysuniętego przez konferencję waszyngtońską, w której nie brał udziału, lecz wysuwa swoje własne sugestie co do porządku dziennego konferencji czterech mocarstw, nie zmienia podstawowego stanowiska

rządu radzieckiego co do zgody na konferencję.

Zgoda ta wywołała w opinii publicznej na Zachodzie wielkie wrażenie i ożywiła nadzieje na znalezienie drogi wyjścia z labiryntu międzynarodowego. Dowodzą tego liczne głosy prasy angielskiej i francuskiej.



Prasa angielska widzi w odpowiedzi radzieckiej, wypowiadającej się za rozpatrzeniem na konferencji ministrów spraw zagranicznych „kwestii posunięć sprzyjających ogólnemu osłabieniu napięcia w stosunkach międzynarodowych“, konkretną możliwość odprężenia sytuacji międzynarodowej.

Londyński „Times“, który z reguły wyraża opinie brytyjskiego Foreign Office, udziela nocy radzieckiej ostrożnego poparcia. „Moskwa wyraża życzenie rozszerzenia rozmów daleko poza sprawę Niemiec i życzy sobie, aby komunistyczny rząd chiński wziął udział w rozszerzonych rozmowach. Żadna z tych dwóch propozycji — stwierdza „Times“ — nie jest nielogiczna lub bezwzględnie nie do przyjęcia, aczkolwiek każda z nich może spowodować trudności“.

Podobnie i prasa francuska jest pod wrażeniem pozytywnej odpowiedzi radzieckiej. „Czy się chce czy nie — pisał „Paris Presse“ — wyrażona przez ZSRR zgoda na konferencję ministrów spraw zagranicznych zmienia polityczne perspektywy obecnego lata“.

Jedynie komentatorzy amerykańscy ocenili odpowiedź radziecką krytycznie, zwłaszcza wobec stwierdzenia przez notę radziecką faktu, że „odpowiedzialność za utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego spoczywa przede wszystkim, jak to wynika z Karty Narodów Zjednoczonych, na pięciu mocarstwach“. To znaczy nie tylko na Stanach Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji i ZSRR, ale również i na Chińskiej Republice Ludowej. „Ignorowanie tego faktu — stwierdza nota radziecka — nie leżałoby w interesie utrzymania i umocnienia pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego“. Przecistawiając się udziałowi Chin we wspólnym rozważaniu sytuacji międzynarodowej, rząd Stanów Zjednoczonych daje jeszcze jeden jaskrawy dowód, że bynajmniej nie zależy mu na utrzymaniu i umocnieniu pokoju ani bezpieczeństwa międzynarodowego.

PRZED KONFERENCJĄ POLITYCZNĄ W SPRAWIE KOREI

ARTYKUŁ 60 postanowień rozejmowych przewiduje, aby w celu zapewnienia pokojowego uregulowania kwestii koreańskiej w ciągu trzech miesięcy od chwili podpisania i wejścia w życie porozumienia

rozejmowego zwołana została konferencja polityczna na wyższym szczeblu. Według tych postanowień rozejmowych, w konferencji wziąć mają udział przedstawiciele, wyznaczeni przez obie strony dla uregulowania w drodze rokowań sprawy wycofania wszystkich obcych sił zbrojnych z Korei, pokojowego uregulowania kwestii koreańskiej itd.

Najpóźniej więc do dnia 27 października br. zebrać się winna przewidziana powyżej konferencja polityczna. Artykuł 60 nie precyzuje ani składu tej konferencji, ani też jej wyrażnych zadań. Kto ma w tej konferencji wziąć udział, czy tylko strony, które walczyły w Korei, czy też inne państwa zainteresowane, artykuł 60 nie wyjaśnia.

Perspektywy tej konferencji są na razie mało korzystne. Przeciwnie, polityka Stanów Zjednoczonych zdaje się wyraźnie zmierzać do uniemożliwienia zebrania się tej konferencji, na pewno zaś — do jej stordowania. Trudno bowiem inaczej interpretować fakt zawarcia między Dullesem a Li Syn-manem paktu bezpieczeństwa, paraflowanego w Seulu 8 sierpnia. Artykuł 60 postanowień rozejmowych przewiduje, że konferencja polityczna uregulować ma sprawę wycofania wszystkich obcych sił zbrojnych z Korei. Zaś pakt bezpieczeństwa, paraflowany w Seulu między Stanami Zjednoczonymi a Koreą Południową wyraźnie zezwala Stanom Zjednoczonym na pozostawienie amerykańskich sił zbrojnych na terytorium Południowej Korei i założenie baz militarnych lądowych, morskich i powietrznych. Pakt, paraflowany w Seulu przez Dullesa,

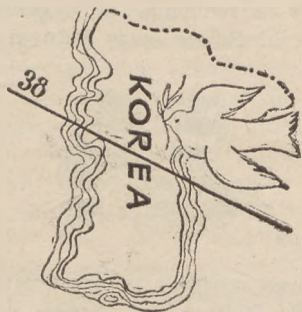
sprzeczny jest więc z artykułem 60 postanowień rozejmowych i z góry przesądza o niepowodzeniu konferencji politycznej.

Ale na tym nie koniec. Po parafo-
waniu paktu bezpieczeństwa, Dulles
i Li Syn-man ogłosili wspólną dekla-
rację, zapowiadającą, że o ile kon-
ferencja polityczna w ciągu 90 dni
nie doprowadzi do zjednoczenia Ko-
rei „środkami pokojowymi“, to Sta-
ny Zjednoczone i Korea Południowa
opuszczą konferencję. Deklaracja ta
stanowi wyraźny szantaż i groźbę
storpedowania konferencji politycz-
nej, o ile konferencja nie załatwi
sprawy przyszości Korei tak, jak
sobie tego życzą Dulles i Li Syn-man.
Deklaracja ta każe się domyślać, że
po opuszczeniu konferencji Stany
Zjednoczone i Korea Południowa u-
siłować będą dokonać „zjednoczenia“
— to znaczy ujarznienia Korei kro-
kami nie „pokojowymi“, lecz na dro-
dze nowej, jawnej agresji.

Innym aspektem, ujawniającym
zamiary Stanów Zjednoczonych wy-
korzystania konferencji politycznej
w sprawie Korei jako odskoczni do
nowej agresji na Dalekim Wschodzie,
jest sprawa deklaracji 16 państw —
członków ONZ, które pod naciskiem
Departamentu Stanu zgłosiły w swo-
im czasie udział w interwencji w
Korei, zainicjowanej przez Stany
Zjednoczone pod szyldem ONZ.

W deklaracji tej czytamy mię-
dzy innymi: „Potwierdzamy, w in-
teresie pokoju światowego, że gdy-
by wznowiony został atak zbroj-
ny, zagrażający znowu zasadom ONZ,
będziemy ponownie złączeni i gotowi
do przeciwstawienia się. Konsekwen-
cje takiego złamania rozejmu byłyby

tak brzemiennie, że według wszelkie-
go prawdopodobieństwa nie byłoby
rzeczą możliwą ograniczyć działania
wojenne do granic Korei“.



Ta zapowiedź możliwości rozsze-
rzenia jakiegoś hipotetycznego kon-
fliktu zbrojnego poza granice Korei
— to znaczy na Chiny, wywołała w
angielskiej opinii publicznej nieby-
wale wzburzenie. Już wówczas, gdy
Dulles na konferencji prasowej w
dniu 28 lipca zapowiedział podpisa-
nie paktu bezpieczeństwa z Li Syn-
manem i możliwość opuszczenia kon-
ferencji politycznej przez Stany Zje-
dnoczone łącznie z Południową Ko-
reą, gdyby konferencja w ciągu 90
dni nie dała oczekiwanych przez
Dullesa i Li Syn-mana rezultatów —
ostry protest brytyjskiej opinii pu-
blicznej spowodował specjalną de-
batę w Izbie Gmin, której zażądała
Labour Party, ale na którą się rząd
Churchilla skwapliwie zgodził, chcąc
się najwidoczniej odgradzić od sta-
nowiska Dullesa. Debata ta obfitowa-
ła w niezwykle mocne akcenty anty-
amerykańskie, a jej punktem kulmi-
nacyjnym było ujawnienie przez
pełniącego w zastępstwie Churchilla
obowiązków premiera, kanclerza skar-
bu Butlera, że „rząd brytyjski poczuł

się zaniepokojony i postanowił wyjaśnić pozycję brytyjską rządowi amerykańskiemu". Wiadomość o brytyjskiej d  marche w Departamencie Stanu wywołała w ca  ej Izbie g  o  ne objawy zadowolenia. „W. Brytania — podkre  li  l Butler — w   adnym wy-



padku nie czuje si  e zwi  zana o  wiadczeniem Dullesa, dotycz  cym mo  liwo  ci opuszczenia konferencji politycznej przez Amerykan  w  .

Brytyjska opinia publiczna ponownie zareagowa  a bardzo gwa  townie, g  dy wiadoma si  e sta  a publicznie deklaracja 16 pa  stw — cz  onk  w ONZ, w  s  r  d kt  rych figuruje r  wnie  z podpis W. Brytanii.

Rosn  c  a izolacja Stan  w Zjednoczonych usi  luj  cych kontynuowa  c awanturnic  z  a polityk  e agresji, znalaz  a wyraz r  wnie  z w czasie obrad Zgromadzenia Og  o  nego i Komisji Politycznej ONZ na temat charakteru i sk  adu przysz  lej konferencji politycznej w sprawie pokojowego uregulowania konfliktu korea  skiego. Obrady te rozpocz  y si  e w dniu 17 sierpnia w Nowym Jorku i ju   pierwsze dni tych obrad wykaza  y,   e zar  wno przedstawiciele Anglii i Francji, jak i delegacje kraj  w azjatyckich i arabskich — pod naciskiem   adaj  cych pokoju narod  w — wykazali bardzo ma  e sk  o  no  ci ulegania presji Waszyngtonu. Do tej sprawy powr  o  my jeszcze w naszym nast  pnym numerze.

IRAN I MAROKO

C   si  e kryje za kulisami zamachu stanu w Iranie?

R  z  d premiera Mossadika, kt  ry pod naciskiem mas ludowych realizowa  l polityk  e niezale  no  ci kraju od obcego imperializmu, by  l od dawna sol  a w oku imperialist  w angielskich i ameryka  nskich. R  z  d Mossadika nie tylko nie ugi  l si  e pod presj  a Londynu i Waszyngtonu w sprawie rokowa  n o uregulowanie problemu naftowego, ale ostatnio nawet rozpoc  z  l rokowania ze Zwi  zkiem Radzieckim na temat nowego szerokiego uk  ladu handlowego. R  wnocze  nie w Iranie ros  y wp  wy partii ludowej Tudeh i nast  powa  a coraz wi  ksza izolacja element  w proimperialistycznych skupionych wok  o  l szacha Reza Pahlawi. Rozwi  zanie przez Mossadika parlamentu, w kt  rym zasiada  o wielu agent  w na   o  dzie Londynu i Waszyngtonu oraz rozpisanie nowych wybor  w stanowi  o powa  zny cios dla imperialist  w. Ten te  z fakt sta  l si  e sygna  em do zbrojnego obalenia r  z  du Mossadika.

W Iranie zjawi  a si  e nagle bli  ziaczka szacha, powszechnie uwa  zana za jednego z najbardziej aktywnych agent  w kapita  u zagranicznego. O  ywion  a dzia  alno  c rozwin  a przebywaj  cy w Iranie ameryka  nski genera  l wywiadu Schwarzkopf.

Pierwsza nieudana pr  ba zamachu zosta  a podj  ta w dniu 15 sierpnia przez dow  dc   gwardii przybocznej szacha pu  kownika Nassiri. Szach, kt  ry ju   zawczasu przygotowa  l dekret o zdymisjonowaniu Mossadika i mianowaniu premierem znanego s  lugusa imperialist  w, genera  a Za-

hedi, po nieudanym zamachu zbiegł z Iranu, udając się do Rzymu. Jednakże imperialiści nie dali za wygraną.

Ambasador USA w Iranie oświadczył, że rząd amerykański nie uzna rządu Mossadika, ale uważa za prawowitego premiera faszystowskiego generała Zahedi. Po tym oświadczeniu w dniu 19 sierpnia nastąpił nowy krwawy zamach stanu, który doprowadził do obalenia rządu Mossadika. Urząd premiera objął Zahedi. W kilka dni później szach Rheza Pahlawi wrócił do Teheranu.

Amerykańska ręka za kulisami spisku w Teheranie była tym razem aż nadto widoczna. W przeddzień zamachu dziennik „Niruje Sevom“ pisał: „Od samego początku organizatorzy spisku bazowali na przyrzeczeniach Eisenhowera i Churchill. Eisenhower niedawno złożył oświadczenie stanowiące ingerencję w wewnętrzne sprawy Iranu. Pragnął on nie dopuścić, by nasz ruch narodowy kroczył własną drogą“.

„Waszyngton jest zachwycony przewrotem w Iranie“ — pisał dziennik „New York Herald Tribune“ na jutro po zamachu. Zaś amerykańska agencja UP ujawnia źródło tego zachwyty amerykańskich monopolistów, pisząc: „Waszyngtońskie koła oficjalne są zdania, iż konflikt naftowy może być rozwikłany w ciągu dwóch lub trzech miesięcy, jeśli obóz szacha utrzyma się u władzy“.

Wszystko jednak wskazuje na to, że radość imperialistów jest przedwczesna. Naród irański wykazał już niejednokrotnie, że potrafi walczyć o swoją niepodległość. Mimo uży-

cia wojsk pancernych, mimo szerzenia terroru i przeprowadzania olbrzymich aresztowań — w całym Iranie trwają demonstracje antymonarchistyczne i antyimperialistyczne. Walka o prawo narodu irańskiego do niepodległości trwa.

Również Maroko, znajdujące się pod protektoratem Francji, było areną krwawych wydarzeń w ubiegłym miesiącu. Bezpośrednią przyczyną rozruchów był spisek przeciwko sułtanowi Maroka, uknuty przez kolonizatorów francuskich, przy pomocy ich wiernego agenta, paszę Marakeszu El Glaoui. Francuskie władze kolonialne od dawna już usiłowały usunąć sułtana Sidi Mohammeda Ben Jussefa, który sprzeciwiał się urzędywstąpieniu tzw. „projektu reform“, mającego utrwalić władzę francuskich kolonizatorów w Maroku. W drugiej połowie sierpnia francuski rezydent generalny w Maroku generał Guillaume przedstawił sułtanowi ultymatywne żądania przyjęcia wspomnianych „reform“ oraz uznania, że ONZ nie ma prawa rozpatrywania problemu marokańskiego. Sułtan Mohammed Ben Jussef — pod groźbą działań wycelowanych w jego pałac — początkowo zgodził się na żądania generała Guillaume, w następstwie jednak odmówił podpisania zarządzeń wykonawczych do wcielenia w życie tych żądań. Wobec tego kolonizatorzy francuscy zdetronizowali legalnego sułtana i wywieźli go wraz z dwoma synami na Korsykę. Nowym sułtanem został marionetkowy starzec Ben Arafa, który jest bezwolnym narzędziem w rękę paszy Marakeszu El Glaoui, posłusznego agenta kolonizatorów francuskich.

To brutalne bezprawie francuskich władz w Maroku wywołało potężną falę oburzenia i protestu ludności marokańskiej. Jak płomień rozszerzyły się w całym kraju manifestacje antyfrancuskie.

Wzburzył się cały świat arabski. Rządy krajów arabskich wystosowały do rządów Francji, Anglii i USA noty z protestem przeciw postępowaniu Francji w Maroku. W Nowym Jorku odbyło się posiedzenie przedstawicieli 16 krajów arabskich i azjatyckich w ONZ, na którym postanowiono jednomyślnie zwrócić się do Rady Bezpieczeństwa z żądaniem zwołania nadzwyczajnego posiedzenia dla omówienia sytuacji w Maroku. Również we Francji przytłaczająca większość opinii publicznej kategorycznie potępiła bezprawie dokonane w Maroku. „W opinii wszystkich Marokańczyków — pisze „Humanite“ — kolonizatorzy podeptali traktat o protektoracie narzucony przez nich samych siłą w 1912 r.“. A dziennik „Liberation“ stwierdza, że nowy sułtan „jest godną pogardą marionetką“.

GNIEW LUDU FRANCJI

TO co nastąpiło w sierpniu we Francji, to była już nie tylko jakaś oderwana, lokalna akcja strajkowa, nie tylko walka o takie czy inne prawa mas pracujących. „**Ruch strajkowy we Francji rozszerza się jak żywiołowy pożar. W istocie rzecz we Francji toczy się wojna domowa bez przelewu krwi**“ — pisał 12 sierpnia paryski korespondent angielskiej agencji Reutera. A „Humanité“ słusznie nazwała ruch strajkowy, który objął ponad 4 miliony osób,

„**najpotężniejszą akcją, jaką kiedykolwiek widzieliśmy we Francji wśród pracowników instytucji państwowych**“.

Bezpośrednią przyczyną tej olbrzymiej, nieustającej fali strajkowej były dekrety rządu Laniel'a, wprowadzające w życie zarządzenia oszczędnościowe dla zrównoważenia budżetu. Zamiast iść drogą, która się po prostu narzuca, a mianowicie — ograniczenia wydatków na wojnę w Indochinach przez zlikwidowanie tej wojny, która kosztowała Francję już ponad 3 tysiące miliardów franków, zamiast iść drogą zmniejszenia wydatków na zbrojenia, których domaga się amerykański Departament Stanu, a którym przeciwstawia się cały naród francuski — rząd Laniel'a poszedł drogą przerzucenia ciężarów finansowych kraju w jeszcze większym niż dotąd stopniu na barki pracujących. Dekrety oszczędnościowe rządu Laniel'a dotyczyły przesunięcia górnej granicy wieku przejścia na emeryturę, nieobsadzania wakujących miejsc w aparacie administracyjnym, przewidzianych dla urzędników kontraktowych, zredukowania kredytów na inwestycje cywilne, zwłaszcza w zakresie opieki społecznej, zdrowia i oświaty, częściowego wstrzymania wypłat odszkodowań wojennych i stopniowej podwyżki czynszów mieszkaniowych.

W związku z tą sytuacją CGT (Generalna Konfederacja Pracy) ogłosiła komunikat, w którym stwierdziła między innymi: „**Dekrety rządowe cepcą prawa nabyte przez miliony pracujących... Treść i nastawienie dekretów potwierdzają, że nad prawami nabytymi i nad interesami**

wszystkich ludzi pracy zawiąły najcięższe groźby. Przebrała się miaraludzie pracy rozumieją to i dają wyraz temu zrozumieniu, organizując się i podejmując jednościową akcję przeciwko dekretem, o ocalenie swych praw nabytych i zwycięstwo słuszných żądań zawodowych, niezaspokajanych już od zbyt długiego czasu“.

Jedność akcji jest najbardziej charakterystyczną cechą obecnej fali strajkowej. W strajku biorą udział nie tylko członkowie CGT, ale również członkowie chrześcijańskich związków zawodowych i pravicowo-socjalistycznej organizacji związkowej Force Ouvriere. Dla jedności akcji charakterystyczne było oświadczenie sekretarza generalnego chrześcijańskich związków zawodowych. Levarda, który stwierdził, że obok dekrétów, uderzających w interesy setek tysięcy ludzi pracy, drugą przyczyną sukcesu obecnego ruchu jest wzrastające niezadowolenie mas pracujących z polityki społecznej obecnego gabinetu i poprzednich rządów. Levard powiedział: „Robotnicy stracili zaufanie do ludzi sprawujących władzę. Napięcie społeczne utrzyma się dopóty, dopóki rząd będzie uprawiał tę samą politykę“. Jak stwierdza postępowy dziennik francuski „Libération“ — „jedność zrealizowana przez pracujących oparta jest na wspólnocie uczuć“. Faktycznie, od 1936 r. Francja nie widziała jeszcze takiej jedności akcji klasy robotniczej jak obecnie.

Obecne strajki są odbiciem najszerszej jedności ruchu robotniczego przeciwko rządowej polityce wojny i



wyzysku. Masy pracujące Francji uświadomiły sobie, że wskutek narzuconych przez imperializm amerykański zbrojeń reakcyjne rządy kapitalistyczne, czy to rząd Mayera, rząd Pinay, czy rząd Laniel i Reynaud, wszystkie one solidarnie prowadzą politykę przerzucania przyniatających państwo ciężarów na barki pracujących. Obecne strajki we Francji są głośnym ostrzeżeniem pod adresem nie tylko rządu francuskiego, ale wszystkich rządów zachodniej Europy, stosujących podobną politykę — że masy pracujące nie mają zamiaru dalej tolerować tej polityki, sprzecznej zarówno z interesami samych mas pracujących, jak również z interesami całego narodu i państwa.

STEFAN LITAUER



„PROSTO DO CELU“

TAK brzmiała dewiza dawnych szachistów, którzy niewiele dbali o subtelności pozycyjne, a przede wszystkim starali się uzyskać atak na króla przeciwnika. Pomysłowość, śmiałość kombinacji, ofiara materiału dawały nieraz efektowne zwycięstwo. Kiedy indziej zaniedbanie koniecznej ostrożności przynosiło klęskę.

Dwie partie, które podajemy poniżej, dowodzą, że i dziś jeszcze spotyka się czasem styl gry wzorowany na „starej szkole“.

Stany Zjednoczone, 1952.

Białe
YOUNG

Czarne
KITTSLEY

1. e2-e4
2. f2-f4

e7-e5

Wybór tego staroświeckiego otwarcia każe spodziewać się żywego rozwoju partii. W XIX wieku gambit królewski uważany był za najmocniejsze otwarcie, ze względu na wielką agresywność doskonale pasującą do ówczesnego stylu gry. Po dłuższym okresie niełaski w oczach nowoczesnej teorii gambit królewski został w ostatnich latach wydobyty z zapomnienia przez niektórych przedstawicieli radzieckiej szkoły szachowej — głównie przez Bronsztejną — którzy dostosowali go do wymogów nowoczesnego stylu gry.

2. Gf8-c5
Lepsze jest 2... d5 3. e4 e4!
3. Sg1-f3 d7-d6
4. d2-d4 e5:d4
5. Sf3:d4 Hd8-e7

Ta koncepcja wydaje się błędna. Czarne chcą zdobyć piona, chociaż białym właśnie zależy na poświęceniu piona w centrum dla przyspieszenia rozwoju. Zdobycie piona może czarne drogo kosztować.

6. Sb1-c3 Sg8-f6
7. Gf1-e2 Sf6:e4
8. Sc3-d5 He7-h4+
9. g2-g3 Se4:g3
10. Sd4-f3 Hh4-h3
11. b2-b4 Gc5:b4+
12. Sd5:b4 Sg3:h1
13. Hd1-d4! 0-0
14. Gc1-b2 Hh3-h6
15. Sb4-d5 Sb8-a6

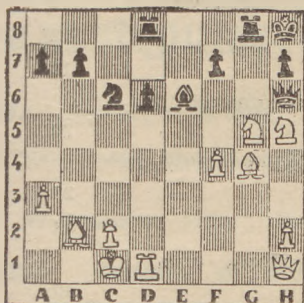
Trzeba bronić c7.

16. 0-0-0 c7-c5
17. Hd4-g1

Nie Se7+ z następującym po tym H:d6, ponieważ po wymianie hetmanów czarny skoczek ucieka przez f2.

17. Gc8-e6
18. Sd5-f6+! Kg8-h6

19. Sf6-h5 Wf8-g8
 20. Sf3-g5 Wa8-d8
 21. Hg1:h1 Sa6-b4
 22. a2-a3 Sb4-c6
 23. Ge2-g4!



23. Hh6-g6
 24. Gg4:e6 f7:e6
 25. Hh1-e4! Hg6:h5
 26. He4:h7+! Hh5:h7
 27. Sg5-f7+ i mat.

Olimpiada w Helsinkach, 1952.

Białe
POSCHAUKO
 (Austria)

Czarne
DONNER
 (Holandia)

- | | |
|--------------|--------|
| 1. e2-e4 | c7-c6 |
| 2. d2-d4 | d7-d5 |
| 3. Sb1-c3 | d5:e4 |
| 4. Sc3:e4 | Sg8-f6 |
| 5. Se4:f6+ | e7:f6 |
| 6. c2-c3 | Qf8-d6 |
| 7. Gf1-d3 | 0-0 |
| 8. Hd1-c2 | h7-h6 |
| 9. Gc1-e3 | Gc8-e6 |
| 10. Sg1-e2 | Hd8-c7 |
| 11. Hc2-d2 | f6-f5 |
| 12. h2-h3 | Wf8-e8 |
| 13. g2-g4 | Ge6-d5 |
| 14. 0-0-0! | Gd5:h1 |
| 15. Wd1:h1 | Sb8-d7 |
| 16. g4:f5 | Sd7-f6 |
| 17. Wh1-g1 | Kg8-f8 |
| 18. Kc1-b1 | Sf6-d5 |
| 19. Wg1:g7!! | Kf8:g7 |
| 20. Ge3:h6+ | Kg7-h8 |
| 21. f5-f6! | We8-g8 |

Po 21... Sf6 rozstrzyga 22. Hg5.

22. Gh6 g7+

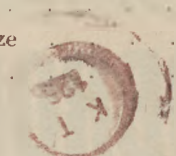
Czarne poddały się wobec nieuchronnego matu.

(Uwagi: Jean Becker)

Czytaj i prenumeruj
MIESIĘCZNIK
„W OBRONIE POKOJU”

T R E Ś C N U M E R U :

	Str.
PIERRE COT: Rozejm w Korei	2
FRYDERYK JOLIOT-CURIE: Jesteśmy bliżsi pokoju	4
PIETRO NENNI: Wielka okazja	5
HEINZ WILLMAN: O zwycięstwo ducha rokowań „Nazywaj mnie Müller!“	9 12
Perspektywy pokoju w Indochinach	15
Bolesny problem krajów gospodarczo zacofanych. Wy- wiad z SIR SINGH SOKHEY	20
ROBERT CHAMBEIRON: Wymiana handlowa Wschód- Zachód	27
Czarna Afryka (II)	33
PROF. B. W. KUKARKIN: Międzynarodowa współ- praca astronomów	40
HALLDOR KILJAN LAXNESS: Niepożądana wizyta w Reykjavik	44
ROGER BOUSSINOT: Muzycy radzieccy w Paryżu	51
EMILE CAVENAILLE: Rozważania przy kuflu piwa	56
Węgierska sztuka ludowa	62
IVAN BOLDIZSAR: Dziewczyna za kierownicą	64
WLADIMIR LIDIN: Nasi rybacy nie wypływają na ślepo	71
A. J. ROCKETSMITH: Co nas czeka w 2000 roku?	76
LINDSAY FARR: Maszyna pomaga mózgowi	82
DR THONON: Lekarstwa — przyjaciele czy wrogowie?	87
MIKOŁAJ WAPCAROW: List	92
FRED GARHIAT: „Dzieci Hiroszimy“	94
JAN DĄBROWSKI: Na budowach coraz więcej maszyn	97
KRZYSZTOF ZAREWICZ: Kwitnący sad ZSRR	105
HENRYK KASSJANOWICZ: Przez jednoś Niemiec do pokoju w Europie	110
STEFAN LITAUER: Fakty i komentarze	115
Szachy	126



Miesięcznik „W Obronie Pokoju” ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: „Defense de la Paix”, 33 rue Vivienne, Paris II-e,

Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitu Mira”, Moskwa, ul. Krapotkina 10.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira”, Sofia, Ivan-Vazov 27.

WŁOCHY: „La Pace”, Rassegna internazionale del mese”,
Roma, Via Savoia 82.

MEKSYK: Revista „Paz”, Mexico 1, D. F., Avenida Juarez 20.

CHINY: „Pao Wei Ho Ping”, Pekin, Taichichang 9.

NRD: „Friedenswacht”, Mauerstrasse Berlin, W. 8.

NIEMCY ZACHODNIE: „Friedenswacht”, Stuttgart —
0. Heinrich-Baumannstrasse 27.

JAPONIA: „Haiwa Yogo”, Japan Peace Committee 28,
Tamachi, Bunkyo-ku, Tokio.

RUMUNIA: „In Apararea Pacii”, Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19.

BRAZYLIA: „Partidarios da Paz”, Rua Sao Jose No 50,
Sala 502, Rio de Janeiro.

KANADA: „Peace Review”, 82 Gould St., Toronto.

FINLANDIA: „Tanaan”, 15/17 Erottajankatu, Helsinki.

IRAN: „Defae Az Solhe”, av. Ferdowsi, Teheran.

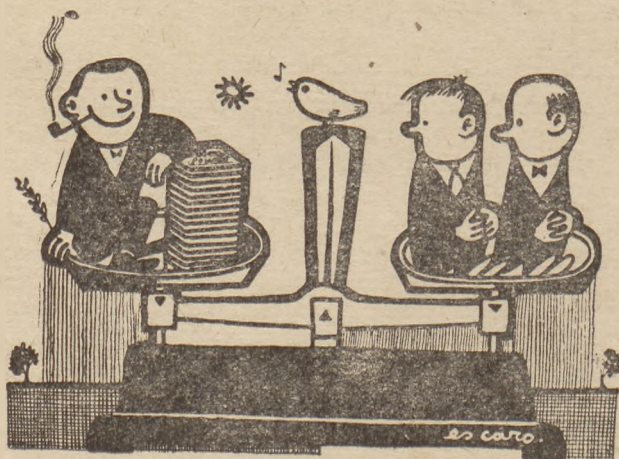
Uwaga abonenci!

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę miesięcznika „W Obronie Pokoju” są przyjmowane

Na okresy kwartalne	— do dnia 10-go grudnia	na I kwartał
„ „	10-go marca	na II „
„ „	10-go czerwca	na III „
„ „	10-go września	na IV „
Na okresy półroczne	— do dnia 10-go grudnia	na I
„ „	10-go czerwca	na II
Na okres roczny	— do dnia 10-go grudnia	

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy.

Reklamacje prosimy kierować do P. P. K. „Ruch” — Warszawa, ul. Srebrna 12.



Jeden abonent wart jest dwu czytelników